



Niebezpieczne piękno #3

NIEBEZPIECZNE *zagrywki*

Finałowy tom trylogii!



J.T. GEISSINGER

J. T. GEISSINGER

**NIEBEZPIECZNE
ZAGRYWKI**

NIEBEZPIECZNE PIĘKNO #3

**TŁUMACZENIE
MATEUSZ GRZYWA**

OŚWIĘCIM 2023

*Dla mężczyzny z National City,
który szantażem chciał zdobyć mój pocałunek*



Kto walczy z potworami, ten niechaj baczy, by sam nie stał się potworem. Zaś gdy długo spoglądasz w bezdeń, spogląda bezdeń także w ciebie.

Friedrich Nietzsche

Nikt nas nie może uratować prócz nas samych. Nikt nie potrafi i nikt nie uratuje. Musimy przejść tę drogę sami.

Budda

Mądra kobieta rzekła niegdyś: „jebać to chujstwo”, a potem żyła długo i szczęśliwie.

Anonim

ROZDZIAŁ 1

Eva

– Piśnij tylko, a ona umrze.

Dmitrij odzywa się swoim miękkim jak aksamit rosyjskim, wbijając łufę w skroń kobiety. Jego uśmiech dowodzi, że zakłada, iż będę wypełniała jego polecenia, bo tak nauczyło go doświadczenie.

To taka nasza stara gierka, świetnie ją znam. Nazywa się: „Rób, co mówię, bo jak nie, to ucierpi ktoś niewinny”.

Tym razem „niewinną” jest obca, przerażona kobieta z butelką wina w ręce, którą Dmitrij posłużył się jako przynętą. Kilka chwil temu, gdy zapytałam przez drzwi, przedstawiła mi się jako właścicielka mieszkania, w którym zameldowaliśmy się z Nazem. Być może to nawet prawda, ale pewnie nigdy się nie dowiem.

Bo za chwilę jej mózg rozpryska się po całej werandzie.

Przykro mi, proszę pani, ale jakiś czas temu przestałam słuchać rozkazów tego palanta.

Krzyczę jak dzika, ryk wydobywa się z mojego gardła niczym pazurzasta bestia o ostrych kłach.

– Naaaaaz!

Kobieta podskakuje ze strachu, upuszcza butelkę i zalewa się łzami.

Dmitrij zaś jest tak oszołomiony moim nieposłuszeństwem, że po prostu gapi się na mnie z niedowierzaniem.

Wykorzystuję zaskoczenie i kopię go z całej siły w jaja.

Zgina się w pół z rykiem bólu, ale nie wypuszcza broni. Kobieta zawodzi jak syrena przeciwpożarowa. Gdzieś za mną rozlega się krzyk Naza, spanikowany krzyk, ale moją uwagę przykuwa tętent ciężkich buciurów na drewnianych schodach do mieszkania na drugim poziomie. Udaje mi się wykrzyzczyć imię Naza jeszcze raz, a potem podest przed naszymi drzwiami wypełnia się uzbrojonymi, ubranymi na czarno mężczyznami.

Ludzie Dmitrija wymierzają w moją twarz las luf.

Oczy kobiety uciekają w głąb czaszki; padając na korytarz, sąsiadka uderza potylicą w żelazną balustradę. Pada na bok nieprzytomna, z szeroko rozrzuconym nogami. Jej kraciasta podomka podwinęła się do góry, odsłaniając obwisłe uda o kolorze i strukturze zsiadłego mleka.

– Bierzcie ją! – syczy Dmitrij przez zaciśnięte zęby. Jego nieludzko błękitne oczy krzeszą iskry, ale nadal zgina się w pół i trzyma za krocze.

Odwracam się, chcę uciec, ale ktoś łapie mnie za koszulkę i mocno ciągnie. Uderzam plecami o coś twardego. Wokół mojego gardła zaciska się przypominające stalowy pręt przedramię. Krzyczę raz jeszcze, rzucam się i szarpnię za rękę napastnika, ale powietrze więźnie mi w gardle, bo przedramię zaciska się jak imadło.

Gdy z sypialni wyskakuje Naz z pistoletem w dłoni, mam już gwiazdki przed oczyma.

Sunie ku mnie z bronią w wyciągniętej dłoni, goluteńki i nieziemsko boski.

– Ani kroku dalej! – krzyczy Dmitrij po angielsku.

Chyba doszedł do siebie po moim ataku na jądra, bo prostuje się gwałtownie i wbija mi łufę pod szczękę. Robi to z taką siłą, że moje dolne zęby uderzają o górne z nieprzyjemnym klekotem.

Naz zamiera. Ma czarne, oszalałe oczy. Mokre włosy. Cały ocieka, bo wyskoczył spod prysznica, jego ciało lśni, tors unosi się ciężko i opada z każdym oddechem.

Z każdym strudzonym, przepelnionym furiją oddechem. Niemalże czuję smak tej furii. Jest ostry, metaliczny i tak mocno przesycę powietrze, że w każdej chwili może doprowadzić do samozapłonu i wybuchu.

Nastaje chwila naelektryzowanej ciszy, w której słyszeć tylko ostry oddech trzymającego mnie mężczyzny. Ma usta tak blisko mojego ucha, że owiewa gorącym powietrzem mój kark. Naz stawia

ostrożny krok naprzód i w tym momencie Dmitrij mówi:

– Tak, podejdź bliżej. Jeśli chcesz, żeby zginęła.

Naz ponownie zamiera. Skupia się na Dmitriju z niesłychaną intensywnością, nie mruga, jego szczęka zamienia się w granitową sztabę. Chyba kompletnie nie przejmuje się własną nagością i faktem, że patrzy w lufy tuzina naładowanych pistoletów. Każdy mięsień jego potężnego ciała jest napięty, gotowy do ataku.

Jest wspaniały. Niczym Dawid rzucający wyzwanie Goliatowi, w jego oczach płonie światło pomsty.

Boże, błagam, niech tu dziś nie zginie!

Moje serce wali jak opętane, zerkam kątem oka na Dmitrija. Obdarza Naza przeciągłym, zimnym spojrzeniem, po czym zwraca się do mnie po rosyjsku:

– Przestań się rzucać i chodź ze mną spokojnie albo odstrzelę mu ten koński zwis.

– Jeżeli zginie, stracisz wszystkie atuty! – odpowiadam zduszonym z powodu nacisku na krtań głosem. Kaszlę, krztuszę się. – Zabicie cię stanie się moim jedynym życiowym celem!

– Evalino, podejrzewam, że już jest to twój jedyny cel. A przy okazji, mężczyzna może przeżyć odstrzelenie fiuta.

Cień uśmiechu na jego ustach wskazuje, że osobiście przeprowadził to paskudne doświadczenie i to nie raz.

– Strzelaj, Naz! Zabij gnoja!

Dmitrij posyła mi zabójcze spojrzenie.

– Nie dość, że nieposłuszeństwo, to jeszcze wyzwiska. Widzę, że muszę nauczyć cię manier od nowa.

– Jeżeli go zastrzelę, tamci zastrzelą cię – stwierdza Naz wibrującym złością głosem.

– Ależ pan bystry, panie Mansouri – zwraca się do niego Dmitrij, przechodząc na angielski. – Zawsze był pan łebski, choć nieco krótkowzroczny. A teraz proszę pozwolić, że wyrażę się jasno, żeby uniknąć nieporozumień. Zabieram Evalinę. Należy do mnie. Jeżeli pan za nami podaży, spróbuje ukraść moją własność albo jakkolwiek będzie pan kombinował przy moim mieniu, Evalina zapłaci cenę. Będę odsyłał ją panu kawałek po kawałku, począwszy od języka. – Uśmiecha się okrutnie i dodaje: – Zapewne sam pan już odkrył, że to najmniej pożyteczna część jej ciała.

Powietrze wokół Naza skrzy się gniewem. Gdy na mnie spogląda, w jego oczach płoną całe planety. Jego wzrok mówi: *Kocham cię, zachowaj spokój.*

Ciekawe, czy dostrzega moją grozę i bezradność, zwielokrotnione milion razy przez powstałą chwilę przed otwarciem drzwi świadomość, że mogę nosić jego dziecko.

Dmitrij rozkazuje swoim ludziom, by się wycofali. Wszyscy ruszają powoli, jak jednolity oddział. Facet, który mnie trzyma, ciągnie o jeden krok, a potem o drugi. Walczę z nim, desperacko wierząc bosymi nogami, rozpaczliwie nabieram powietrza.

– Mówiłem, że masz się nie rzucać – rzuca ostro Dmitrij.

Gdy wymierza broń w Naza, nieruchomieję, a uwięziony w moim gardle krzyk grozy wyrывa się na wolność.

– Nie! Proszę!

Moje błagania sprawiają, że w głębi błękitnych wężowych oczu Dmitrija błyszczą coś obrzydliwego.

Właśnie tego ode mnie chce, zawsze tego chciał. Błagania. Słabości.

Strachu.

Karmi się nim, jak wampir krwią.

Dociera do mnie, że istnieje tylko jedno wyjście. Nigdy nie było innego, teraz widzę to wyraźnie. Te wszystkie miesiące ucieczek, ukrywania się, zakochiwania musiały zaprowadzić mnie z powrotem w to samo miejsce... w którym spojrzę w oczy najmroczniejszemu z moich demonów.

Możemy próbować pogrzebać przeszłość, ale niektóre zwłoki nie mają ochoty leżeć grzecznie w ziemi.

W pewnej mierze czuję ulgę. Już nie muszę się martwić o najgorsze, bo oto nadeszło. Teraz

muszę już tylko się skupić i modlić o siłę.

– Obiecałam ci duszę w zamian za czas z nim – mówię po rosyjsku, żeby Naz nie zrozumiał. – Ale jeśli naciśniesz spust, nie dostaniesz jej, bo jeśli on zginie, ja również i cały twój wysiłek pójdzie na nic.

– Eva... – mówi Naz ostrzegawczo.

Może i nie rozumiał słów, ale wyczuł po tonie, że próbuję handlować z Dmitrijem. Mam wrażenie, że moje serce zaraz skona.

– Nadal pamiętam, jak cię zadowolili... – mówię chrapliwie, patrząc Dmitrijowi w oczy.

Jego źrenice się rozszerzają, oblizuje wargi.

Stanęłam do bardzo niebezpiecznej gry. Do mrocznej, niebezpiecznej gry. Ale być może muszę myśleć o czymś więcej niż tylko o życiu Naza i moim, a im szybciej Dmitrij uwierzy, że stałam się w pełni uległą, tym szybciej znajdę sposób, jak przebić jego diabelskie serce kołkiem i uwolnić się od niego raz na zawsze.

Dmitrij zaciska moje włosy w garści i całuje mnie, wpychając mi język głęboko w usta.

Wiem, że to sprawdzian. Sprawdzian, który muszę zdać, bo inaczej Naz umrze, ale i tak muszę naprzężyć całą siłę woli, by nie oderwać głowy i nie splunąć mu w twarz, by pozostać bierną i nieruchomą, choć przez jego odrzucający smak wzbierają we mnie mdłości.

Gdy Naz wydaje z siebie dźwięk zwierzęcej wściekłości, Dmitrij odkleja się ode mnie i wybucha śmiechem.

– Och, zazdrosny kochanek! Ale ubaw. Będiesz przeżywał istne męki, prawda? Gdy będziesz sobie wyobrażał te wszystkie sposoby, na jakie będę ją pieprzył. Wszystkie metody, jakimi będę doprowadzał ją do krzyków i skamleń.

Naz rozdyma nozdrza. Jego pierś się rozrasta, usta zaciskają w cienką linię. Palce zaciskają wokół pistoletu.

Dmitrij śmieje się z zachwytem.

– Przykro mi, że nie mogę zostać i napawać się twoim cierpieniem, ale obawiam się, że musimy już lecieć. Mamy z Evą sporo do nadrobienia. I pamiętaj, co powiedziałem: jeśli za nami ruszysz, ona za to zapłaci.

Chcąc zaakcentować powagę tej groźby, wali mnie kolbą pistoletu w policzek.

Głowa odskakuje mi w bok, słyszę trzask pękającej kości, czuję, że coś gorącego spływa mi po policzku, ale nawet nie pisnęłam, bo wściekłość odebrała mi głos. Uginają się pode mną kolana, więc trzymający mnie od tyłu facet musi złapać mnie drugą ręką w tali, żeby się nie przewróciła.

Wydany przez Naza ryk bezsilnego gniewu podnosi wszystkie włoski na moim ciele.

A potem już nic słyszę, bo ogłusza mnie wystrzał.

Trzymający mnie oprych podrywa się do góry i zatacza w tył, puszczając mnie nagle. Gryzący swąd prochu drażni mój nos. Osłepiają mnie rozbłyski. Padam na czworaka, zdezorientowana nabieram ostro powietrza w płuca. Krew spływa deszczem na biały dywan, ale nie wiem, czy na pewno jest moja. Nie potrafię skupić wzroku w prawym oku, światło zaczyna ciemnieć.

Strzelanina trwa i trwa. Rzeczywistość nabiera cech snu. Wszystko staje się przytłumione i niewyraźne, jakbym patrzyła przez brudne okulary. Ktoś łapie mnie za kark i wywleka za próg, na schody przed mieszkaniem, a potem popycha mocno w plecy.

Przez chwilę chwiję się na szczycie schodów, nieważka, pozbawiona tchu. Grawitacja bierze jednak górę, przechylam się w przód, spadam wymachując rękoma, otwieram usta w niemym krzyku.

Uderzam w pierwszy schodek. Kość w lewej ręce pęka z przyprawiającym o mdłości chrupnięciem. Świat wiruje. Toczę się dalej, mam wrażenie, że zahaczam o każdy stopień, dopóki nie ląduję plecami na twardej ziemi.

Walę czaszką o bezlitośnie twardy beton. Uderzenie wypycha mi powietrze z płuc, na moment ślepnę.

Kiedy wzrok powraca, patrzę w nocne, nakrapiane gwiazdami niebo. Głowa chybotze mi się na boki. Pomiędzy żelaznymi prętami ogrodzenia na dole widzę szkliste spojrzenie wściekłego psiska, które miało nas ostrzec przed każdym niebezpieczeństwem.

Pies leży martwy w kałuży własnej krwi, pośrodku jego kosmatego czoła widnieje idealnie okrągła rana wlotowa.

Obmywa mnie potężna fala emocji. Żal nad tym biednym stworzeniem, które pechowo wpadło w sieć Dmitrija, i obrzydzenie do siebie samej, muchy, którą będzie ściągał po całym świecie. Gdyby nie ja, psisko nadal by żyło i z radością terroryzowało przechodniów zaciekłym szczekaniem.

Gdyby nie ja, Naz byłby bezpieczny.

Gdyby nie ja, nie wydarzyłoby się wiele złego.

W tym momencie w mojej głowie odzywa się głos matki. Głos nagany, który często słyszałam w dzieciństwie.

Evalino, uzalanie się nad sobą to luksus, na który ludzie tacy jak my nie mogą sobie pozwolić. Nigdy się nad sobą nie uzalaj. To najbardziej bezużyteczna emocja i najbardziej uzależniający narkotyk. Jeżeli będziesz zbyt długo nurzać się we własnych żalach, to w końcu w nich utoniesz.

– Nie utonę – obiecuję martwemu psisku głosem słabym jak szept. – I przysięgam, że Dmitrij zapłaci za to, co ci zrobił.

Zmuszę go, by zapłacił za wszystko, co zrobił.

Noc wypełnia odległe wycie syren. Do mojej świadomości dociera, że w pobliżu są ludzie, szepczą między sobą zszokowani, zebrał się tłumek sąsiadów, chcących sprawdzić, co to za cholerne hałasy po nocy, ale nie ośmielają się podejść bliżej. Podnoszę wzrok i akurat zauważam Dmitrija, stacza się po schodach, trzymając za bok, ból wykrzywia mu twarz. Na górze pod drzwiami leży zwał ciał, ale dwóch ludzi Dmitrija nadal stoi na własnych nogach. Jeden z nich zarzuca sobie dłoń Dmitrija na bark i pomaga mu zejść. Drugi idzie prosto do mnie.

Podnosi mnie i przerzuca sobie przez bark.

Jęczę, prawie mdleję z bólu, ale jednak udaje mi się zachować przytomność.

– Szybciej! – krzyczy Dmitrij.

Bandyta niesie mnie do zaparkowanej po drugiej stronie ulicy furgonetki. Widzę obróconą do góry nogami klatkę schodową, liczę, że z otwartych drzwi mieszkania zaraz wyłoni się Naz, ale nikt się nie pojawia. Nie ma go też w oknie, nocy nie przeszywa echo jego głosu.

Cierpienie przeszywa mnie jak miecz.

Nie! Naz! NIE!

Słyszę odgłos odsuwania ciężkich drzwi na metalowej suwnicy, chwilę później bandzior wrzuca mnie do zimnej, ciemnej furgonetki. Zatrząskuje drzwi. Zasuwiają się z ponurą ostatecznością jak wieko trumny.

Rozglądam się gorączkowo. Nie ma żadnych okien. Od podłogi do sufitu ciągnie się gęsta siatka, więżąc mnie w bardzo ciasnej przestrzeni.

Znajduję w sobie siłę, by wykrzyknąć w ten mrok imię Naza, ale odpowiadają mi tylko dźwięki otwierania i zamykania drzwi z przodu pojazdu. Gdy silnik furgonetki ożywa, ryczę jego imię ile sił w płucach, ochryple i desperacko, serce obija się o żebra, w żyłach płonie strach.

Samochód rusza z piskiem opon. Z przodu dobiega do mnie głos Dmitrija, ale równie dobrze może dochodzić z mojego najbardziej przerażającego koszmaru.

– Evalina, możesz już o nim zapomnieć. Już nie przyjdzie ci z pomocą. Nie żyje.

Pędzimy w noc, mroczny śmiech Dmitrija stanowi makabryczne tło dla moich opętańczych krzyków.

ROZDZIAŁ 2

Eva

Jedziemy. Mam wrażenie, że tkwię w tym lodowym kokonie ciemności sto lat. Przez cały czas oddycham panicznie zwinięta w kulkę i patrzę tępo szeroko otwartymi oczyma, a mój umysł pędzi niczym chomik w kołowrotku wyparcia.

Naz nie mógł zginąć. Dmitrij kłamie.

Ale przecież gdyby żył, to nie pozwoliłby ci odjechać.

Na pewno został ranny. Tak, na pewno... został ranny, więc nie zdążył ukazać się w drzwiach i za nami podążyć. Ale wkrótce po mnie przyjdzie. Zawsze po mnie przychodzi. Obiecał, że zawsze będzie mnie chronił.

Glupia. Trupy nie dotrzymują obietnic.

Furgonetka w końcu ostro hamuje. Drzwi z przodu otwierają się i zamykają. Gdzieś z zewnątrz dobiega szmer męskich głosów, a potem odsuwają się tylne drzwi.

Wyciąga mnie ten sam żołnierz Dmitrija, który mnie tu wrzucił. Zauważa, jak nienaturalnie odgięta jest moja ręka, więc obchodzi się ze mną nieco ostrożniej niż wcześniej. Przyciskam rękę do piersi, pozwalam, by pomógł mi wysiąść z samochodu, staję na własnych nogach.

Znajdujemy się na małym lądowisku pośrodku równiny, która ciągnie się jak okiem sięgnąć w czerń. Czerń o nasyceniu czerni mojej duszy. Kilkadziesiąt metrów dalej czeka lśniący odrzutowiec z uruchomionymi silnikami i przygotowanymi schodami.

– Idź. Czeka na ciebie – mówi bandzior.

Gdy spoglądam mu w twarz, wyraźnie się krzywi. Pewnie wyglądam jak śmierć. Ta myśl daje mi poczucie wisielczej satysfakcji.

Nie próbuję uciekać. Nie ma dokąd. Kroczę ku czekającemu mnie losowi, przeznaczeniu, przed którym nie sposób umknąć, zostawiając daleko za sobą wszystko, co dobrego spotkało mnie w życiu.

Może nie wszystko, szepcze zaciekle głos w mojej głowie. Nie ma żadnych dowodów, że Naz zginął, ale nawet jeśli, to może nosisz w sobie jego dziecko. Nie poddawaj się jeszcze.

Zamykam oczy, przełykam ślinę przez sztywne jak skała gardło. Wzbiera we mnie udreka, która niemal uniemożliwia zaczerpnięcie oddechu. Nadzieja to bez wątpienia najgorsze ze wszystkich okropieństw, jakie może zaserwować nam życie.

– *Gospoza?* – rzuca pytająco żołnierz.

To znaczy „pani”. Pełna szacunku, uprzejma forma zwrotu do kobiety. Gdy wiodłam życie faworyty Dmitrija, wszystkie jego służusy tak się do mnie zwracały.

Wygląda na to, że pewne rzeczy się nie zmieniają.

Ale inne wręcz przeciwnie.

Nie jestem już tamtą dziewczyną. Dziewczyną, która uciekła od potwora i zakochała się w bogu. Na rękach mam krew, w sercu pustkowie, a w mózgu wypalone wspomnienie pięknego uśmiechu Naza. I Dmitrij Ivanov pożałuje, że to wspomnienie powstało w moim umyśle.

Bo jest niczym paliwo, które będzie mnie napędzało, dopóki nie spalę świata Dmitrija do gołej ziemi.

Otwieram oczy, prostuję plecy, na ile mogę, biorę głęboki, uspokajający wdech i powoli wypuszczam powietrze.

– Jestem gotowa.

Przez twarz żołnierza przemyka dziwny cień.

Pewnie tylko to sobie wyobraziłam, ale wyglądał jak cień strachu.

Wnętrze samolotu mogłoby służyć za definicję pojęcia *ostentacja*. Wszędzie pełno czarnej skóry, czarnego lakieru i złocen, nie licząc grubego, pluszowego dywanu barwy krwi. Na jednej ścianie widnieje wymalowany herb rodu Ivanowów, czyli złota zakrzywiona korona z klejnotami, zwieńczona krzyżem, na tle żółto-niebieskiej szachownicy.

Spoglądam na herb i spluwam na dywan.

– Czy to kolejny nowo nabyty zły nawyk? – pyta Dmitrij. – Czeka mnie mnóstwo pracy.

Siedzi sztywno w fotelu po drugiej stronie kabiny, zaraz przy zamkniętych drzwiach do kokpitu. Jest błądy i spocony. Widniejąca pod rozpiętą marynarką czarna koszula jest nasączona jego krwią.

– O ile najpierw nie wykończy cię ta rana.

– Doskonale wiesz, że byle postrzał mnie nie zabije – odpowiada z zimnym uśmiechem.

Pomimo rany jest opanowany. Nawet nie rozluźnił krawata pod szyją.

Powinam być przerażona albo wściekła, albo... doświadczać czegoś poza tym dziwnym poczuciem spokojnego oderwania od rzeczywistości. To pewnie szok. A może mój mózg skupia całe siły przerobowe na zwalczaniu cierpienia wywołwanego złamaniem ręki i potłuczeniami twarzy, która zdążyła napuchnąć tak bardzo, że nie widzę na prawe oko.

– Siadaj – rozkazuje – niech ci się przyjrzę.

Przez chwilę waham się w bezużytecznym przejawie buntu, ale potem siadam naprzeciwko niego i uważając na rękę, zatapiam się w miękkiej jak masło czarnej skórze. Następnie podnoszę wzrok, spoglądam mu prosto w oczy i po prostu patrzę.

Te czerwone usta, wydatne i wydęte, jak u dziewczyny. Te połyskujące blond włosy. Ta klasycznie przystojna twarz, delikatna i arystokratyczna, ma w sobie coś niewinnego, jest przyjemnie symetryczna.

Lucyfer, zanim zdradził Boga i został strącony z nieba, był ponoć najpiękniejszym z aniołów. Naprzeciw mnie siedzi niezbity dowód, że najcudniejsze piękno może skrywać największe zło.

– Najpierw prawda – zwraca się do mnie po dłuższej chwili. – Wiedziałas, że cię znajdę. Tak czy nie.

Wdech. Wydech. Tłumię ochotę, by skrzeczeć i obnażyć zęby, jak te nieumarłe potwory z horrorów, łaknące ludzkich mózgów.

– Tak.

Boże, ten przyprawiający o mdłości uśmiech. Ten przyprawiający o mdłości uśmiech samozadowolenia.

– Evalina, czy ty w ogóle wiesz, dlaczego zawsze byłaś moją ulubienicą? Dlaczego ścigałbym cię nawet na drugim końcu świata i dokładał wszelkich starań, żeby cię odzyskać, choć o tyle prościej byłoby po prostu się cię pozbyć?

Zastanawiam się. Potwór jest we wspaniałomyślnym nastroju, człowiek, którego kocham, być może nie żyje, a cały mój świat zasypały popioły, więc mogę doprowadzić tę mroczną gierkę do końca.

– Bo nie możesz znieść myśli, że straciłeś coś swojego?

– Nie.

Nie dodaje nic więcej, więc pytam:

– To pytanie wielokrotnego wyboru czy też łaskawie zdradzisz mi odpowiedź?

– Ponieważ ze wszystkich kobiet, jakie miałem, tylko ty okazałaś się niezłomna.

Niezłomna.

W jego tonie pobrzmiwa tęsknota za nieosiągniętym celem, ekscytacja myśliwego opowiadającego o tygrysie ludojadzie, którego pragnie złowić, wypchać i powiesić nad kominkiem. Przelykam ślinę i przechodzi mnie lekki dreszcz. Uśmiech Dmitrija staje się złowieszczy.

– Uginająca się na wietrze trzcina jest silniejsza niż potężny dąb, który łamie się podczas burzy. Konfucjusz tak powiedział.

– Jakże pouczające.

Ignoruje mój cierpki sarkazm.

– Jesteś moją trzcina. Dostrzegłem to od razu, gdy cię ujrzałem. To było tyle lat temu, tańczyłaś tam, na scenie Teatru Maryjskiego i moje serce nagle stanęło. Bo wiedziałem, że znalazłem to, czego

szukałem.

Wykrzywiam twarz z niesmakiem, mój żołądek skręca się w supeł.

– Niewolnicę?

– Nie... – Wzdycha, a w jego oczach pojawia się błysk. – Równą sobie.

Parskam krótkim, jędzowatym śmiechem.

– Abstrahując na moment od tych bzdur, trzymałeś mnie jak psa. W klatce. Założyłeś mi obrozę.

Robiłeś mi niewysłowione rzeczy, nadal je czuje, teraz, gdy siedzę i rozmawiamy. Nie próbuj dorabiać ideologii do prostej prawdy: podnieca cię mój ból.

– Próba ognia – stwierdza spokojnie. – Jeżeli chcesz sprawdzić, czy glina, którą formujesz, wytrzyma, musisz wsadzić ją do pieca, inaczej się nie da.

Patrzę na niego z obrzydzeniem, które ustępuje jedynie mojemu niedowierzaniu.

– Czyli jestem garnkiem, a ty garncarzem?

– Przyznaję, że to dość toporne porównanie.

– Kompletnie ci odbiło. Wiesz o tym, prawda? – pytam, po czym prychem.

– Tak? Spójrz na siebie. Siedzisz tu opanowana, wręcz krnąbrna, choć ewidentnie masz złamaną przynajmniej jedną kość, zasłonięte opuchlizną oko, a twój kochanek dopiero co zginął na twoich oczach. Gdyby nie spędzone ze mną lata, prawdopodobnie ślęczałabyś zwinięta w kącie, całkowicie otępiała z bólu i żalu.

„*Twój kochanek zginął na twoich oczach*”.

Eva, oddychaj. To książkę kłamstw. Po prostu oddychaj.

– Czyli uważasz, że powinnam ci podziękować – cedzę przez zaciśnięte zęby.

Leniwie przesuwam po mnie wzrokiem.

– Później będziesz miała okazję okazać wdzięczność.

– Och, coś ci później okażę, bez dwóch zdań, ale nie będzie to wdzięczność.

Przechyla głowę na bok i przygląda się mojej minie z zaciekawieniem naukowca.

– Ty naprawdę go kochałaś, prawda?

Kochałaś, czas przeszły. Jeżeli kłamię, to bardzo się pilnuje.

Na moment muszę odwrócić wzrok, żeby wziąć się w garść. Wolałabym skonać, niż się przed nim rozpłakać.

– Już ci powiedziałam, co się stanie, gdy stracisz ten atut – odzywam się głosem stłamszonym nienawiścią.

– Zgadza się. Że zabicie mnie będzie twoim jedynym życiowym celem. Przerazające – odpowiada znudzonym tonem. Po chwili pyta: – Dlaczego się uśmiechasz?

Obracam głowę i znowu patrzę mu w oczy.

– Lekceważysz mnie, będzie tym zabawniej.

Spodziewam się z jego strony furii, a otrzymuję coś bliższego podnieceniu.

Nachyla się i zamyka moją złamaną rękę w żelaznym uchwycie, rozrywa mnie straceńcze wycie cierpienia.

Zwleka mnie z fotela na podłogę i nachyla się jeszcze bliżej.

– Oj tak, kochana, będziemy się bawili na wszelkie sposoby – szepcze gardłowo, gdy wiję się z bólu u jego stóp. – Poczekaj cierpliwie, sama zobaczysz.

– Och, przepraszam pana.

Po naszej lewej, w przejściu między fotelami, pojawia się mężczyzna. Łysieje, ma okulary, elegancki błękitny garnitur i wyglansowane oksfordy. Trzyma w ręce sporą czarną torbę. Wygląda jak księgowy.

Dmitrij puszcza moją rękę i rozluźnia się w fotelu, ale najpierw wymierza mi kopniaka, po którym rozpląszczam się na podłodze. Przewracam się na plecy, jęczę z cierpiętniczego bólu, staram się nie zwymiotować.

Mężczyzna z torbą patrzy na mnie beznamiętnie.

– Nie przejmuj się nią. Obejrzyj to – mówi do niego Dmitrij.

Wstaje, zrzuca marynarkę, poluzowuje krawat i ściąga go przez głowę, po czym rozpina koszulę.

Rzuca te części garderoby na zajmowany przeze mnie chwilę temu fotel i pozwala człowiekowi z torbą zbadać dziurę w bocznej części brzucha.

Ja wielokrotnie przełykam ślinę, duszę się własnymi jękami, przyciskam rękę do ciała i z całych sił staram się zachować przytomność. Ból jest tak silny, że nie jestem w stanie skupić się na niczym innym. Istnieje tylko rozpalony do białości ośrodek cierpienia, który przyćmiewa wszystko inne.

Uruchamia się prastary nawyk. Chowam się do kryjówki głęboko w umyśle, w której nic nie może mnie dosięgnąć. Odkryłam to miejsce pewnej nocy w szpitalu, w pierwszym przerażającym roku z Dmitrijem, to małe, ciemne miejsce odosobnienia, które zapewniało mi przetrwanie.

Rechtot zadowolenia Dmitrija dobiega do mnie jakby z oddali.

– Tak, właśnie tak, mała trzcinko. Ugnij się, no już.

Dokłada mi jeszcze jeden brutalny kopniak.

Z głośników odrzutowca rozlega się koncert fortepianowy Rachmaninowa. Lekarz opatruje ranę Dmitrija, a ja leżę na podłodze skulona, pozbawiona życia, niczym uschnięty liść, który opadł z gałęzi wraz z nadejściem zimy.

Tyle że życie wciąż się we mnie tli. Żyję. W więzieniu mego poturbowanego ciała wciąż bije serce.

Naz. Naz. Naz.

Każde ciężkie łupnięcie wygrywa jego imię. Wszystkie kości i ścięgna wyją za nim z tęsknoty. Każdy oddech niesie świadectwo niemożności istnienia w świecie, w którym nie ma go u mego boku.

Ale czy to prawda? Może on też gdzieś tam żyje i oddycha, i rozpaczliwie chce mnie odszukać? Czy ten mój żal to tylko kolejny ponury ruch w prowadzonej przez Dmitrija partii szachów?

Niewiedza jest torturą. Zaciskam mocniej powieki, przełykam ślinę i tłumię skowyt bólu.

– Nastaw jej tę rękę i zobacz twarz – rozkazuje Dmitrij lekarzowi, który musiał już skończyć z jego raną. – Ale żadnych środków przeciwbólowych. Jeszcze na nie nie zasłużyła.

Mężczyzna mruczy coś posłusznie. Nie brzmi ani na zaskoczonego, ani oburzonego, jest całkowicie uległy. To człowiek przywykły do towarzystwa bólu innych.

Czuję na ramieniu lekki dotyk. Nie reaguję, więc mężczyzna mówi:

– Będzie nam łatwiej, jeśli usiądziesz.

Jego ton brzmi wręcz gawędziarsko i beztrzesko. Nastawi mi tę kość, nawet jeśli nie będę współpracowała. Rozważam, czy się podporządkować, czy lepiej kopnąć go w jaja, gdy wtem w zakamarku mojego umysłu znów rozbrzmiewa ta okropna nadzieja. Przypomina mi, że rozsądniej zachować siły do walki, gdy będą naprawdę potrzebne.

Otwieram oczy, tłumię kolejny jęk bólu i podnoszę się lekko. Opieram się o bok fotelu, podciągam kolana nieco wyżej i patrzę na lekarza. Kuca przede mną, przygląda się przedramieniu. Jest czarno-sine, groteskowo opuchłe i wygięte pod wstrętnym kątem. Dmitrij stoi kawałek dalej, zapina świeżą koszulę, jest zabandażowany w talii.

Jeden kącik ust ma wyraźnie wygięty.

Od razu rozpoznaję tę wymowną pozę. To wyczekiwanie. Nie może się doczekać wrzasków mojego bólu.

Bezdzuszny gnoju. Już nigdy, przenigdy nie wydusisz ze mnie ani jednego krzyku.

Jeżeli serce może zamienić się w kamień, to moje właśnie skamieniało.

– Najpierw ręka – mówię, patrząc lekarzowi w oczy, ale on mruczy lekceważąco i kręci głową.

– Najpierw powinienem oczyścić i zszyć to rozcięcie pod okiem. Jak zacznę od ręki, to mi tu zemdlejesz, zanim dojdziemy do twarzy.

– Najpierw. Ręka – powtarzam, patrząc na Dmitrija.

Delikatne wygięcie kącika ust niknie, zastępuje je grymas niezadowolenia.

Kończy zapinać koszulę, wsadza ją za pasek, zawiązuje i poprawia krawat, zaciskając go mocno pod szyją. Potem siada, zarzuca nogę na nogę, wygładza krawat na piersi, kładzie swobodnie ręce na podłokietnikach i patrzy na mnie.

Gdy lekarz przesuwając palcami wzdłuż mojego przedramienia, szybko i sprawnie oceniając uraz, a potem przykładając kciuk i palec wskazujący do nadgarstka, żeby sprawdzić mi puls, patrzę Dmitrijowi prosto w oczy. Ból przeszywa mnie kłującymi, mdlącymi falami, ale nie odklejam oczu od Dmitrija. Także wtedy, gdy lekarz mówi:

– Zamknięte złamanie proksymalne kości łokciowej i promieniowej. Masz szczęście, że kości nie przebiły skóry. Poruszaj palcami.

Ruszam wszystkimi pięcioma palcami, ciągle patrząc na Dmitrija.

Jego oczy nic nie zdradzają, a mina i postawa są błogo odprężone. Zdradza go tylko jeden palec. Palec wskazujący jego prawej ręki zaczyna wybijać na podłokietniku spokojny, miarowy rytm.

– Wygląda na to, że nerwy są nienaruszone – stwierdza lekarz. – Jeżeli się okaże, że potrzebujesz operacji, to będzie możliwa dopiero po zejściu opuchlizny, tymczasem nastawię ci kości. Zaboli. Powiedz, gdy będziesz gotowa.

Nie będę krzyczała. Nie pozwolę sobie na krzyki. Nie. Będę. Krzyczała.

– Jestem got...

Lekarz szarpie i ustawia złamane kości we właściwej pozycji, zanim zdążyłam dokończyć.

Zalewa mnie pustynny żar. Cała krew odpływa mi z twarzy. Biorę ostry wdech, wytrzeszczam oczy. Ból jest tak potężny, że zaraz chyba zwałę się na bok.

Ale zamiast tego zginam się w pół i wymiotuję na krwistoczerwony dywan.

Pluję i charczę, tymczasem on cierpliwie klęczy obok mnie w swoim błękitnym garniturze i trzyma moją rękę. Gdy mój żołądek jest całkiem pusty, ponownie siadam prosto, ciężko dysząc. Trzęsę się. Po czole spływają mi strużki zimnego potu, docierają do oczu.

– Widzę, że jadłaś warzywa na obiad – stwierdza nieporuszony reakcją mojego organizmu lekarz.

– Zupę jarzynową – uściślam ochryple.

Dmitrij nadal na mnie patrzy, ale jego palec zamarł w bezruchu, a kącik jego ust znowu wygiął się do góry.

Mechaniczne schody samolotu się składają, drzwi do kabiny zamykają. Silniki zawodzą głośniejsze. Lekarz układa moją rękę na łubkach i przygotowuje schludny temblak, a następnie wyciąga z torby buteleczkę płynu odkażającego i kawałek gazy, po czym zaczyna wycierać moją twarz.

W tym momencie zza czarnej, aksamitnej zasłony w tylnej części samolotu wyłania się piękna stewardessa o kruczoczarnych włosach, ma na sobie króciutką spódniczkę i wysokie szpilki.

Patrzy na mnie. Patrzy na lekarza. Patrzy na Dmitrija, a potem na kałużę żółtawych wymiocin. Następnie, ze szklistym spojrzeniem i obojętną miną typową dla ludzi, na których takie horrory nie robią wrażenia, bo zdążyli do nich przywyknąć, mówi:

– Zaraz startujemy. Posprzątam ten bałagan. Czy ktoś ma ochotę na drinka?

– Otwórzmy dużą butelkę Cristala – odpowiada Dmitrij. – Mam ochotę poświętować. Moja zaginiona owieczka znowu odnalazła drogę do domu.

Na jego ustach zakwita leniwy, zły uśmiech.

Samolot startuje. Lekarz zszywa rozcięcie na policzku, a potem natychmiast zasypia w fotelu przy oknie. Stewardessa zmywa moje wymiociny z dywanu, podaje Dmitrijowi szampana, a potem pada przed nim na kolana i rozpina mu spodnie.

Dmitrij obserwuje mnie spod lekko spuszczonej powieki, znad krawędzi kryształowego baccarata do szampana, podczas gdy ona bierze w usta jego stojącego członka. Szarpie ją za włosy i wpycha go najgłębiej jak może, aż kobieta się krztusi.

Oto wracam do wynaturzonego królestwa szalonego potwora.

ROZDZIAŁ 3

Eva

Samolot ląduje w ulewie. Atramentowe niebo oczyszcza się grubymi, lodowatymi kroplami, które przemaczają mnie, gdy idę bosa i drżąca do czekającego po drugiej stronie pasa Phantoma.

Dmitrij kroczy obok, trzymając mnie mocno za kark.

Wybiega ku nam ubrany w uniform szofer z parasolem. Dmitrij odgania go machnięciem dłoni i nakazuje otworzyć drzwi. Gdy mężczyzna wypełnia polecenie, Dmitrij wpycha mnie do środka i wchodzi na siedzenie za mną. W środku przygląda mokre włosy, podczas gdy ja kulę się w kącie. Szofer zamyka drzwi, wskakuje za kierownicę i rusza.

Po kilku minutach zerkam na Dmitrija. Patrzy przez okno na skąpaną w deszczu noc.

– Gdzie jedziemy?

– Zobaczysz.

Minę ma neutralną, lecz ton ostry, jak zawsze, gdy jest podekscytowany.

Ma powody do ekscytacji. Złapał swojego zbiegłego króliczka doświadczalnego i zawlókł z powrotem do klatki, gdzie będzie prowadził kolejne eksperymenty mające ustalić, ile bólu zwierzątko wytrzyma.

Ale jeśli króliczek będzie miał głowę na karku, to zadba, by Dmitrij był spokojny, dopóki sam nie znajdzie jakiejś broni.

Rozglądam się ukradkowo i oblizuję wargi, serce wali mi o żebra jak uwięziony w klatce koliber.

– Jak mnie znalazłeś?

Parska krótkim śmiechem.

– Tyle pytań. Zapomniałaś, jak bardzo ich nie lubię.

Obraca głowę, żeby na mnie spojrzeć. Mijana latarnia rzuca światło na wyraźne wybrzuszenie w jego spodniach. Odwracam wzrok, niedobrze mi. Mam ochotę przykleić się do drzwi, ale tłumię to pragnienie.

Stewardessa nie zaspokoila jego apetytu.

– Te ubrania też mi się nie podobają.

Wyciąga rękę i dotyka mojego T-shirtu, potem przesuwa palcem po mojej nagiej ręce. Gdy zamieram i dostaję gęziej skórki, wydaje gardłowy odgłos zadowolenia.

– Wiesz, jak bardzo chciałbym cię od razu zerznąć, Evalino? – pyta aksamitnie miękkim głosem. – Jak bardzo chciałbym zerwać z ciebie te szmaty, złapać cię za gardło i jebać, słuchając twoich zduszonych krzyków? Hmm?

Nie mogę odpowiedzieć, bo mam zbyt wysuszone usta. Siedzę więc w pełnej napięcia ciszy i wsłuchuję się w bębniący o dach deszcz.

– Dobrze wiesz. – Rechocze, a potem wydaje odgłos, który bardziej przypomina jęk niż westchnięcie. – Zawsze dobrze wiedziałaś, czego chcę. Tęskniłem za tym. – Jego głos obniża się o oktawę, robi się gardłowy. – Tęskniłem też za twoją słodką cipką. Słodką i ciasną. A może twój martwy kochanek rozciągnął ją swoim wielkim fiutem?

Tworzę ostry jak brzytwa obraz uprawiającego ze mną miłość Naza, jak ujmuje moją twarz w dłonie, jak szepcze słowa oddania, składając nasienie w moim ciele, zagarniając je, a także może moją duszę, na własność.

Wzbiera we mnie tsunami żalu i wściekłości. Bulgoczące, wrzące tsunami, które pochłania na swojej drodze każdą racjonalną myśl i nasycza moją krew trucizną.

– Tak, rozciągnął mnie. Gdybyś mnie teraz wyruchał tym swoim tycim kutasikiem, to tak jakbyś chciał wsadzić słoniowi w dupę malutką marchewkę.

Zauważam we wstecznym lusterku, jak szofer wytrzeszcza oczy. Zerka na mnie i nasze spojrzenia się spotykają, ale pośpiesznie odwraca wzrok, jakby się bał, że jeśli szef go na tym przyłapie, będzie musiał cierpieć tak samo jak ja.

Ale Dmitrij zaskakuje nas oboje, bo wybucha śmiechem.

– Uroczą wizja. Zawsze miałas ostre poczucie humoru. Doprowadzał cię do orgazmów?

Zadał to pytanie lekkim tonem, ale ewidentnie węszy, szuka jakichś słabości. Czułych punktów, w które mógłby wbić palec. Gryzę się w język i wyglądam przez okno, ale milczenie tylko rozbudza w nim ciekawość.

Pochyla się, łapie mnie za szczękę, zmusza, bym na niego spojrzała.

– Odpowiadaj.

Wyłapie moje kłamstwo. Zawsze wyłapywał. Więc mówię mu nagą prawdę, i to głosem aż ciężkim od emocji.

– Tak.

Pozwala wzrokowi błędzić po mojej twarzy, nasycać się moim cierpieniem. Tarza się w nim jak knur w łajnie. A potem jego różane usta rozciągają się w okrutnym uśmiešku.

– Opowiedz mi o tym.

Nasadą drugiej dłoni pociera o wybrzuszenie w kroczu.

Moje tętno wystrzeliwuje w kosmos. Utknęłam pomiędzy odruchem ucieczki i walki, instynktownie czuję, że to przeciąganie z jego strony będzie jeszcze gorsze od czekających mnie później udręk.

Ma rację. Zawsze wiem, czego chce. A teraz chce, bym opowiedziała mu historyjkę. Bardzo konkretną. Jeżeli opowiem, oszczędzi mi bicia.

Albo czegoś gorszego.

Oblizuję wargi i naprężam nerwy.

– Mnie... podobało mi się. Było przyjemnie.

Mruga powoli, jego oczy robią się rozpalone.

– Ale co ci robił, że było tak przyjemnie?

– Lubił brać mnie ustami. Lubił używać języka.

Palce Dmitrija zaciskają się mocniej na mojej szczęce. Jego ręka porusza się niezmiernie w kroczu.

– Mów dalej.

– On... całował mnie tam...

– Gdzie?

– Między nogami.

Odgłos rozpinanego gwałtownie rozporoka. Dmitrij grzebie gorączkowo w spodniach, znajduje, czego szuka, bierze to mocno w garść.

– Pozwalałaś mu lizać się po cipie?

– Tak.

Porusza dłonią w górę i w dół, pieści sterczącą erekcją.

– Szmata – dyszy. – Moja słodka, mała szmata. Byłaś zachwycona, prawda? Jego zachłanną mordą na swojej cipie?

Połykam szloch i szepczę:

– Tak.

Dmitrij zsuwa dłoń z mojej szczęki na gardło i zaciska. Jest taki podniecony, że dłoń mu się trzęsie. Druga jest zajęta w jego spodniach.

– A potem? – rzuca niecierpliwie.

– Potem... mnie rznął.

Dmitrij cicho jęczy, ręka w spodniach przyśpiesza.

– Czasami ostro. Czasami delikatnie. Ale zawsze głęboko.

– Miał wielkiego fiuta – szepcze tak blisko mojej twarzy, że jego oddech porusza moimi włosami. – Kazał ci go ssać?

W moim gardle pęcznieje wielka, kwaskowata gula. Jestem na skraju płaczu, ale nie mogę dać mu tej satysfakcji.

– Nie. Sama chciałam.

– Chciałaś... – powtarza zdumiony.

– Tak. Chciałam go zadowolić – odpowiadam zgodnie z prawdą.

Dmitrij sapie, napina biodra do rytmu ruchów dłoni.

Zaciskam powieki i mówię szybciej, bo wiem, że jest blisko szczytu, wiem, jak go nań wyprowadzić, i wiem, że im szybciej dojdzie, tym szybciej wypuści mnie z tego piekła.

– Klękałam, brałam go w usta i ssałam, aż był na krawędzi, a potem rzucał mnie na czworaka i pieprzył od tyłu, albo dosiadałam go, żeby mógł mnie rznąć, gniotąc piersi...

Przeciągły, niski jęk. Dmitrij wygina się na fotelu, napina.

– Kochał moje piersi – kontynuuję zduszonym, drżącym głosem. – Bez przerwy chciał je całować. Lubił gryźć sutki, z idealnie wymierzoną siłą, do lekkiego pieczenia...

Dmitrij zachłystuje się powietrzem.

– Ale czasami na tyle mocno, że zostawały ślady zębów... – dodaję szeptem.

Dmitrij dochodzi z jękiem i drżeniem, zaciska dłoń na moim gardle tak mocno, że się krztuszę.

Kilka razy cały podskakuje, sapie, a potem pada na mnie zwiotczały i dyszy mi na szyję. Chwytny na moim gardle słabnie. Kaszlę, rozpaczliwie walcząc o oddech.

Jego rozpalone, wilgotne usta lądują na mojej szyi, krzywię się z obrzydzeniem.

– Grzeczna dziewczynka... – mówi, ciężko dysząc. – Moja cudowna, grzeczna dziewczynka. Nigdy mnie nie zawodziś. Boże, jak ja za tobą tęskniłem.

Eva, nie płacz. Bądź silna. Nie wąż się płakać.

Powtarzam to w duchu, podczas gdy on rozwala się na fotelu z westchnięciem zadowolenia.

Otwiera schowek w podłokietniku i wyciąga ręcznik, którym się wyciera. Sięga do schowka ponownie i wydobywa buteleczkę z białego plastiku. Wytrząsa z niej na dłoń dwie podłużne, niebieskie pigułki i podaje mi je.

Środki przeciwbólowe.

Zasłużyłam. Ale czy nie zaszkodzą zaczątkowi życia, które być może noszę w brzuchu?

Z drugiej, gorszej strony, jaką Dmitrij wyrządziłby nam krzywdę, gdyby dowiedział się o tym życiu?

Biorę więc pigułki, wsadzam je pod język i udaję, że połykam.

– Co ty wyprawiasz? – pyta po chwili Dmitrij.

Cholera. Jeżeli nabierze podejrzeń, to będzie katastrofa, połykam więc pigułki, tym razem naprawdę.

– Trudno je przełknąć bez wody.

Jedziemy w ciszy, ale on bacznie przygląda się mojemu profilowi, a ja siedzę sztywna na fotelu i modlę się do Boga o wybawienie.

Ale Bóg chyba mnie nie słucha.

Gdy jakiś czas później się zatrzymujemy, przebywam w ciemnym, odludnym miejscu w głębi mojego umysłu. Dmitrij musi wołać kilkakrotnie, coraz głośniejszym głosem, żeby do mnie dotrzeć. Jego głos dochodzi jakby spod wody.

– Evalina. Evalina, obudź się.

Pstryka palcami tuż przed moim nosem, ale ja wcale nie spałam. Po prostu wybrałam się na przechadzkę po mrocznym gąszczu umysłu.

Naz, żyj, proszę cię. Proszę.

– Nie śpię. – Słyszę własną odpowiedź, dochodzi gdzieś z daleka.

To oderwanie od rzeczywistości to dar, który trwa, gdy Dmitrij wysiada z samochodu, obchodzi go i otwiera drzwi po mojej stronie. Uśmiecha się i wyciąga do mnie rękę. Jego demoniczny, ostry i złowieszczy uśmiech gwarantuje, że czeka na mnie miejsce w pierwszym rzędzie piekła. Jego idealne

blond włosy lśnią perłowo w świetle księżyca.

Łapię go za rękę, pozwalam, by pomógł mi wysiąść, lecz gdy próbuję stanąć, padam na kolano. Żwir wpija się zębami w rzepkę kolanową.

– Moja owieczka jest słabiutka – mówi uradowany, po czym szturcha mnie czubkiem buta. – Możesz iść, czy mam cię zatargać do środka za włosy?

Zmuszam się, by wstać, tłumię falę mdłości. Pomimo pigułek ręka pulsuje bólem, skóra wokół szwów na policzku jest gorąca i napięta, boli też tam, gdzie mnie kopał.

Ale o wiele gorszy jest ból w piersi, dochodzi z obszarpanej dziury, w której niegdyś biło serce. Jest niczym fantomowy ból kończyny, mimo że serca już nie ma, to wciąż o nim pamiętam, cierpi od kolejnych uderzeń całunek otępienia, którym otulił się mój umysł. Muszę naprężyć całą siłę woli, by bez jęków bólu stanąć prosto przed Dmitrijem.

– Przepięknie cierpisz – zauważa z błyskiem w oku. – Cóż za stoicyzm. Ale długo tak nie pociągniesz. Wypatrywałem naszego spotkania od miesiący. – Jego uśmiezek robi się jadowity. – Miałem masę czasu na obmyślanie kreatywnych kar.

Zaciska twarde palce na mojej zdrowej ręce i ciągnie mnie za sobą. Skamle cicho z bólu, potykam się. Lodowaty żwir wcina się moje bosc stopy.

Podnoszę wzrok i zauważam czekające na mnie więzienie.

Nawet zamek Drakuli nie wzbudzałby większej trwogi.

Strzeliste czarne wieże dżgają niebo, rozpraszając światło gwiazd. Tysiąc ciemnych okien mierzy nas wrogimi, zmrużonymi spojrzeniami. Majestatyczna, rozległa, straszna w świetle księżyca posiadłość przypomina jedno z tych miejsc, gdzie na strychu dryfują duchy, a w labiryncie ciągnących się pod podłogą lochów czyhają mięsożerne bestie.

Moja dusza kuli się jak zapędzony w kozi róg kocur, syczy i jeży się na widok zamczyska.

– Co to za miejsce?

– Twój nowy dom.

Nie wchodzimy po spękanych marmurowych schodach, które przez zwiędły ogród prowadzą ku głównemu wejściu, lecz obchodzimy północne skrzydło, idziemy pod łukowatą kolumnadą obrośniętą martwym bluszczem i docieramy pod duże drewniane drzwi. Są proste, bez żadnych otworów, wciśnięte w kamienny mur. Pilnują ich krzepcy ochroniarze z bronią maszynową.

Na nasz widok stają na baczność.

– Otwierać – warczy Dmitrij, gdy podchodzimy.

Jeden z ochroniarzy wyciąga z kieszeni marynarki pokaźne kółko z kluczami. Wybiera jeden z wielu długich kluczy, wsadza go w zamek, a następnie przykładając mięsistą łapę do skrzydła drzwi i popycha. Odsuwa się na bok, żeby nas przepuścić, jego twarz przypomina płaski gład.

Drzwi zamykają się za nami ze stłumionym łupnięciem, a zimny podmuch wiatru wprawia w drżenie płomień świec spoczywających w mosiężnych kandelabrach, ustawionych pod ścianami z piaskowca. W zacienionych rogach pod sufitem migoczą pajęczyny.

– O, wcale tu nie strasznie – mówię, stając obok Dmitrija w zatęchłym mroku. – Prowadzisz mnie do lochów rozpaczy, panie?

– Zamknij się – warczy lodowato. Nie wyłapał nawiązania do *Narzeczonej dla księcia*. Jedyne mężczyzna, który by je wychwycił, być może odszedł na zawsze.

Przełykam ślinę wdzięczna za umyślowe oderwanie od rzeczywistości, bo tylko dzięki temu nie padłam na podłogę, wyjąc ze zgryzoty.

Dmitrij ciągnie mnie za rękę. Schodzimy po nierównych, kamiennych schodach, temperatura spada z każdym krokiem. Czuję mech, zgniliznę i odchody myszy, słyszę odległe kapanie wody. Stopnie są tak zimne, że aż parzą w stopy.

Na rubieżach mojego nienaturalnego spokoju czai się groźnie histeria, ale odpycham ją i zmawiam modlitwę do Judy Tadeusza, patrona spraw beznadziejnych. Ale chyba jest razem z Panem Bogiem na przedłużonym urlopie, bo na dnie spiralnych schodów wcale nie czeka wybawienie.

Wita mnie tam prywatne piekło.

– Podoba ci się? – pyta Dmitrij tonem czułym jak pieszczota. – Gdy zbudowali tę posiadłość,

była tu piwniczka na wina, ale od dziesięcioleci stoi pusta. Kazałem ją przygotować specjalnie na twój powrót.

Pomieszczenie jest ciasne, okrągłe i urządzone jak więzienna cela. W środku stoi tylko wąska prycza przykryta szorstkim, szarym kocem, metalowy stojak podtrzymujący porcelanową miskę z wodą do splukiwania zlewu oraz czarny garnek z litego żelaza. Ten ostatni postawiono na podłodze, zakładałam więc, że to toaleta. Pozbawione okien kamienne mury ciągną się wysoko, niknąc w ponurym cieniu. Nie ma żadnego oświetlenia, lustra ani bieżącej wody. Usiąść można na łóżku lub gołej podłodze. Światło daje tylko woskowa świeca, stojąca we wnęcie nad łóżkiem, ale sądząc po jej wysokości i wątlności targanego przeciągiem płomienia, wkrótce zgaśnie.

Zamykam oczy, biorę głęboki wdech i zostawiam za sobą całą swoją tożsamość. Dopóki się nie dowiem, co spotkało Naza, i nie upewnię, że w moim brzuchu naprawdę powstał załazek życia, mam tylko jedno, *jedyne* zadanie – przetrwać.

Otwieram oczy i patrzę na Dmitrija.

– Planujesz mnie tu zostawić, żebym zgniła?

Odpowiada mi śmiechem, na którego widok sam diabeł skuliłby się ze strachu.

Odwraca się i rusza w górę krętymi schodami. Ciężkie drewniane drzwi otwierają się, a potem zamykają. Klucz przekręca się w zamku.

Siadam na łóżku i gapię się w ścianę, dopóki świeca nie gaśnie. Potem zostaję sama w zimnej, czarnej i milczącej jak daleki kosmos ciemności. Wtedy miazdzą mnie żal i histeria, które przez cały ten czas powstrzymywałam, odrzucam głowę do tyłu i wrzeszczę imię Naza.

Zza zamkniętych drzwi dobiega słaby dźwięk śmiechu satysfakcji.

ROZDZIAŁ 4

Naz

To zabawne, dostać postrzał. Takie coś może zniszczyć człowiekowi całkiem miły dzień.

Podnoszę głowę i patrzę na siebie. Szkoda, że to zrobiłem. Jestem cały we krwi. Nie wiem, gdzie mam dziury postrzałowe i ile ich jest, ale ból stworzył samodzielny, demoniczny byt, który zawładnął moim ciałem. Rozdzierająca udręka pulsuje falami od palców stóp po sam czubek głowy. Czuję się, jakby zeżarł mnie i wysrał velociraptor. Każdy oddech jest jak tortura.

Ale ból jest nieważny. Na całym świecie liczy się tylko Eva. Muszę oczyścić głowę i działać.

Później będę się martwił, jak Dmitrij nas znalazł. Jeżeli ten bydlak Killian miał z tym coś wspólnego...

Przestań! Skup się! Ruszaj dupsko!

Odsuwam na bok ból i panikę, koncentruję się z najwyższym trudem, siadam i oceniam sytuację.

W prawej łydce zieje poszarpane rozcięcie, kula musiała otrzeć się w locie o mięsień. Krew leci jak z cebra, ale to powierzchowna rana. Bardziej problematycznie zapowiada się dziura wlotowa po lewej stronie dolnej części podbrzusza. Też mocno krwawi, na szczęście, wymacawszy ostrożnie okolicę rany palcami, znalazłem wyżej na plecach ranę wylotową, a to dobrze.

„Dobrze” zważywszy na okoliczności. Wychodzi na to, że pocisk ominął klatkę piersiową, a wszystkie ważne organy są nieco wyżej. Mogę zabandażować ranę i jakoś funkcjonować.

No chyba że bakterie dostaną się z okężnicy do jamy brzusznej i wda się sepsa.

Najgorzej wygląda sprawa z raną w piersi.

Jest po prawej stronie, pod obojczykiem. Przynajmniej daleko od serca. Natomiast biorąc pod uwagę, jak trudno mi wziąć głębszy wdech, prawdopodobnie mam rozjebane płuca.

Słyszę zbliżające się z oddali wycie syren, równocześnie zauważam, że w przedpokoju i na schodach przed drzwiami leżą zwały trupów.

Do mieszkania wpada pół tuzina wymachujących bronią Niemców w czarnych płaszczach przeciwdeszczowych.

– Rychło wczas, palanty! – charczę wściekły. – Gdzieście byli pięć minut temu?!

Ignorują mnie, przeskakują nad ciałami ludzi Dmitrija, rozpraszają się po pomieszczeniu w wyćwiczonej formacji i przeszukują teren w poszukiwaniu zagrożenia, które przed chwilą przegapili.

Muszę pogadać z Connorem o jego europejskich zasobach. Chyba nie są najostrzejszym orężem w arsenale firmy.

Jeden z Niemców – najwyższy, obcięty na platynowego jeża, ze srebrnymi obrączkami na obu kciukach – kuca obok mnie. Przygląda się mojemu nagiemu, zakrwawionemu ciału i kręci głowę.

– Widywałem mniej podziurawiony szwajcarski ser – stwierdza.

Jego akcent jest równie toporny co poczucie humoru. Chętnie wydłubałbym mu oczy palcami, ale syreny zawodzą coraz bliżej, a panika, którą usilnie próbuję tłumić, urządza sobie zakrojone na szeroką skalę manewry w moim układzie nerwowym.

– Pomóż mi się podnieść.

Niemiec chowa broń w kieszeni płaszcza i unosi mnie, wsadziwszy ręce pod moje pachy. Rozsądnie daruje sobie komentarze odnośnie do moich zbolałych jęków i niemożności utrzymania ciężaru ciała w pozycji wyprostowanej. Gdy już mnie podnosi, wspieram się na nim i zasysam powietrze przez zęby.

Krzyczy coś po niemiecku do towarzyszy, którzy jak na komendę stają przed nim w szeregu i gapią się na mnie, jak na wystawowe bydło przed aukcją. Obnażam zęby jak wściekłe zwierzę.

– No, napatrzcie się, dupki. Cały ten burdel to wasza wina. Gdybyście zrobili swoje i mnie ubezpieczali, nie wyglądałbym jak pierdolone sito!

– Mam hipoglikemię. Wstąpiliśmy coś przekąsić – odpowiada jeden, wzruszając ramionami.

Posyłam mu nienawistne spojrzenie.

– Zabiję cię, jeśli sam najpierw nie umrę.

Gość ma czelność robić urażone miny.

– Cóż, kiepsko byś na tym wyszedł – odpowiada wyniośle – bo tylko ja mam numery blach białego dostawczaka z przyciemnionymi szybami, który przed chwilą przemknął ulicą. – Zaciska usta. – Ciekawe, kto też mógł w nim być.

Jestem tak wstrząśnięty, że prawie się przewracam.

– Debilu jebany, dzwoń zaraz do centrali, żeby go wysłedzili! Na co czekasz, do cholery?!

Na zewnątrz rozlega się symfonia syren. Przed budynkiem zahamował z piskiem opon chyba cały pluton pojazdów. Zauważam przez balkonowe okno, że mury budynku naprzeciwko rozświetlają czerwono-białe światła.

Gliny.

Kurwa mać.

Da się stąd wyjść tylko schodami, wpadniemy prosto na nich.

Gdy wydaję z siebie ryk frustracji, podtrzymując mnie Niemiec przewraca oczami.

– Amerykanie, ależ wy zawsze dramatyzujecie. Zajmę się tym.

Przekazuje mnie koledze i wymaszerowuje frontowymi drzwiami, przekraczając zwinnie zwłoki, a potem znika na schodach.

Poszedł się z nimi przywitać? Gdy patrzę za nim z lekko rozdziawioną gębą, ten święcie oburzony mówi:

– Nie bój się. Günter ma wysoko postawionych znajomych.

Nie mam czasu zapytać, jak wysoko, bo mój mózg dochodzi do wniosku, że ma już dość niewysłowionego bólu, utraty krwi i innych pierdół, więc najwyższy czas na moment się odmeldować.

Pokój się kurczy, ciemnieje, a potem upadam.

Jakiś czas później budzę się nagle, serce mi wali, jakby ktoś potraktował je defibrylatorem.

Leżę w karetce, do połowy ciała pod białym prześcieradłem. Pędzimy z maksymalną prędkością, pod wyjącymi syrenami, i wykonujemy dzikie manewry na jezdni.

Obok, na wąskiej składanej ławce, siedzi spokojnie Killian. Ma na sobie ten sam nieskazitelny garniaczek, w którym przyszedł na spotkanie w katedrze.

– Mam pytanie – informuje, zauważywszy, że się ocknąłem. – Czemu jesteś goły?

– Gdzie Eva?! Co się dzieje?! – ryczę. – Jeżeli pomogłeś Dmitrijowi nas znaleźć, to cię zabiję!

Patrzy na mnie rozbawiony i unosi lekko brew.

– Masz sporo animuszu, jak na gościa, który powinien już nie żyć.

Próbuję się na niego rzucać i prawie spadam z noszy, więc popycha mnie płaską dłonią, przytrzymuje w miejscu i przeklina.

– Uspokój się! Bo zrobisz sobie jeszcze większą krzywdę!

Mam ochotę odparować, żeby spierdalał, ale chwilowo pochłania mnie jęczenie z bólu. Kładę się na plecach, przymykam oczy i skamle, jak dogorywające w rowie zwierzę po kontakcie z ciężarówką.

– Ano, właśnie. Gdybyś zechciał się na moment zamknąć, chciałbym zabrać głos.

– Eva. Zaczniij od niej – cedzę przez zaciśnięte zęby.

Wzdycha głęboko i teatralnie. Wyciąga z kieszeni marynarki aksamitną chusteczkę i wyciera z dłoni moją krew.

– Jezus, Maria, Józefie święty. Nie znam równie upartych ludzi jak wy dwoje!

Karetka wykonuje ostry zwrot. Kierowcy chyba piekielnie się śpieszy. Pewnie jestem w gorszym stanie, niż sądziłem.

– Przechwyciłem rozmowę twoich niemieckich kumpli z centralą Metrixa, w której relacjonowali...

– Szpiegowaleś tych Niemców? Jak?

– Tak, że jestem szpiegiem. Cicho bądź. Jak mówiłem...

– Dmitrij porwał Evę. Wypuść mnie z tej karetki. Muszę ją odbić.

– Wyborny plan – odpowiada cierpko, wyrzucając zakrwawioną chusteczkę. – Wydajesz się w idealnej formie do ścigania uzbrojonego szaleńca otoczonego przez nie gorzej uzbrojonych goryli.

– Bywało gorzej. – Zmuszam się do oddechu przez nos, żeby nie dyszeć jak zziąjany pies. Gdy twoje ciało uważa, że właśnie kona, trudno normalnie oddychać.

– Rozumiem. A powiedz mi, czy przed atakiem na nieprzyjaciela zamierzasz włożyć spodnie, czy też będziesz siłował się z Dmitrijem na modłę starożytnych Greków? Nawiasem mówiąc, mogłoby mu się to spodobać.

– Killian, odpierdol się.

Oddycha ciężko i kręci krytycznie głową.

– Nie mam pojęcia, co ona w tobie widzi. Masz skrajnie ubogie pokłady uroku.

– Mówiłeś, że masz o mnie dobre zdanie.

– Bo chciałem się jej podlizać.

Gdy piorunuję go wzrokiem, ponownie wzdycha.

– Żartuję. Stary, cholernie łatwo się nabierasz.

– Przy tobie moje poczucie humoru spada na łeb na szyję. I nie jadę do żadnego szpitala, więc zatrzymaj tę jebaną karetkę i mnie stąd, kurwa, wypuść!

– Nie mówiłem, że jedziemy do szpitala.

Patrzemy na siebie w milczeniu, karetka bierze kolejny ostry skręt, aż uderzam o ścianę, a Killian prawie spada na podłogę.

– Tak? Więc czyżbyśmy brali udział w pościgu samochodowym? Bo kierowca to jakiś wariat.

– Bo powiedziałem, że jak dotrze tam w dziesięć minut, to dam mu tysiąc euro.

– Tam? A gdzie jest to „tam”?

Syrena milknie, karetka hamuje z piskiem opon, a Killian uśmiecha się szeroko.

– Tutaj.

Gdy kierowca otwiera tylne drzwi, zauważam, że jesteśmy w jakimś magazynie. Za nami po cichu zasuwiają się pokaźne, stalowe wrota. Sufit jest bardzo wysoki, lampy nisko zwieszono, gdzieś poza zasięgiem mojego wzroku musi pracować maszyna, wydająca dziwny, niski elektryczny szum.

Całe miejsce ma atmosferę bazy seryjnego mordercy.

– Nie patrz tak na mnie – mówi Killian sucho. – Nie zamorduję cię tu. Gdyby zależało mi na twojej śmierci, pozwoliłbym ci się wykrwawić na miejscu. To jedna z moich wielu kryjówek. A odpowiadając na wcześniejsze pytanie, nie, nie mam nic wspólnego z pojawieniem się Dmitrija. Powinienem być urażony, że pomimo wszystkiego, co razem przeszliśmy, nadal mi nie ufasz, ale wiem, że podejrzliwy z ciebie ćwok.

Wyskakuje z karetki, a potem razem z kierowcą – ogorzałym kolesiem z kozią bródką, który jest tak owłosiony, że wygląda, jakby nosił futro pod koszulką – wyciągają mnie na noszach.

– Dziupła z kradzionym towarem? – Patrzę z niedowierzaniem na kilkanaście drogich samochodów w różnych stadiach rozkręcenia i rozbioru. – Wymienisz moje organy na części silnikowe?

– Przywrócimy cię do stanu używalności, ziom – obwieszcza Ogorzały. – A przy okazji, jestem Doktorek, mów mi Doc.

– Doc? Fantastycznie. Od razu czuję się dwa razy lepiej. Na pewno masz dyplom medycyny z Harvardu, prawda?

Zerkają na siebie z Killianem.

– Ignoruj go – mówi Killian. – Ma wieczny okres.

Mam ochotę krzyknąć, że to bardzo seksistowski przytyk, ale magazyn zaczyna wirować i pulsować, więc zamykam oczy i ponownie skupiam się na oddechu.

– Zacznę od kroplówki z roztworem soli – zagaduje swobodnie Doc – potem cię trochę ogarnę i prześwietlę rentgenem, żebyśmy wiedzieli, z czym mamy do czynienia.

Wyliczam zwięzłe urazy, które sam już zauważyłem, i informuję, jakiego kalibru kulami strzelali według mnie ludzie Dmitrija. Potem otwieram oczy i zerkam na przechodzącego obok moich noszy

Killiana.

– Zabrał ją. Wszedł sobie, kurwa, jak po swoje i ją zabrał... – urywam nagle, bo gardło mi się zaciska.

Killian rozumie, co chcę przez to powiedzieć, wie, jakie mam poczucie winy. Zamiast też mnie obwiniać, udziela mi wsparcia.

– Eva jest twarda. Przetrwiała z nim siedem lat. Wytrzyma jeszcze chwilę. I nie rób sobie przypadkiem wyrzutów, bo naliczyłem w mieszkaniu dziewięć trupów. Wykonałeś niezłą robotę, stary. Nawet ja nie spisałybym się lepiej. Na zdrowy rozum powinieneś już nie żyć.

Dzięki Bogu, że mam w glocku powiększony magazynek.

Możliwe, że hiperwentyluję, ale mam to gdzieś.

– Muszę pogadać z Connorem. Jeden z Niemców powiedział, że ma blachy...

– Wiem. Twój kumpel Connor już je wyśledził. Ukradli je z zaparkowanego pod domem na przedmieściach audi, należy do spokojnej matki czworga dzieci.

– Kurwa. Sprawdzili kamery drogowe? Dali radę wyśledzić trasę furgonetki? Wiemy, dokąd pojechała?

– Trzy razy tak.

Doc parkuje moje nosze w improwizowanej sali operacyjnej pełnej ekranów, jaskrawych świateł, najróżniejszych ustrojstw ze sterzącymi rurkami i kablami, a potem przygotowuje kroplówkę. Próbuje się skupić na wszystkim, byle nie na dudnieniu serca w uszach.

– No i?! – krzyczę.

Killian patrzy na mnie z uwagą, zaciska zęby.

– Oddychaj głęboko.

– Cholera...

– Ano. Zgubili furgonetkę przy samej granicy z Czechami. Wjechali w tunel, a po drugiej stronie nie ma już kamer. Satelita też nie pomógł.

Panika eksploduje w mojej piersi jak sztuczne ognie. Eva przepadła.

Przepadła.

Tym razem być może na dobre.

– Natomiast...

Wymowna pauza Killiana przepelnia mnie nadzieją. Podpieram się na łokciu i ryczę:

– Natomiast co, palancie?!

Doc rechocze pod nosem i kręci głową.

Killian wyciąga z wewnętrznej kieszeni marynarki wizytówkę. Unosi ją między dwoma palcami.

– No co?! – rzucam, wkurzony tą zbędną aurą tajemniczości. – Dzwoniła do ciebie? Co chcesz powiedzieć?

– Chcę powiedzieć, że w tym wysokiej jakości czerpanym papierze jest coś więcej niż tylko czarny atrament.

Gapię się na niego, zaraz chyba znowu zemdleję, tyle że tym razem z ulgi.

– GPS?

Kiwa głową.

– Mikroplaskie, prawdziwe dzieło sztuki. Przed kawiarenką, do której poszliśmy z katedry, Eva włożyła moją wizytówkę do tylnej kieszeni džinsów, pamiętasz?

Pamiętam, że byłem wtedy na niego tak wściekły, że prawie rozdarłem tę cholerną wizytówkę i rzuciłem mu nią w twarz. Prowokował mnie przez całe popołudnie. Ale teraz jestem tak wdzięczny, że mógłbym go uściskać.

– Miała na sobie te džinsy, gdy Dmitrij ją porwał.

– Na jednym z moich monitorów miga zielone światełko, które to potwierdza. – Kiwa głową w stronę hakerskich urządzeń po drugiej stronie magazynu. Ma tam biurko w kształcie litery U, wokół którego roi się od rozświetlonych ekranów i migających komputerów.

– Boże, jedyny. Ja pierdolę. Czyli jej nie zgubiliśmy. – Obezwładniony ulgą padam płasko na plecy i biorę kilka głębokich, rozedrganych wdechów.

- Ano, porozkoszuj się chwilę tym uczuciem...
- Co masz na myśli? – pytam, zaniepokojony jego tonem.
- To, że są w powietrzu.

To źle, ale nie fatalnie, bo skoro mamy w maszynie pluskwę, Tabby zdoła ją namierzyć. Jednak Killian stoi i patrzy na mnie bez słowa, czyli jest coś jeszcze.

- Po prostu powiedz. Te enigmatyczne miny i podchody mi nie służą.

Chowa wizytówkę z powrotem do marynarki i krzyżuje ramiona na piersi.

– Dla oszczędzania baterii karta aktywuje się dopiero poza pewną strefą geograficzną. Jak wiesz, GPS żre energię jak świnia, i, jak zapewne się domyślasz, urządzenie, które da się ukryć w wizytówce, jest malutkie. Gdy system się uruchomi, czas zaczyna naglić...

Cała ulga, jaką czułem jeszcze przed chwilą, wyparowuje.

- Ile mamy czasu, zanim w urządzeniu Evy wyczerpie się bateria?

Zerka na zegarek.

- Niecałe trzy godziny.

Przenoszę wzrok na Ogorzałego.

- Masz pod ręką jakieś prochy, które utrzymają mnie na nogach przez trzy godziny?

Patrzy na mnie jak na wariata.

- Nawet nie zrobiłem ci prześwietlenia!

Siadam i zaciskam zęby, bo próbuje mnie obalić kolejna fala bólu.

– Daj z tym spokój, Doc. Po prostu zatkaj mi te dziury i podaj prochy. Czas nie działa na naszą korzyść.

Doc wyrzuca ręce w powietrze i obraca się do Killiana, szukając u niego wsparcia, ale ten patrzy na mnie bez słowa.

- Mnie to lotto. Jeśli umrzesz, z przyjemnością zajmę twoje miejsce i zaopiekuję się Evą.

Przez chwilę patrzę na niego spode łba, na jego kwadratową szczękę i perfekcyjny nos. W końcu kładę się na plecach.

- No dobra, Doc. Rób swoje.

Dopiero gdy skończył, informuję go, że musi pożyczyć mi ciuchy.

ROZDZIAŁ 5

Eva

Sama w ciemnościach. Każda minuta jest jak rok.

Nie wiem, jak długo siedzę zatopiona w myślach na pryczy, po tym jak śmiech Dmitrija umilkł, ale w końcu dopada mnie zimno, zaczynam się trząść i szczękać zębami. Lecz zamiast skulić się pod szorstkim kocem, wyciągam przed siebie ręce i idę ostrożnie na drugą stronę pomieszczenia, dopóki nie dotykam ściany. Przesuwam się wzdłuż zaokrąglonego muru na oślep, przeklinam, gdy zahaczam palcem stopy o wystający kamień.

Następnie, centymetr po centymetrze, wchodzę po nierównych spiralnych schodach na półpiętro.

Wąskie świece nadal palą się w kandelabrach. Zdmuchuję je, z wyjątkiem jednej, i znoszę na dół do celi, ignorując gorące krople wosku, które parzą moją skórę.

Zgaszone świece układam na podłodze przy żelaznym naczyniu, a zapaloną wbijam w stopiony wosk we wnęce nad łóżkiem. Teraz rozglądam się dokładnie po moim więzieniu. To jakiś straszny, niegościnnie, średniowieczny loch.

Cóż, mogło być gorzej. Przynajmniej nie widziałam jeszcze szcurków.

Mam ochotę zdjąć dżinsy i trochę odpocząć, ale powstrzymuje mnie myśl, że Dmitrij może tu przyjść, gdy będę spała półnaga. Lecz właśnie wtedy, na myśl o dżinsach, przypominam sobie.

Mam w kieszeni wizytówkę Killiana.

Wyciągam ją i patrzę na nią, wstrzymując oddech z powodu jakiejś niewyjaśnionej emocji, przez którą wali mi serce i drżą ręce.

– Nie dopuści cię w pobliże telefonu – tłumaczę samej sobie, mój głos odbija się echem od murów. – Nawet jeśli pozwoli ci stąd wyjść, to nie spuści cię z oka na tyle, byś zdążyła zadzwonić.

Chyba że...

Zaciskam powieki. *Chyba że zapracujesz na jego zaufanie.*

Na samą myśl pali mnie w żołądku. Na razie lepiej nie myśleć, jakich paskudztw trzeba się dopuszczać, żeby zdobyć jego zaufanie. Zamiast tego uczę się numeru na pamięć. Powtarzam go bezgłośnie tyle razy, że wyrecytowałabym go wyrwana ze snu w środku nocy.

Później przystawiam krawędź wizytówki do płomienia i czekam, aż się zapali.

Gdy ogień pochłania połowę, kładę resztę na kamiennej podłodze i patrzę, jak się dopala, aż zostaje z niej kupka szarego popiołu. Zbieram popiół i otrzepuję ręce do żelaznego naczynia, a resztki rozdmuchuję.

W powietrzu unosi się ostry zapach palonego papieru, ale też jakaś metaliczna woń, której nie potrafię do niczego przypisać. Jakby stopione okablowanie.

Nie pozostało mi już do roboty nic innego, jak tylko gapić się w ściany, rozkładałam się więc na pryczy, przykrywam kocem i przymykam szczypiące ze zmęczenia oczy.

Budzę się w kompletnej ciemności.

– Cholera.

Siadam gwałtownie, mam rozszalały puls. Świeca wypaliła się godzinę albo rok temu, teraz nie mam jak zapalić następnej. Dmitrij nie zostawił zapalek.

A co z jego ludźmi?

Jestem pewna, że ci ochroniarze na zewnątrz... o ile nadal tam stoją... mają surowy zakaz otwierania drzwi. Ale może uda mi się namówić jednego, żeby wsunął zapalniczkę przez szczelinę w kamiennym murze?

Można bezpiecznie założyć, że przynajmniej jeden z nich pali, jak to mężczyźni stacjonujący

przez dłuższy czas na jednej placówce, bo dzięki papierosom zachowują przytomność i choć trochę zwalczają nudę. Co prawda akurat tych dwóch przy drzwiach nie znam, ale większość żołnierzy Dmitrija pali. Prawie tak dużo, jak piją.

Podjąwszy decyzję, pełnę ostrożnie przez celę, ślepa jak kret. Na szczęście już mniej więcej wiem, gdzie są schody, i po kilku chwilach wyczuwam pierwszy stopień. Wbiegam na górę przemarznięta, ale wdzięczna za ten ziąb, bo chyba dobrze robi na opuchliznę na policzku. Szwy wydają się już nieco luźniejsze, a skóra wokół nich nie tak gorąca.

Nie mam odwagi dotykać złamanej ręki. Bóg jeden wie, co się dzieje w tym temblaku. Wcale bym się nie zdziwiła, gdybym nigdy nie odzyskała pełnej sprawności.

Docieram na półpiętro, przykładam ucho do drzwi i w napięciu nasłuchuję jakichś oznak życia.

– ...no, ale piękna dziewczoja. Cudowne cycuszki. A te usta? Auu!

– Pojebało cię? Powtarzam, zamknij, kurwa, ryj i nie gadaj o niej.

– A co innego mam tu do roboty? I kto nas niby usłyszy, wrony?

– Skąd wiesz, że tu nie ma kamer? Myślisz, że zostawiłby nam taką dupencję samą i nie pilnował, czy z nią nie kombinujemy? Rusz głową.

– Aj, tam. Za dużo się martwisz.

– Żebyś wiedział, dlatego jeszcze żyję.

Rozmawiają w dialekcie z południa Rosji, wyraźnie słychać, że wymawiają twardo spółgłoski na końcach słów.

– Muszę się wyszczać – stwierdza ten niezadowolony z przebiegu rozmowy.

Całe szczęście, bo ten, któremu spodobały się moje cycki, zostanie sam. Jeżeli ma mi się udać, to właśnie z nim.

Liczę do dziesięciu, żeby mieć pewność, że tamten się oddalił, po czym pukam w drzwi.

– Halo? Jest tam kto?

Szuranie stóp. Odchrząknięcie. Wyobrażam sobie, jak rozgląda się ukradkiem.

– Zastanawiałam się, czy nie mogłabym pożyczyć zapalek albo zapalniczkę. Świecek mi zgasły.

Cisza trwa tak długo, że tracę nadzieję na odpowiedź, ale potem rozlega się stłumiony głos tuż przy samych drzwiach i moje serce aż fika salto.

– Nie mogę z tobą rozmawiać.

– Rozumiem. Nikomu nie powiem. Rozmawiamy ostatni raz. Po prostu... – przechodzę na słaby, rozedrgany głosik. – Tu jest tak ciemno. Nie lubię ciemności.

Ciężkie westchnięcie, a może to podmuch wiatru.

– Obym tego nie pożałował... – mówi po całej wieczności.

Patrę w dół. Wsuwa pod drzwi tanią zapalniczkę z czerwonego plastiku.

Kucam i porywam ją, zanim zmieni zdanie.

– Dziękuję! – szepczę. – Jestem ogromnie wdzięczna!

Rozlega się pomruk aprobaty.

– Jak masz na imię?

– Wład... – odpowiada po kilku sekundach wahania.

Jak Wład Palownik, jakże stosownie.

– O, jak mój ojciec! To moje ulubione imię! – kłamię dwukrotnie. Mam nadzieję, że mój głos nie brzmi aż tak sztucznie, jak w mojej głowie.

Mężczyzna nie odpowiada, uznaję więc, że rozmowa dobiegła końca, ale po chwili pyta:

– A ty, jak masz na imię?

Obniżam głos o oktawę, staram się brzmieć jak krucha dama w opałach.

– Evalina.

Powtarza je zbereźnym tonem. Na pewno myśli o moich cycuszkach.

– Dziękuję ci raz jeszcze, Wład – dodaję na wdechu. – Anioł z ciebie. Nigdy nie zapomnę, że mi pomogłeś. Kiedy już stąd wyjdę... jeśli tylko będzie coś, co mogłabym dla ciebie zrobić, zrobię to.

Ponownie mruczy, jakby już sporządzał listę zachcianek.

– Co ty tam wyprawiasz?!

Z nieco dalszej odległości dochodzi ostry głos jego kolegi, który już sobie ulżył i wraca. Prostuje się i wstrzymuje oddech, dopóki Wład nie odpowiada:

– Myślałem, że coś usłyszałem, ale chyba mi się pomyliło.

Kłamie znacznie lepiej ode mnie. Swobodnie i beztrąsko, zapewne taką ma też minę.

– Może się tam drzeć, jakby zdierali z niej skórę... to nie nasza sprawa, kapujesz? – mówi ten drugi.

– Pewnie – odpowiada spokojnie Wład. Temat zamknięty, jego kumpel zaczyna utyskiwać na zimno.

Skradam się schodami w dół, ściskając w dłoni zdobycz jak święty krzyż. Aż kręci mi się w głowie od pomysłów, jak wykorzystać uznanie, jakie wzbudziłam we Władzie. Nawet się nie domyślam, że zapalniczka, prosty przedmiot codziennego użytku, może mi ściągnąć na głowę aż taką katastrofę.

Podobnie jak wiele koszmarów i ten zaczyna się od grzmotu.

Zrywam się, odgłos nadchodzącej burzy wyrывa mnie z głębokiego snu. Śnił mi się Naz, biegłam za nim po pustej plaży, krzyczałam jego imię, ale na próżno. Biegł coraz szybciej i szybciej, coraz bardziej mnie wyprzedzał, aż w końcu zniknął w mroku, nawet nie obróciwszy się przez ramię.

Szybko dociera do mnie, gdzie naprawdę jestem, a jeszcze szybciej, że nie jestem sama.

U dołu schodów stoi Dmitrij z dwoma gorylami, patrzą na mnie.

– Och, śpiąca królewna się obudziła – mówi głosem tak łagodnym, że wręcz znużonym.

Żmija, która owinęła się wokół tych słów, obnaża cieknące trucizną kły.

Podciągam koc pod brodę, krew przyśpiesza w moich żyłach. Strażnicy również są napięci, mają czujne twarze. Ściskają karabiny tak mocno, że aż bieleją im knykcie. Moje usta są tak wysuszone, jak bielejące na pustyni kości.

O cokolwiek chodzi, będzie źle.

Uśmiechnięty Dmitrij stawia krok naprzód. Ma na sobie pięknie dopasowany garnitur z czarnego aksamitu – czarny aksamit, zawsze – i naturalnie czarny krawat. Wygląda na odświeżonego i opanowanego, jakby całkowicie zapomniał o postrzale.

Nie znam człowieka o wyższej tolerancji na ból.

Nie licząc siebie samej, jak zdaję sobie sprawę z przyprawiającym o dreszcze niesmakiem.

– No więc, jak ci się wiedzie w tej przytulnej dziupelce, ukochana? – Dmitrij unosi róg koca i mówiąc, bezwiednie ściska go w palcach. – Wygodnie? Niczego ci nie brakuje?

Jak na komendę burczy mi w brzuchu, ale zachowuję neutralną minę i wzrok wbity w jego wypolerowane buty.

– Jedzenia mi brakuje.

– No, tak – odpowiada z namysłem. – Wszystkie inne podstawowe potrzeby masz spełnione. Dach nad głową. Woda.

Robi dramatyczną pauzę. Podnoszę na niego spojrzenie i włoski na karku stają mi dęba.

Wodzi wzrokiem, aż w końcu zatrzymuje go na mrugającej we wnęce nad łóżkiem świecy. Jego uśmiech się rozszerza.

– Ogień.

Wład przestępuje z nogi na nogę. Mam ochotę wydrzeć się na niego za tę głupotę.

Dmitrij siada na krawędzi mojej pryczy, zarzuca nogę na nogę, układa jeden nadgarstek na drugim, jakby gościł w saloniku znajomej z wyższych sfer i czekał, aż służąca poda mu herbatkę. Każdy element jego ciała jest idealnie zrelaksowany.

Zdradzają go tylko oczy, ten płonący lodowato blask.

– Evalina, chciałabyś mi coś powiedzieć? – pyta z troską w głosie, jak zaniepokojony rodzic.

To oczywiście, że wie o zapalniczce, ale rozkoszuje się takimi gierkami. Pchnięcie, zasłona, unik, a potem dźgnięcie i następne, dźganie przeciwnika, dopóki się nie wykrwawi z tysiąca ran, gdy tymczasem on będzie zanosił się śmiechem.

W porządku. Jeśli chce sobie pograć, proszę bardzo.

Przecież uczyłam się zasad tej gry od samego mistrza.

– Cóż, owszem, chcę... – odpowiadam tym samym rodzicielskim tonem. – Spędziliśmy razem siedem lat i ani raz nie doprowadziłeś mnie do orgazmu. Chyba po prostu gwałt nie polega na dawaniu rozkoszy ofierze.

Mina Dmitrija się nie zmienia, ale na twarzach goryli jakby wybuchły bomby. Ich wstrząs odbija się echem od murów.

Ale doskonale znam Dmitrija. Jest tak mocno skupiony na celu, że nie porusza go nawet ubliżanie jego męskości przy podwładnych.

– Masz koszmarnie maniery – stwierdza, strzepując z rękawa niewidzialną nić. – Zajmę się nimi później. Natomiast doskonale wiesz, o co mi chodziło.

– Wiem. Nie chciałam tego wyciągać w towarzystwie, kochanie, ale skoro nalegasz.

Zerka na mnie, wyczekuje.

– Twój cuchnący oddech wyrwał się całkowicie spod kontroli. Można nim już kosić zboże. Kiedy się odzywasz, to sama już nie wiem, czy bardziej potrzebna jest miętówka, czy papier toaletowy.

– Zabawne – kwituje ze śmiercionośną miękkością. – Ale ja mówię o zapalnicze.

Czyli są tu kamery. Ukryte gdzieś w mroku, Dmitrij może mnie szpiegować. Powinnam się była domyślić.

Wład zamiera w bezruchu.

Nie reaguj! Ja się tym zajmę!

Próbuję przesłać mu tę wiadomość telepatycznie, ale jej nie odebrał. Blednie jak ściana, zaczyna skakać mu grdyka. Przetyka głośno ślinę, cofa się o krok.

– Nie zostawiłeś mi zapalniczek – mówię, patrząc Dmitrijowi w oczy. – Wiedziłeś, że poproszę o ogień. Ustawieś to. Nie możesz nikogo winić, tylko siebie.

– Wprost przeciwnie. – Dmitrij wstaje i posyła Władowi zabójcze spojrzenie.

Czuję jedynie wyczerpanie. Jestem zmęczona do szpiku kości. Mam dosyć dźwigania w sobie tego całego strachu, znoszenia przemocy i wszystkiego, co ma związek z tym dziecinny sadystą.

Panie Boże, jeżeli poddajesz mnie próbie, to i tego mam już po dziurki w nosie.

Wstaję, pozwalam, by koc spadł na ziemię i stoję przed Dmitrijem.

– Przyjmę jego karę.

Delikatne uniesienie kącika ust Dmitrija wskazuje, że oczekiwał takiej reakcji. Wład z kolegą patrzą na mnie, jakby nie wiedzieli, czy jestem ucieleśnionym cudem, czy wariatką.

Dmitrij łączy dłonie na plecach i zaczyna chodzić w zadumie przy moim łóżku, jakby głęboko nad czymś myślał, jakby wcale nie zaplanował tego plugawego przedstawienia do samego końca. Mam ochotę krzyknąć, żeby skończył z tymi pierdołami, ale póki co biedny Wład trzyma nerwy na wodzy i nie chcę, by mój nagły wybuch go sprowokował. Nie mam ochoty zostać podziurawiona jak sito w strzelaninie.

Stoję więc i czekam, podczas gdy żmija zwija i rozwija swoje lśniące ciało, zachwycona tańcem kukiełek w swoim teatryku.

– Niech będzie – mówi w końcu, zatrzymując się i prostując plecy. Spogląda na Włada z góry, z wyrazem rozczarowania na twarzy. – Zawiodłeś moje zaufanie, ale zakładam, że pragniesz poprawy.

Wład prawie pada na kolana z ulgi.

– Tak, proszę pan, proszę, zrobię wszystko.

Wszystko. Gdy tylko to słowo opuszcza jego usta, wiem, że popełnił kardynalny błąd.

Moje założenie znajduje potwierdzenie, gdy tylko Dmitrij odwraca się do mnie rozpromieniony jak słońce. Sięga za pasek na plecach i wyciąga złożony na trzy części cienki pręt z czarnego metalu. Rozkłada go i blokuje wyćwiczonym ruchem nadgarstka.

Podaje bat Władowi, którzy bierze go do ręki, choć nie ma pojęcia, o co chodzi.

Patrzemy na siebie z Dmitrijem. Oboje doskonale wiemy, co teraz się stanie, lecz tylko jedno z nas się uśmiecha.

– Rozbieraj się – rzuca krótko, a z jego wężowych kłów kapie jad.

ROZDZIAŁ 6

Naz

– Stary, musi nad tobą czuwać anioł stróż, bo jakimś cudem żadna z tych ran nie zagraża życiu. Kule ominęły kluczowe organy, naczynia krwionośne i kości.

– Jeżeli naprawdę mam anioła stróża, to kutas chleje!

Leżę płasko na noszach i czuję się jak kompletne gówno. Chciałbym się już zerwać i lecieć, bo przez rentgeny, USG i inne badania Doca zmarnowałem już kupę czasu.

Każda sekunda rozłąki z Evą ciągnie się niczym wieczność.

– Co się dzieje z moimi płucami? Boli przy oddychaniu.

– Fala po uderzeniu pocisku wywołuje urazy tkanek miękkich i pustych narządów, ale i tu miałeś szczęście, bo oberwałeś pociskiem niskiego kalibru z głowicą z fartuchem stalowym. Gdyby mieli inną broń i trafiliby cię w te same miejsca, już byśmy cię pochowali. Twoje organy zamieniłyby się w ciekącą maź.

– Czyli z bebechami jest lepiej niż wygląda?

– Kula przeszła czyściutko na wylot. Jelito cienkie nienaruszone. W ranie nie ma odłamków pocisku. Krwawienie wewnętrzne minimalne. Mówię ci, istny cud.

Bynajmniej nie czuję się obdarzony cudem.

– Podam ci antybiotyki, żeby nie wdała się jakaś infekcja. Musisz siedzieć na miejscu, dopóki się w pełni nie ustabilizujesz i dopóki nie sprawdzimy, czy nie wyskoczą jakieś poboczne problemy.

– Poboczne problemy?

– Rany postrzałowe są podstępne. Z pozoru prosty uraz może nagle zamienić się w koszmar.

– No to kiedy będziemy mieli pewność, że jestem na dobrej drodze?

– Za kilka dni, przynajmniej.

– Za długo, kurwa!

Doc wzrusza ramionami i odwraca się od czarno-białego zdjęcia mojego podbrzusza, w które wpatrywał się na przymocowanym do rentgena laptopie.

– Mogę cię wypuścić zaraz, a za kilka godzin umrzesz sobie na jakiś krwotok, zakażenie albo po prostu wstrząs organizmu. Twój wybór.

Killian siedzi na taborecie obok, wygląda jak żywa reklama najnowszej odsłony przygód Jamesa Bonda.

– Martwy się jej nie przydasz, stary – mówi.

– Ja pierdolę!

Eva. Kochanie. Wytrzymaj.

– Ziom, to na serio cud, że oddychasz. Powinieneś się cieszyć.

Mierzę Doca wzrokiem zza zmrużonych powiek. Jestem zdezorientowany jego wyglądem, który jest bliskowschodni, akcentem, który stanowi jakąś mętną mieszankę południowokalifornijskiego surfera i europejskiego arystokraty, oraz zachowaniem, przez które przypomina typowego naukowca-nerda z filmów. Jest amorficzny, jak mgła.

– Skąd jesteś?

– Z Ziemi – odpowiada bez cienia ironii.

– Cudownie. Czyli muszę się użerać już z dwoma ezoterycznymi dupkami.

– Ezoteryczny dupek? – Doc unosi sceptycznie brew. – Nie znam takiego określenia w żadnym języku.

– Gdy akurat nie obrzuca ludzi obelgami, lubi ślęczeć nad słownikiem – wyjaśnia Killian. – Mógłby powiedzieć po prostu „tajemniczymi”, ale wtedy nie poczułby się mądrzejszy od ciebie.

Oddycham głęboko, opuszczam głowę na nosze i przymykam oczy.

– Przystań knuć, jak mnie zabijesz – rzuca Killian. – Musimy przygotować plan.
– Wcale nie knuję, jak cię zabije. Co najwyżej małe rozczłonkowanko, żyłbyś dalej, ale bez kończyn.

– Czyli zasadniczo byłbym kadłubkiem?
– Umieściłbym cię w jakimś ładnym stawie i nazywał Lily.
– Niepokoisz mnie, stary.
– Wiesz co jest naprawdę niepokojące? Że co pięć sekund mówisz do mnie „stary”. Przystań.
– Ze smutkiem przerywam wasze uroczne zaloty, ale muszę cię zszyć – wtrąca Doc.
– Że igłą?!
– Że igłą – potwierdza.
– Nie masz w swojej pieczarze opatrunków gojących rany?
– Nie mam.
– Kurwa. No dobra, niech będzie oldskulowo. – Krzywię się.
– Najpierw podam ci miejscowe znieczulenie.
– Nie, po prostu się pośpiesz i miejmy to za sobą.
– Ziom, to będzie bolało.
– Nie chcę żadnych prochów! – krzyczę, po czym wzdycham.
– Och, no jakżeby inaczej – mówi, przewracając oczami. – Gratuluję, jesteś macho. Nie ruszaj się i bądź cicho.

Zaczyna od rany pod obojczykiem, pracuje nieśpiesznie i metodycznie, potem zabiera się za ranę wylotową na ramieniu, następnie przechodzi do brzucha.

Trwa to wszystko bardzo długo. Całą wieczność. Z każdym tyknięciem zegara imadło coraz mocniej zaciska się na moich flakach, aż w końcu oddycham płytko i rwanie, i cały zaczynam się trząść.

Ma ją. Porwał ją. Zawiodłem.

Kiedy mam już zeskoczyć z noszy i pognać przed siebie, słyszę tuż obok nisko, spokojny głos Killiana.

– Będzie musiał dotrzeć w jakieś bezpieczne miejsce. Mamy ciutkę czasu.

Zanim Dmitrij zrobi Evie coś naprawdę strasznego, o to mu chodzi. Choć i tak nie mamy pewności, że już nie zrobił.

– Nie widziałeś zdjęć – odpowiadam ochryple, z zamkniętymi oczami. – Nie widziałeś, co jej robił. Znęcał się tak, że... – Muszę przerwać i uspokoić oddech. Desperacko pragnę wymazać zalewające mój umysł obrazy urazów Evy, które widziałem w jej szpitalnych aktach, ale napływają rwącym strumieniem. – Będzie chciał nadrobić stracony czas.

– Ma sporo innych pilnych spraw. Zgaduję, że na jakiś czas ją zamrozi.

Mówi to ze sporą dozą pewności, aż otwieram oczy i patrzę nań pytająco.

– Atomówka?

Kiwa głową.

– Zanim będzie mógł dopiąć transakcję i przekazać głowicę, musi poczekać, aż opadnie kurz po tym, jak zostawiłeś w wiedeńskim apartamencie stertę dziewięciu trupów. Gdy policja się zorientuje, że to jego żołnierze, rozpali mu się pod tyłkiem.

Nawet jeśli Doc jest zaskoczony ostrą woltą tematyczną w naszej rozmowie, to nie daje tego po sobie poznać. Po prostu dźga mnie igłą w bok i radośnie szyje, jakby pracował nad jakąś ładną tkaniną, a nie worem ludzkiego mięcha.

– Te trupy na pewno nie miały przy sobie papierów. Policja ich z nim nie powiąże.

– Nie, paszportów na pewno przy sobie nie mieli – prycha Killian – ale najpewniej wszyscy, a przynajmniej niektórzy, będą mieli kartoteki policyjne. Jak nie w tym, to w innym kraju. Gdy tylko ściągną trupom odciski palców, łatwo odnajdą ich dawnych współpracowników.

Uśmiech Killiana jest delikatny, lecz świadczy o wkurzającej pewności siebie.

– A jeżeli władze trzeba leciutko popchnąć we właściwym kierunku, to ja chętnie pomogę.

Ostatnie zdanie wypowiedział jak wszystkowiedzący pan superszpieg, do usług i dziękuję państwu bardzo. Jego arogancja naprawdę mnie mierzi.

– Skoro przy tym jesteśmy, chciałem zapytać już wcześniej... – Wpatruję się w niego uważnie, a Killian przekrzywia głowę na bok. – Kim ty, kurwa mać, jesteś?

Macha ręką, jakby odganiał muchę.

– Już pytałeś.

– No, pytałem, a ty wciskałeś mi jakiś kit, że „nikim ważnym”.

– Kit? Czyli uważasz, że jestem ważny? Schlebiasz mi.

– Nigdy nie spotkałem nikogo bardziej upierdliwego, przysięgam na Boga.

– Nasir, czy muszę przypominać, że niedawno ocalałem ci życie? Mógłbyś okazać odrobinę wdzięczności.

Śmieję się z niedowierzaniem.

– Chcesz sobie przypisać zasługi za ocalenie mi życia?

– Prawda? – prycha Doc. – To ja dokonuję tu cudów, nie on.

Ignoruję go i piorunuję Killiana wzrokiem.

– Niemcy zjawili się pierwsi! Zawieźliby mnie do szpitala!

– Ale cię nie zawieźli, prawda? – pyta czarująco spokojnym tonem. – Ja cię zawiozłem. –

Ponownie macha ręką, wskazując ogólnie na magazyn. – No, przynajmniej do czegoś na wzór szpitala.

– Świetnie bym sobie bez ciebie poradził!

– Beze mnie przymknęliby cię za morderstwo. Potrzebujesz mnie, stary, czy ci się to podoba, czy nie.

– Co ci mówiłem o tym „starym”?! – krzyczę.

– Turkaweczki, potrzebujecie chwili na przytulanko? – wcina się Doc, na moment przestając kłuć mnie igłą. – Czy też mógłbym kontynuować moją pracę?

Z całych sił pragnę złamać Killianowi nos, ale odciąga mnie od tego nagłe wspomnienie. Dmitrij groził, że jeśli będę za nim podążał, Eva zapłaci cenę.

– Co to za mina? – pyta Killian niespokojnie. – Umierasz?

– Nie... – odpowiadam powoli, mój mózg przechodzi na inne obroty – ...ale powinienem.

– I to niby ja jestem ezoteryczny – stwierdza, wbijając wzrok w sufit.

– Zanim Dmitrij zniknął z Evą, zagroził, że jeśli będę ich tropił, odeśle mi ją w kawałkach... – zawieszam głos z namysłem, na co Killian wtrąca:

– Jestem pewien, że do czegoś zmierzasz. Możesz zdradzić do czego już w tym stuleciu, nie krępuj się.

– Skoro myślisz, że zginąłem...

Killian aż się prostuje, gdy łapie, o co mi chodzi.

– Nie będzie się spodziewał, że za nim ruszyłeś.

– Bingo.

Killian zastanawia się przez chwilę, po czym kiwa głową i stwierdza:

– Genialne.

– Panienki, można przy was dostać kręćka – mamrocze pod nosem Doc.

Ignorowanie go staje się coraz łatwiejsze.

– Poza tym... powinni cię aresztować, żeby uznał, że tobą też nie musi się już przejmować.

– Aresztować? – powtarza Killian ze zgrozą.

– No chyba, że też wolisz umrzeć.

Marszczy nos, jakby poczuł coś cuchnącego.

– Ano, wolę. Mogę umrzeć z nieskalanym honorem, ale aresztowanie... – Przechodzą go ciarki. – Aresztowania są dla amatorów. Muszę dbać o reputację.

– Jeszcze twoje gargantuiczne ego by ucierpiało. Broń nas panie Boże.

Śmieje się, rozbawiony moim ociekającym sarkazmem tonem.

– Gargantuiczne ego? Przepraszam bardzo, może jeszcze zaczniesz opowiadać o szklanych domach i tak dalej...

– Na serio, ptaszyny, głowa mnie przez was rozboli... – Doc wbija igłę z nieuzasadnioną bezwzględnością.

– Ała!

– Poza tym – kontynuuje Killian rzeczowym tonem. – Dmitrij nie wie, kim jestem.

– Jak to nie wie?

– Myślisz, że gdy negocjowałem wymianę twojej dziewczyny na głowicę jądrową, to przedzwoniłem do niego i podałem mu prawdziwe nazwisko i adres? Za jakiego szpiega mnie uważasz?

– To pytanie retoryczne? Bo jeśli nie, to mogę udzielić bardzo rozwiniętej odpowiedzi...

– Co jeden to większa mądrała.

– Ale mamy rację. Przechodząc dalej, jeden z Niemców najwyraźniej miał mocne kontakty, bo zanim się zjawiłeś, wyszedł przywitać się z glinami. Zobaczę, czy da radę puścić policji historię o Amerykaninie zabitym w strzelaninie. Gdy Dmitrij uciekał, leżałem na podłodze cały we krwi, więc możliwe, że i tak ma mnie za trupa, ale wzmianka w jakiejś gazecie go upewni. Może choć odrobinę opuści dzięki temu gardę.

Killian kiwa głową.

– W międzyczasie ja spróbuję się dowiedzieć, jak Dmitrij cię zlokalizował. Ktoś gdzieś się spruł i chcę wiedzieć, kto.

– Nikt u mnie, zapewniam.

Przygląda mi się przez chwilę zagadkowym wzrokiem.

– Nigdy nie wiadomo, stary. Niektórzy potrafią tak dobrze grać na dwa fronty, że druga strona nawet nic nie podejrzewa.

Mrużę podejrzliwie oczy, ale on już się obraca i wyciąga z kieszeni spodni komórkę. Przechodzi na drugą stronę magazynu i gdzieś dzwoni. Rozmawia cicho, żebym nie dosłyszał, co oczywiście wzmaga moje podejrzenia.

Mój wzrok łąduje na rzędach komputerów.

– Hej, Killian! – wołam. Patrzy na mnie. – Co to znaczy, jak ta mrugająca zielona kropka GPS-u robi się czerwona?

Podchodzi szybko do biurka przy monitorach. Porusza myszką, naciska kilka klawiszy i mieli pod nosem przekleństwo.

– Co się dzieje?! – pytam głośno, spanikowany.

Staje prosto, kieruje na mnie wzrok.

– Nie panikuj.

– Za późno! – warczę wkurzony.

– GPS się wyłączył.

– Wyłączył się? – Siadam z najwyższym trudem, balansując ciężarem ciała na łokciach. – Jak to się, kurwa, wyłączył?!

– Nie wiem.

– Włączy się z powrotem?

– Nie wiem – powtarza.

– To co wiesz?! – krzyczę, a potem głośno jęczę, bo rozrywa mnie atak bólu. Padam na plecy, ciężko dysząc, jakby ktoś poraził mnie prądem.

– Wcale nie – mów Doc udawanym falsetem – niepotrzebne mi środki przeciwbólowe, jestem wielkim macho. I kretysem.

– Zamknij się!

Przez kilka kolejnych chwil, jak staram się jakoś oddychać, a Killian klika coś na komputerze. W końcu się odzywa:

– Znam przynajmniej dokładne położenie wizytówki w chwili, gdy GPS przestał działać. I od pewnego czasu się nie przemieszczała, więc może zdążyli dotrzeć do ostatecznego celu.

– Słodki Jezu... – mówię ochryple, bo uderza we mnie tsunami ulgi. – Mam zawał.

– Naprawdę? – pyta Doc z niepokojem. Unosi moją rękę i zaczyna mierzyć mi tętno, ale mu ją wrywam.

– W przerośni! Ja jebię!

– Uspokój się, psychopato. Te całe nerwy szkodzą ci na ciśnieniu. Żyłka ci pęknie – burczy

doktorek.

Warczę przez zaciśnięte zęby, na co on ponownie przewraca gałami.

– Nie powinniśmy wyciągać pochopnych wniosków – stwierdza Killian. – Eva mogła wyrzucić wizytówkę, mogła się przebrać, mogła wrzucić ją do wody... nadajnik mógł przestać się przemieszać, a potem wyłączyć z miliona powodów. Nie dowiemy się, dopóki...

Urywa. Patrzy na mnie, pokancerowanego, leżącego żałośnie na noszach, ze skruszoną miną.

– Dopóki nie sprawdzimy na miejscu – kończę za niego z ciężkim sercem.

Obaj wiemy, że nie nadaję się teraz do żadnych podróży, czyli Killian będzie musiał ruszyć po Evę sam.

Obok jej niewoli u Dmitrija to drugi największy koszmar, jaki mogę sobie wyobrazić.

ROZDZIAŁ 7

Eva

Gdy dwaj goryle wpatrują się we mnie, czekając, aż wypełnię rozkaz Dmitrija i zdejmę ubranie, lodowate powietrze w lochu strzela jak naelektryzowane.

Jeżeli się nie dostosuję, pozbawią mnie ubrania siłą. Wiem, że Dmitrij byłby zachwycony, gdybym się zbuntowała. Nie wiem, czy kazałby rozebrać mnie Władowi, a sam by patrzył, czy zrobiłby to osobiście, ale rozkoszowałby się każdą chwilą mojego oporu.

Jeszcze bardziej rozkoszuje się każdą chwilą mojego wahania.

Po przerażonej minie Włada wnioskuje, że już zrozumiał, że to on wymierzy mi karę. Mruga pośpiesznie, zaciska bat w dłoni. Natomiast jego kumpel wydaje się zaintrygowany tym całym dramatem. Ma uniesione brwi, rozpalone oczy. Nie spodziewał się takiej rozrywki, ale chyba nie może się jej doczekać.

Dmitrij po prostu się przygląda. Jak cesarz w Koloseum, obserwuje z zaciekawieniem, jak na arenę wprowadzają lwy.

– Oddaj mi broń – mówi do Włada. – Musisz mieć wolne ręce.

Wład podaje mu karabin. Krew odpłynęła mu z twarzy. To niedorzeczne, ale żal mi go.

– W porządku – zwracam się do niego. – To nie twoja wina. Miejmy to za sobą.

Wład ponownie przełyka ślinę. Dmitrij wzdycha z lekką niecierpliwością. Gdzieś z oddali dochodzi grzmot.

Już mam powiedzieć Władowi, żeby omijał razami okolice moich nerek, lecz on wypowiada nagle najbardziej zniechęcające przez Dmitrija słowo.

– Nie.

Z początku mam wrażenie, że się przesłyszałam. Ale potem zauważam kątem oka twarz Dmitrija. Wargi zaciśnięte do białości, rozdęte nozdrza. Nie przesłyszałam się.

– Nie mogę uderzyć kobiety – dodaje nerwowo Wład. – Przykro mi, proszę pana, ale jeszcze nigdy...

Ucisza go ogłuszająca seria z karabinu.

Rzucam się na łóżko z krzykiem, zakrywam głowę dłońmi. Łoskot serii maszynowej w ciasnym, kamiennym pomieszczeniu to udręka, jakby ktoś wbijał mi w uszy szpikulce do lodu. Hałas w końcu cichnie, pozostaje tylko swąd prochu oraz straszny, wilgotny bulgot, który natychmiast rozpoznałem.

– Przykro ci... – mówi Dmitrij, patrząc na skurczoną na podłodze postać Włada.

Fontanny krwi wystrzelują z największej rany, znajdującej się w jego szyi, na chropowate kamienne ściany. Wład ma szal w oczach, jego usta są rozdziawione. Bezradnie zaciska dłonie wokół gardła.

Zamykam oczy z odrazą, odwracam wzrok.

– A jak u ciebie, Stefan? Co twoje sumienie ma do powiedzenia w kwestii bicia kobiet?

– Pańskie rozkazy to moje sumienie – odpowiada bez mrugnienia okiem.

– Wybornie. Evalina?

Gdy podnoszę wzrok, wskazuje mi gestem, gdzie mam stanąć do bicia.

Musisz przetrwać. Pomyśl o tej drobince życia. Stefan będzie chciał zrobić dobre wrażenie, nie będzie ci pobrażał, może naprawdę cię skrzywdzić, a ty musisz przetrwać, dla tej drobinki, dla drobinki, dla drobinki.

W moim umyśle szaleje zamieć paniki. Żołądek podchodzi mi do gardła.

Wład mógł być moim sojusznikiem, ale Stefan na pewno nim nie jest. Na szali leży znacznie więcej niż moja duma. Muszę zrobić coś drastycznego.

Ześlizguję się z łóżka na kolana. Padam przed Dmitrijem z ugiętym karkiem i mówię:

– Panie. Wybacz mi, proszę.

Jeżeli powietrze wcześniej było naelektryzowane, to teraz zapłonęło żywym ogniem.

– Zostaw nas – rzuca krótko Dmitrij.

Oddaje Stefanowi karabin. Jego kroki odbijają się echem od murów, coraz słabiej, im wyżej wbiega po schodach. Trzaskają wielkie drewniane drzwi i zostają sama z diabłem, klęczę u jego stóp.

Podchodzi, aż czubki jego wypolerowanych czarnych butów docierają na centymetr od moich kolan.

Wład wydaje z siebie ostatni, cichy charkot. Jego ręce leżą bezwładnie na podłodze.

Nastaje długa cisza, zakłócana tylko sporadycznymi grzmotami w oddali.

– Popatrz na mnie.

Na dźwięk żaru w jego głosie przechodzi mnie dreszcz. Lecz podnoszę wzrok, z łomoczącym w piersi sercem.

– Ładnie wyglądasz tam na dole, na kolanach, tak kusząco uległa. Ale nigdy nie wymagałem, byś tytułowała mnie „panem”. Więc czemu to robisz?

Przerzucam myśli w poszukiwaniu jakiejś bystrej odpowiedzi, ale żadnej nie znajduję.

– Dopóki żyjesz, nie będę wolna. Kim więc jesteś, jak nie moim panem? – odpieram poetycko.

Ta odpowiedź go zadowala, ale też niepokoi. Posmakiem zemsty, którym, jak trucizną, nasączyłam słowa „dopóki żyjesz”. Wie, że to niebezpieczny podarunek obleczonej w prawdę. Lecz z jakiegoś powodu nie prowokuję tym jego wybuchu.

– Evalina, nigdy nie byłaś niewolnicą. I nadal nią nie jesteś.

Jestem zdezorientowana jego odpowiedzią, jego wilczą miną i mocnym zniecierpliwieniem w jego spojrzeniu, jakby czekał na tę chwilę od dawna. Myślałam, że pokaz czołobitności kupi mi trochę czasu, może złagodzi karę, ale on chyba już zapomniał o biciu. Chodzi mu po głowie coś innego, znacznie mroczniejszego.

– Więc kim? Zakładniczką?

– Bardziej... uczennicą.

Przez chwilę nie mam pojęcia, co się dzieje.

A potem jakiś klucz w moim umyśle trafia do starej, zardzewiałej dziurki i się przekręca. Otwierają się drzwi do pustego pomieszczenia, z przeraźliwym skrzypieniem zawiasów. Staję w progu, wpatruję się w ciemność, szukam potwora, który od zawsze czeka, by się stamtąd wyłonić.

– Uczennicą? – powtarzam zmroźona.

– Nigdy się nie zastanawiałaś, dlaczego trzymałem cię tak blisko siebie? – pyta cichszym głosem. – Dlaczego dopuszczałem cię do spotkań biznesowych? Dlaczego nieustannie cię testowałem i sprawdzałem, ile trzeba, żeby cię złamać? Myśl, Eva. Przecież wiesz, że nie jestem człowiekiem, który postępuje bez uzasadnienia.

W tym ciemnym pokoju nie czeka na mnie potwór, lecz obraz. Obraz na sztaludze, malowany unurzonymi we krwi palcami mordercy, który śmiał się z zachwytem, powołując do życia swojego Frankensteina.

Dmitrij bacznie mi się przygląda, czeka, aż ujrzę całe dzieło. Czeką, aż odkryję, że na samym jego środku widnieję ja, trzymająca go za rękę.

I rzeczywiście to widzę. Widzę z dokładnością, która wypala mój mózg jak słońce.

On jest garncarzem. Ja gliną. Przez te wszystkie lata myślałam, że po prostu mnie torturuje, podczas gdy w rzeczywistości działa się coś znacznie straszniejszego.

Byłam przygotowywana.

Powietrze pachnie krwią. Podłoga pod moimi kolanami jest zimna i twarda. A w najmroczniejszym zakamarku mojej duszy zakwita ziarno zła.

Opowiada ludziom, że jestem jego żoną.

– Każdy król potrzebuje królowej – mówię, spoglądając w niezmierną głębię jego oczu.

– Otóż to! – Jego policzki aż zarumieniły się z ekscytacji.

Więc oto w końcu dobrnęliśmy do sedna. Do prawdziwej ceny, jaką przyjdzie mi zapłacić za głupiutkie zakochanie.

W dawnych czasach, przed Nazem, szlochałabym. Potulnie uznałabym, że już taki mój los. Postąpiłabym tak, jak uczyła mnie matka, i starała się żyć jak najlepiej, niezależnie od koszmarnych kłód, które pod nogi ciska mi życie, żarłabym ten los, jak świnie rzucaną im przez gospodarza breję. Ale teraz spoglądam daleko poza siebie, w przyszłość. W przyszłość, w której miliony ludzi przetrwały, bo pokonałam diabła w jego własnej grze.

W przeszłość, w której może żyć również moje dziecko.

W przeszłość wykreowaną dzięki temu, że chcę porwać się na coś niewyobrażalnego, a jednak koniecznego.

Ale nie mogę przesadzić z udawaniem zapału, ponieważ ten ogar wywęszy fałsz.

– Wiesz, że cię nienawidzę. Wiesz, że nie możesz mi ufać.

– Twoje uczucia mnie nie obchodzą, a zaufanie to towar, którym nie obracam – stwierdza, rzucając wymowne spojrzenie na trupa Włada.

– Więc co dokładnie proponujesz?

Ujmuje mnie pod brodę, przesuwa kciukiem po mojej dolnej wardze.

– Przeżyłaś ze mną ćwierć swojego życia. Pod moim okiem wyrosłaś z dziewczyny na kobietę. I spójrz na siebie. Jesteś silna. Odporna. Niezlomna, choć wiele cię to kosztowało. Evalina, stała się wojowniczką, bo to ja cię nią uczyniłem. Tylko dzięki mnie jesteś tym, kim jesteś, kim możesz się stać.

Chcę krzyczeć, ale czekam w napięciu, bo wiem, że jeszcze nie skończył.

– Posmakowałaś wolności. Jeśli zasłużysz, dam ci jej więcej. Jeśli zasłużysz, dam ci niemal wszystko, czego zapragniesz... – Jego głos staje się chrapliwy – ...ponieważ ty, tylko ty, wiesz, czego potrzebuję.

Owszem, doskonale znam jego potrzeby. Na samą myśl, co musiałabym robić, żeby „zasłużyć” się w jego mniemaniu, w głębi jamy ustnej zbiera mi się ślina. Przełykam ją, żeby nie wypluć.

– Nie rozumiem.

– To bardzo proste. Wyjdiesz za mnie.

Podskakuję, jestem tak wstrząśnięta, że niemal się przewracam.

Moja reakcja nie zrobiła na nim wrażenia.

– Albo spędzisz resztę życia w tej piwnicy.

Zabiera rękę z mojej twarzy, odwraca się i rusza ku schodom.

– Dam ci trochę czasu do namysłu – rzuca przez ramię.

– Nie potrzebuję.

Zatrzymuje się, obraca powoli i wbija we mnie wzrok.

Prostuję się, patrząc mu w oczy. Stoimy twarzą w twarz nad stygnącymi zwłokami Włada, jedynym świadkiem faustowskiego paktu, który zaraz zawrę.

– Wyjdę za ciebie – oświadczam diabłu z bólem serca.

Odpowiada mi wyszczerzeniem lśniących, białych zębów.

Na prezent zaręczynowy dostaję batożenie, za które zginął Wład.

Ciężko dyszący, ocierający pot z czoła Dmitrij stoi nad łóżkiem i nad moim drżącym, nagim ciałem. Leżę twarzą do pryczy, sapię z bólu, moje policzki są rozpalone, ale suche. Zaciskam w pięści szorstki szary koc. Złamana ręka jest definicją udręki. Pręgi piekącego ognia pokrywają moje nogi, pośladki i plecy.

Nie musiałam go ostrzegać, by omijał nerki. Dmitrij ma fach w rękę.

Kazał mi wymieniać wszystkie przewiny, jakich dopuściłam się, odkąd odnalazł mnie w tamtym wiedeńskim mieszkaniu, począwszy od nazwania go gnojem. Lista była długa. Gdy zawodziła mnie pamięć, chętnie pomagał. Potem kazał mi się rozebrać. Gdy się temu przyglądał, jego oczy były jak żywy ogień. Na koniec kazał mi podziękować za karę, która zaraz zostanie wymierzona.

Trochę przypominało to wszystko religijny rytuał. Brakowało tylko opłatka i wina mszalnego.

Dałam mu wszystko, czego sobie zażyczył, bez cienia wahania czy wyrzutów. Evalina 2.0, dziewczyna, która zniesie każde poniżenie, byle uśpić diabła i sprawić, by lekko spuścił gardę.

Chyba otruję tę pizdę.

Wyobrażając to sobie, wydaję odgłos, który on bierze za błaganie.

– Czego się spodziewałaś, szamana i róż?

Jego głos jest obleczony śmiechem. To pytanie retoryczne. Wie, że nie miałam złudzeń, co mnie czeka. Przygryzam język i skupiam się na szczelinie w murze przede mną, śledzę wzrokiem jej sięgający podłogi, meandrujący szlak.

Gdy mój wzrok pada na ciało Włada, szybko go odwracam.

Dobry Boże, nadal ma otwarte oczy.

– W porządku, ukochana. Dobra robota.

Dmitrij nachyla się nade mną, odsuwa mi włosy z twarzy. Całuje mnie w policzek, dyszy ciepłem na moją skórę. Siłą woli powstrzymuję się od reakcji, bo wiem, że najgorsze minęło.

Gdyby miał wobec mojego ciała jakieś inne plany, to właśnie od nich by zaczął.

Odsuwa się, poprawia fryzurę, niedbale rzuca bicz na zwłoki Włada.

Ja, unikając jego wzroku, wciągam z powrotem dzinsy, co chwilę się zatrzymując, aby nabrać powietrza, by przeszedł kolejny zawrót głowy.

Nie jestem w stanie zapiąć guzika w spodniach jedną ręką, nie potrafię przełożyć złamanej ręki przez rękawek T-shirtu. Żeby ściągnąć koszulkę, musiałam zdjąć temblak, lecz teraz boli tak bardzo, że nawet nie marzę, że założę go z powrotem, więc jedynie patrzę nań bezradnie.

– Proszę.

Dmitrij podnosi go z podłogi, zakłada mi go na szyję, układa w nim rękę. Ściąga marynarkę i delikatnie zakłada ją na moje ramiona. Gdy tkanina dotyka moich rozpalonych pleców, syczę z bólu.

– Cichutko. Nie rozerwałem skóry.

Jest już spokojny, jego apetyt został na razie nasycony. Jakby nie patrzeć, ma za sobą świetny czas. Odnalazł mnie, stewardessa mu obciągnęła, potem jeszcze sam sobie zwałił, a na koniec zdobył narzeczoną, którą natychmiast wybatożył. W ramach bonusu zabił nieszczęsnego Włada.

A może także Naza.

Moje serce skręca się z bólu.

Nie myśl o nim teraz. Nie myśl o nim, bo nie będziesz w stanie zrobić tego, co trzeba.

Staję z pokornie spuszczonego wzrokiem i czekam, aż powie, co dalej. Mam milion pytań, ale zadanie choć jednego byłoby jak postawienie stopy na polu minowym. Lepiej pozwolić mu nadawać tempa wydarzeniom, być potulną jak owieczka.

Lub, by ująć rzecz precyzyjniej, jak wilczyca w owczej skórze.

– Dlaczego się uśmiechasz? – pyta, muskając moje usta.

Boże, moja durna gęba. Zawsze mnie zdradza.

– Boję się, że jeśli powiem, znowu mnie zbijesz.

Unosi mój podbródek, zmusza mnie, bym na niego spojrziała.

– Pozwalam ci mówić szczerze.

– Ja... myślałam, że chciałabym... cię skrzywdzić.

Unosi kąciki ust, jest rozbawiony.

– Podobałoby ci się to? Skrzywdzić mnie?

– Tak.

Odpowiedziałam z taką zapiekłością, że aż zarechotał.

– A jak byś to zrobiła? Wyrwałabyś mi paznokcie całkami? Wlała mi kwas do oczu? Obciąła mi jądra sekatorem?

– Podpaliłabym cię i patrzyłabym, jak płoniesz, aż zamieniłbyś się w kupkę dymiącego popiołu, a potem kucnęłabym nad tą kupką i się zesrała – odpowiadam jadownicie.

Przez chwilę nie reaguje, jest zbyt oszołomiony. W końcu odrzuca głowę do tyłu i wybucha śmiechem.

– Mój Boże... – mówi, dławiąc się ze śmiechu. – Co za mały dzikus. Nawet Attyla nie był w połowie tak barbarzyński!

– Bo Attyla nie przeżył z tobą siedmiu lat.

– Właśnie. – Dmitrij zaciska dłoń na moim gardle i przyciąga mnie do siebie. Jego oczy lśnią zwycięstwem. Ma obnażone zęby. – Otóż to. Jesteś moim tworem. Moją latoroślą. Jak Atena zrodzona z głowy Zeusa.

Wiem, że jest szalony, a mimo to jego słowa mają straszny, proroczy ciężar.

– Nie. Nie jestem jak ty...

– Jesteś dokładnie jak ja, ukochana. Jedyne różnica polega na tym, że ja akceptuję, czym jestem, a ty nie. – Przysuwa usta do mojego ucha. – Zabiłaś dwóch moich ludzi. Jeżeli będziesz miała okazję, zabijesz mnie. Masz już tyle krwi na rękach, że nie możesz rościć sobie prawa do niewinności, tym bardziej, że nie masz z tego powodu wyrzutów sumienia.

Odsuwa się i uśmiecha, widząc przerażenie na mojej twarzy.

– Evalina, zdejmij klapki z oczu. Myszy nie przetrwają pośród lwów. Jeśli chcesz przetrwać, musisz być lwem.

Wypowiedziawszy te słowa, bierze mnie za rękę i wyprowadza z piwnicy.

ROZDZIAŁ 8

Eva

Wsiadamy do Phantoma i ruszamy. Stefan jedzie za nami w drugim samochodzie. Wład będzie gnił tam, gdzie padł martwy.

Wracam do tego czarnego miejsca w mojej głowie, które staje się coraz wygodniejsze. Jest w nim spokojnie i bezpiecznie; jest dla mnie niczym ciepła komórka pod schodami wielkiego domostwa, w której mogę usiąść, podciągnąć kolana pod brodę i ukryć się przed potworami.

Potworami, których rechot brzmi tak znajomo, że może jestem jednym z nich.

– Jesteśmy.

Mrugam sennie, moje myśli są ciężkie i ślamazarne. Wyglądam przez okno w mglisty, szary świt. Widzę posiadłość, nieporównywalnie przyjemniejszą od poprzedniej. Jest biała, rozlewa się na porośniętym bujnie wzgórzu. Otaczające ją drzewa są tak wysokie, że muszą mieć setki lat.

– Jesteśmy? – Obserwuję kołującego leniwie nad koronami drzew jastrzębia. Wznosi się i opada jak strzała, znikając za żywoptem, a potem znów wzlatuje, wzbija się w niebo. W jego szponach wije się jakieś małe stworzenie.

– Dom.

Spoglądam na Dmitrija, jego niebieskie oczy lśnią z ekscytacji. Siedzi obok, blisko, ale mnie nie dotyka. Ciepło jego ciała nieustannie mi przypomina, że pod tą zimną, wypielegnowaną powłoką bije puls zwierzęcia.

– Pomyślałem, że byłoby rozsądnie znaleźć nam nowe gniazdo. Biorąc wszystko pod uwagę.

Biorąc pod uwagę, że Tabby i Connor znają jego dawny adres i na pewno by mnie tam szukali. O to mu chodzi. Zaplanował to wszystko z dużym wyprzedzeniem, jakżeby inaczej. Porwanie, moja kapitulację, zgodę na małżeństwo. Ciekawe, czy jest zaskoczony, że uległam tak szybko.

Prawdopodobnie nie. Potrafił przewidywać moje zachowania, odkąd go znam. Czyta z mojej głowy jak z kryształowej kuli. Spogląda mi w oczy i widzi przyszłość.

Nie mówi ani słowem o Connorze i Tabby, ale to przez nich lekko zacisnął usta. Jeszcze mnie nie ukarał za to, że go zdradzili i огоłocili jego konta z pieniędzy, ale podejrzewam, że to robi.

– Owszem. – Słyszę swój apatyczny, pusty głos. – To rozsądne. Biorąc wszystko pod uwagę.

– Wydajesz się zmęczona.

Wcale nie ironizuję, po prostu artykułuję swoje spostrzeżenie. Przeskakuje spojrzeniem z mojej posiniaczonej twarzy na wymięte džinsy, na brudne gołe stopy, a potem wiedzie wzrokiem do góry i zatrzymuje się na moich rozczochranych włosach. Wygina usta z cieniem dezaprobaty.

– Ostrzygłam je na jachcie, gdy Killian mnie porwał. Nie chciałam, żeby trzymał mnie podczas bicia za nie jak na smyczy – wyjaśniam rzeczowo, jakby to wszystko przydarzyło się komuś zupełnie obcemu. I prawie tak się czuję. To odległe wspomnienie, zamazane na krawędziach, zaczyna już blednąć.

– Killian? – pyta, z nutą agresji w głosie. – Takie imię ci podałeś?

– Tak.

Jego twarz tężeje.

– Słono zapłaci za to, że cię skrzywdził – stwierdza po chwili.

Jego złość wywołana faktem, że uderzył mnie inny mężczyzna, wzbudza we mnie dziwną ciekawość. Pewnie widać, to na mojej twarzy, bo Dmitrij pyta:

– Co?

– Czy teraz też mogę mówić szczerze?

– Nie będziesz karana za szczerość, wyłącznie za nieposłuszeństwo.

– To nowość – odparowuję bez namysłu.

Wzdycha cicho, z lekkim niezadowoleniem.

– Wcale nie. Jest różnica między szczerością a bezczelnością, między prawdą a grubiaństwem, między prostym niezrozumieniem moich życzeń a krnąbrnością.

– Kiedyś złamałeś mi rękę, bo nie pościeliłam łóżka.

Patrzy na mnie, spokojnym, chłodnym wzrokiem.

– A czy poinstruowałem cię, że masz je pościelić?

– Tego konkretnego dnia nie – odpowiadam po namyśle.

– Ale z zasady tego wymagałem. Moje życzenie się nie zmieniło, odkąd je wyraziłem. Byłaś więc nieposłuszna i dlatego zostałaś ukarana.

Patrzę na niego z rozchylonymi ustami, zmagając się wewnątrz z jego opętańczą logią. Uśmiecha się na ten widok.

– Pozwól, że ci to zilustruję. Odpowiedz na następujące pytania. Myślisz, że jestem zły o to, że spałaś z innym mężczyzną?

– Nie – odpowiadam natychmiast – bo sam to zaaranżowałaś. Chciałaś, bym zapalała uczuciem do innego mężczyzny, bo odzyskałaś atut, który straciłaś wraz ze śmiercią mojej matki.

– Masz rację. Ale czy kiedykolwiek zabroniłem ci sypiać z innymi mężczyznami?

Tym razem nie odpowiadam tak prędko.

– Konkretnie chyba nie, ale z całą pewnością dałaś mi to do zrozumienia.

– Możesz się przerznąć z całą rosyjską armią, miałbym to gdzieś. Pod warunkiem, że najpierw bym ci na to pozwolił.

– Och, jakże liberalnie... – odpowiadam cicho.

– Wcale nie. – Wzrusza ramionami. – Po prostu lubię patrzeć.

– Ale pozwoliłbyś Władowi mnie wychłostać. Więc dlaczego jesteś zły na Killiana, a na Włada byś nie był?

Patrzy na mnie, czeka, aż sama zrozumiem.

– Bo Killian nie miał twojej zgody?

– Bo miał czelność cię porwać i mnie szantażować. I owszem, również dlatego, że nie pozwoliłem mu cię tknąć. Później mi o nim opowiesz. – Jego głos staje się ostrzejszy. – Chcę usłyszeć, skąd się wzięły te wszystkie siniaki, które miałaś na nagraniu, które mi wysłał.

Jego głosu nie wyostrzyła złość, lecz podniecenie.

Ten człowiek jest niczym przesiąknięta złem cebula. Zdejmij jedną warstwę, a ukaże się kolejna, jeszcze bardziej przegniła.

Mylnie odczytuje moją minę jako zmieszanie.

– Nie komplikuj sobie tego wszystkiego. To bardzo proste. Rób, co ci każe. Jeżeli czegoś nie każe, nie rób tego. Idealny przykład: zapalniczka od Włada. Wiedziałaś, że robisz źle. Gdybym chciał, żebyś miała zapalniczkę, dałbym ci ją.

Och, ale wtedy nie mógłbyś zaaranżować cudownego popisu, który miał nasrać mi w głowie. Bo oto stałam się przyczyną nie tylko własnej krzywdy, ale i zabójstwa niewinnego człowieka.

Skęcemy w długi, kręty podjazd i zwalniamy. Domostwo góruje przed nami, jest imponująco wielkie. Zatrzymujemy się przed podwójnymi, wysokimi drzwiami z rzeźbionego drewna. Są czarne niczym niebo o północy.

Jak włosy Naza.

Muszę zacisnąć powieki, by opanować łzy.

Stefan stąpa za nami ponuro, gdy wchodzimy do przepastnego foyer i głównego korytarza. Każda powierzchnia lśni tak intensywnie, że przydałyby się okulary przeciwsłoneczne.

Całe połączenie marmurów, luster i polerowanego drewna są gdzieś tam przetykane aksamitnymi gobelinami i tureckimi dywanami. Z waz z czasów dynastii Ming wylewają się orientalne lilie, nasycające powietrze tym gryzącym, mdląco-słodkim zapachem domu pogrzebowego, który kojarzy mi się z życiem pod butem Dmitrija i którego w efekcie namiętnie nienawidzę.

Co rusz napotykamy służących w uniformach. Gdy przechodzimy, wszyscy zatrzymują się,

kłaniają bez słowa i tkwią w tej pozycji, ze wzrokiem wbitym w podłogę, dopóki ich nie miniemy. Odgłosy naszych kroków odbijają się echem od ścian.

Miejsce ma atmosferę mauzoleum.

Dla mnie chyba rzeczywiście nim jest.

– Znowu się uśmiechasz – zauważa Dmitrij, przystając przed zamkniętymi, podwójnymi drzwiami. Te są białe, mają złote klamki i pasujące do nich zdobienia.

Unoszę dłoń do ust i z niepokojem stwierdzam, że ma rację.

Kilka kroków za nami, nieco z boku, stoi Stefan, przyglądając mi się. Jego spojrzenie jest zimne i przeszywające, jak u torturującego śledczego, który czeka na odpowiedzi w przerwach pomiędzy miażdżeniem ofierze kolejnych palców młotkiem.

Dmitrij przekręca złotą gałkę i popycha jedno skrzydło drzwi, ukazuje się za nimi rozległy apartament.

Jest cały w bieli, oślepiającej bieli, od sklepionego sufitu po marmurowe posadzki. Wszystkie meble, rzeźby i dzieła sztuki, nawet aksamitne zasłony przy oknach, wszystko ma odcień świeżego śniegu. Tej białej jednolitości nie zakłóca nawet plamka innej barwy, nie ma tu żadnych roślin, nigdzie nie walają się czasopisma.

Rozglądam się, mrugając.

– Jakże przytulnie i gościnnie. Jak w lodowej jaskini.

Dmitrij zerka na mnie z ukosa, unosi kącik ust.

– Chciałem, żeby apartament panny młodej odzwierciedlał czystość naszej miłości – rzuca sardonicznie.

Apartament panny młodej. Zaraz zwymiotuję.

– Mam nadzieję, że twoja gosposia potrafi usuwać ślady krwi.

Spogląda na mnie, niepewny czy chodzi mi o własną krew, czy o jego.

Stawiam krok naprzód, ale zatrzymuje mnie ostrym: „czekaj”. Odwracam się do niego zdziwiona, a on pochyla się i bierze mnie na rękę.

– Chyba sobie żartujesz – mówię do jego profilu.

– Wiesz, że jestem staromodny.

– Pewnie. Jak hiszpańska inkwizycja.

– Śmieszne, ale pożałujesz tego.

Przenosi mnie przez próg.

Stefan czeka tuż za drzwiami, ale jego oczy śledzą mnie jak wiązki laserowe. Staram się zapomnieć o jego ochoczym spojrzeniu, gdy cieszył się na możliwość podziwiania mojej kary z pierwszego rzędu. Mogę skupiać się wyłącznie na jednym diable na raz.

Dmitrij przemierza apartament i wchodzi do przylegającej doń łazienki, która jest wielka jak hotelowe lobby. Stawia mnie obok porcelanowej wanny rozmiarów pełnomorskiego statku i prostuje się. W tym momencie zauważam, jak zbladł. Nad jego górną wargą pojawiła się rosa potu, której jeszcze chwilę temu tam nie było.

Interesujące. Dmitrij jest szczupły, lecz niebywale silny i wytrzymały jak maratończyk. A jednak, pocisk musiał wyrządzić większe szkody, niż sądziłam.

Pocisk Naza.

Przykładam dłoń do serca, żeby powstrzymać jego nagłe dudnienie.

– Oporządź się. Przyślę ci służącą do pomocy. Później odwiedzi cię lekarz. W międzyczasie odpoczywaj. Musisz odzyskać energię – komunikuje mechanicznie, jakby odczytywał plan dnia.

Odwracam wzrok od jego wymownego uśmiešku i rozglądam się po pomieszczeniu. Musi w nim być coś, czego mogłabym użyć jako narzędzia albo broni, może zyletka. Może długopis. Zauważyłam, że okna są nieokratowane...

– Nawet nie próbuj uciekać.

Dmitrij kładzie dłoń na moich łądźwiach. To gest dominacji, posiadania i, choć delikatny, także ostrzeżenia.

– Okien nie da się rozbić, w ścianach są kamery. Zakres twojej wolności zależy od zachowania.

Jeżeli będę z ciebie niezadowolony, nigdy stąd nie wyjdiesz.

– Rozumiem.

Przygląda mi się bacznie, ale wiem, że moja twarz jest pusta, bo nic nie czuję. Mam w sobie pustkowię, jałowe bezdroże wyprane z kolorów tak samo jak ten pokój.

– Gdybyś czegoś potrzebowała, użyj telefonu wewnętrznego. – Wskazuje głową na elektroniczną konsolkę w ścianie przy lustrze. Niebieski ekran dotykowy czeka na moje polecenia.

Potrzebuję arszeniku. Potrzebuję maczety. Potrzebuję ostrego kolka, który mogłabym wbić w twoje nieruchome serce.

– A ślub? – zwracam się do niego z wciąż pozbawioną emocji miną. – Kiedy ślub?

Przez moment przygląda mi się w ciszy, wodząc wzrokiem po mojej dolnej wardze.

– Mniemam, że potrzebujesz trochę czasu na wybór sukni – zagaja.

– Mam... prośbę.

Unosi jasne brwi, ale milczy.

– Do tego czasu nie chcę z tobą sypiać – mówię luźnym tonem, jakbym targowała się o cenę szalu przy straganie na moim ukochanym targu w Cozumel, a nie o własną cześć.

– Za dużo sobie wyobrażasz... – cedzi z groźniejszą miną.

– Jestem już twoja. Jaką różnicę zrobi ci kilka tygodni, co najwyżej wyostrzy apetyt...

– Tygodni? – Prycha. – Och, ukochana, źle mnie zrozumiałaś.

Na widok jego spojrzenia zasycha mi w ustach.

Łapie mnie za tyłek i przyciąga do siebie, drugą dłoń zaciska mi na gardle. Miażdży moje usta swoimi, gryzie moją wargę do krwi. Gdy się odsuwa, ciężko dyszy.

– Będziemy małżeństwem za trzy dni – warczy. – Skoro Chrystusowi wystarczyło tyle na zmartwychwstanie, to nam wystarczy na przygotowanie się do sakramentu małżeństwa.

Odpycha mnie mocno i wychodzi, poprawiając sobie krawat. Drzwi zamykają się za nim z trzaskiem, w zamku przekręca się klucz i w końcu – na szczęście – zostaję sama.

Trzy dni. Panie, pomóż.

Wycieram wargę puszystym, białym ręcznikiem, widok maźnięcia karmazynowej krwi na nieskazitelnej bieli sprawia mi wisielczą przyjemność. Zrzucam z siebie jego marynarkę i kopię ją w kąt pokoju.

Jak zapowiedział Dmitrij, niedługo później pojawia się pokojówka, która puka niepewnie w drzwi i zostaje wpuszczona do środka przez groźnego Stefana. Jest młoda, może koło dwudziestki, ma włosy barwy mysiego brązu, przygarbione plecy i rozbiegany wzrok. Kuli się, gdy pytam ją o imię. Nie odpowiada. Ze spuszczonego wzrokiem puszcza wodę do wanny i dolewa zawartość jednej ze słodko pachnących buteleczek, stojących na szklanej tacy na blacie.

Następnie wykonuje serię niezrozumiałych ruchów ręką, jej palce przemykają jak błyskawice.

– Przepraszam – mówię łagodnie. – Nie rozumiem cię.

Podchodzi do mnie jak dzikie zwierzątko, powoli, ostrożnie, z uniesionymi rękoma. Zerka na moje rozpięte dżinsy, wskazuje na suwak.

– Och, chcesz mi z nimi pomóc?

Kiwa głową. Czuję dziwną ulgę i dużą wdzięczność.

– Okej. Swiak dam radę rozpiąć, ale mogłabyś mi pomóc ściągnąć je z talii?

Przytakuje. W jej postawie jest coś wzbudzającego zaufanie, choć ewidentnie ma się przy mnie na baczności. Pozwalam pomóc sobie przy rozbieraniu, a następnie wchodzę do gorącej wody, sycząc z bólu, gdy oblewa pręgi na moich udach. Ale ten ból jest znośny, a woda przyjemna, więc ostrożnie siadam, opierając złamaną rękę na krawędzi wanny, żeby jej nie zamoczyć.

Pokojówka stoi z boku z wytrzeszczonymi oczami.

Zauważyła, jak wyglądają moje plecy.

– Założę się, że w której szafce pod umywalką jest krem leczniczy. Mogłabyś poszukać?

Kiwa głową, podchodzi do marmurowej umywalki, przeszukuje szafki i szuflady, aż w końcu znajduje tubkę maści na rany i unosi ją triumfalnie.

Wcale mnie to nie dziwi. Dmitrij zawsze dba o zapas leczniczych mikstur, bandaży i środków

przeciwbólowych, bo często się przydają.

– Dobrze. Dziękuję. Może pomogłabyś mi się nasmarować po kąpeli?

Znowu kiwa głową, a potem łączy dłonie na wysokości talii i spuszcza głowę.

Chciałabym zapytać, skąd pochodzi i jak tu trafiła, ale jest niemową, a ja nie znam migowego. Co oczywiście doskonale pasuje Dmitrijowi. Im trudniej komunikować mi się z personelem, tym lepiej dla niego.

Zanurzam głowę, żeby zamoczyć włosy, a potem proszę dziewczynę o szampon. Wybiera kolejną buteleczkę, po czym wylewa sporo gęstego płynu na moją dłoń. Namydlam włosy jedną ręką i znowu zanurzam głowę. Idzie mi niezręcznie, bo cały czas pilnuję, by nie zmoczyć drugiej ręki.

Widząc moją nieporadność, kobieta unosi palec i znika w pokoju obok. Wraca szybko z pustym kryształowym dzbanem i pokazuje, bym usiadła i odchyliła głowę.

Nabiera do dzbana wody z wanny i spłukuje mi włosy.

Zamykam oczy, jestem wdzięczna, ale równocześnie zmartwiona, jak bardzo czuję się od tego odcięta. Od wszystkiego, co się ze mną dzieje. Nawet nie wstydzę się nagości przed zupełnie obcą osobą.

Cieszę się, że mnie to dziwi, bo alternatywa byłaby gorsza. Oznaczałaby, że jestem już tak gruboskórna, jak twierdzi Dmitrij.

A gdyby miał rację w tym, to także we wszystkim innym.

Oznaczałoby to, że i ja jestem potworem.

Nie bądź śmieszna. Twój mózg boryka się z przytłaczającą traumą psychologiczną. Wypierasz realia swojego położenia. Poczucie oderwania jest naturalne. To mechanizm obronny. Wszystko z tobą dobrze.

– Z wyjątkiem tego, że słyszę w głowie twój głos, Bestyjko.

Dopiero na widok służącej, która wygląda, jakby miała ochotę poszukać krucyfiks i wody święconej, dociera do mnie, że powiedziałam to na głos.

– Przepraszam. Nie jestem teraz sobą.

Mój śmiech jest dziwny, niestosowny. Poznają to po tym, że dziewczyna odsuwa się o kilka kroków, a potem patrzy na mnie, szybko mrugając i przełykając ślinę.

Wzdycham ciężko i przymykam oczy.

– O, Boże. Tak mi przykro. Nie chcę cię straszyć. Na pewno jesteś przeuroczą osobą, która pechowo dostała pracę u psychopaty i zdążyłaś się już naoglądać zbyt wielu okropieństw, a potem pojawia się ja, wyglądam jak worek treningowy i gadam do siebie, a ty musisz mnie niańczyć. Nie dziwne, że się boisz. Ignoruj mnie. Chyba przechodzę jakieś załamanie.

Na dowód własnych słów wybucham płaczem.

Podkulam nogi, opieram czoło na kolanach i bujam się w wodzie, łkając, oplatając gołonie zdrową ręką. Złamana piekielnie boli. Płaczę, aż dostaję czkawki, do psychicznego i fizycznego wycieńczenia.

Wtedy czuję na ramieniu delikatne klepięcie, podnoszę wzrok.

Pokojówka stoi przy wannie, trzyma pusztę ręcznik. Na jej ustach widnieje niepewny uśmiech. Wskazuje na mnie i pokazuje kciukiem oraz palcem wskazującym znak „okej”. Nie wiem, czy chce powiedzieć, że wszystko będzie dobrze, czy „epicko żeś się poryczała, paniusiu”, ale chyba przestała się mnie bać, więc poczytuje to za sukces.

Podnoszę się resztkami sił i wychodzę z wanny, pozwalam jej się wytrzeć, podczas gdy sama stoję, telepiąc się z wyczerpania. Kładzie dłoń na moim ramieniu, nasze spojrzenia się spotykają.

Pokazuje pręgi na moich plecach, spogląda na mnie pytająco.

– Dmitrij się ze mną zabawił.

Kiwa nieśpiesznie głową, jej wzrok robi się twardszy. Następnie wskazuje na swoje usta.

– Nie rozumiem.

Pokazuje moje plecy, a potem znowu swoje usta.

– Chcesz powiedzieć, że to przez niego straciłaś mowę?

Gdy przytakuje, coś wykręca mi żołądek jak mokrą szmatę.

– O, Boże. Boję się zapytać.

Nie muszę, dziewczyna pokazuje mi dzieło Dmitrija, po prostu otwierając usta.

Mdłości przeistaczają się w palącą gulę w gardle, bo widzę przed sobą postrzępiony kawałek mięsa, który niegdyś był językiem.

ROZDZIAŁ 9

Naz

– Nie spierdol tego.
– Nie zamierzam niczego spierdolić.
– Musisz być skrajnie ostrożny.
– Myślisz, że o tym nie wiem? – burczy.
– Mógł tam pozakładać pułapki. Mógł porozstawiać czujki, zamontować kamery i kto wie, co jeszcze. To może być jedna wielka ustawka.

Killian przewraca oczami.

– Przestań trząść portkami. Jak stara baba. – Prycha, machając lekceważąco ręką.

Nadal leżę na noszach na kółkach, już pocerowany i podpięty do kroplówki z antybiotykiem. Patrzę, jak Killian zbiera sprzęt, jak szykuje się, żeby ruszyć do ostatniej podanej przez GPS lokalizacji Evy i czuję się jak niedojda, a nie facet, bo on zajmuje moje miejsce.

To moja kobieta. Moja odpowiedzialność. Kropka.

Wszystko przez te pieprzone, upierdliwe rany postrzałowe.

– Potrzebny mi telefon.

– Doc załatwi ci wszystko, czego potrzebujesz – mamrocze, nadal zirytowany, że nie mogę pomóc Evie.

Killian kiwa głową w stronę Doca, który akurat przetrząsa wielką lodówkę po drugiej stronie magazynu. Stwierdził, że przez to całe zszywanie nabrał ochoty na burgera, co jest kompletnie pojebane, ale nie wnikam, bo skupiam się na Killianie i jego misji.

I tak wolę nie wiedzieć.

– Masz wsparcie?

Killian patrzy na mnie jak na durnia, bo przecież jest za dobry i nie potrzebuje wsparcia. Jest równie upierdliwy jak rany po kulach.

– Podaj mi szczegóły. Oszaleję od tego wszystkiego – mamrocze.

– Już jesteś szalony, stary.

– Killian, proszę cię.

Zatrzymuje się, zdziwiony moim tonem i słowem „proszę”. Jestem pewien, że użyłem go pierwszy raz w jego obecności.

– Eva to moje życie. Całe życie – mówię tonem przepełnionym emocjami.

Przez chwilę mi się przygląda, a potem zapina kamizelkę kuloodporną i zarzuca plecak na ramię. Przebiera się szybciej niż Clark Kent w budce telefonicznej, ma na sobie pełny strój taktyczny i wysłużone, lecz irytująco wielkie buty wojskowe.

Pewnie wypycha czubki zwiniętymi skarpetkami.

– Czyli będziesz miał u mnie dług, jeśli sprowadzę ją w jednym kawałku – stwierdza.

Potem odchodzi, a ja zostaję sam, miotając za nim przekleństwa.

– Ej, kolego, chcesz burgera?! – woła Doc z drugiego końca magazynu. – Robię wyborne cheesburgery z bekonem i wszystkimi dodatkami!

– Nie chcę pierdolonego burgera! – ryczę. – Chcę jebany telefon!

– Ziom, chcesz telefon, ale tak naprawdę potrzebujesz pigułki, żeby trochę wrzucić na luz. – Podchodzi do biurka z komputerami, pochrupując seler naciowy. – Jeżeli ktoś może sprowadzić twoją dziewczynę, to koleś, który przed chwilą stąd wyszedł. Jest legendą.

Przyrzekam, że zaraz pęknie mi żyłka w mózgu.

– Tak twierdzi...

Doc wyciąga z szuflady czarny telefon. Uruchamia go, naciska kilka guzików i mi podaje.

– Zabezpieczony?

– Zgadnij.

Biorę komórkę i wybieram numer Connora.

– Zakładam, że nie odpowiesz mi na pytania dotyczące Killiana.

– Skąd ten pomysł. Pytaj.

Odpowiedział tak nonszalancko i zaskakująco, że zamarłem w połowie wstukiwania numeru.

– Okej. Kim on jest?

– Chodzi ci o to, kim jest naprawdę? Nie mam pojęcia, kolego. Nie wiem nawet, czy naprawdę ma na imię Killian.

– Dzięki – rzucam cierpko. – Bardzo pomogłeś. Super, że się przed sobą otworzyliśmy.

– Po prostu mówię ci prawdę. Działa w oparciu o zasadę minimalnej niezbędnej wiedzy, a niemal wszystko na temat jego tożsamości to wiedza zbędna w tym fachu. – Wzrusza ramionami.

– Jak go poznałeś?

– Pracowałem jako wolny strzelec dla Wuja Sama...

– Jesteś Amerykaninem?

– Nie.

Patrzymy sobie w oczy.

– Myślę, że moje kolejne pytanie jest dość oczywiste.

– Co moja narodowość ma do rzeczy? – pyta. – Rządy na całym świecie zatrudniają obcych obywateli do tajnych operacji. Tak się składa, że Stany mają naprawdę tłusty budżet na zakulisowe akcje, więc najczęściej pracuję dla nich.

– Czyli jesteś szpiegiem.

– Po pierwsze i przede wszystkim jestem lekarzem. Trafiam tam, dokąd wiecie mnie moja profesja. W przypadku Killiana to była taka jedna robota w Pakistanie. Poznałem go tuż przed tym, jak dał CIA cynk w sprawie kryjówki Bin Ladena...

– Chwileczkę – podpieram się na łokciach, dębiejąc z niedowierzania. – Chcesz mi powiedzieć, że Killian stoi za zlikwidowaniem Osamy?

– Nie, kolego – odpowiada z łobuzerskimi iskierkami w oczach. – Osamę zlikwidowali SEALs Team Six. Killian tylko powiedział im, gdzie się ukrywa.

– Bzdury. Zmyślił to.

– Ja tylko mówię. – Doc unosi ręce. – Słyszałem przypadkiem, jak gdzieś dzwonił i podawał adres tego kompleksu w Abbottabad, a niecałą godzinę później Osama leżał martwy pod tym samym adresem. Sam wyciągnij wnioski.

– Skoro słyszałeś „przypadkiem”, to znaczy, że chciał, żebyś to usłyszał! Pewnie gadał do niemej słuchawki.

– Skądże, takich sytuacji było znacznie więcej. To poważny gość. W każdym razie, zaprzyjaźniliśmy się, gdy uratowałem nogę jego bratu. Włazł na minę przeciwpiechotną pod Rawalpindi...

– Co takiego? To Killian ma brata?

– No ma, bliźniaka. Też robi w branży.

Patrzymy na siebie bez słowa, Doc dalej chrupie seler.

– Bliźniaka – powtarzam. – Coraz lepiej.

– Wyglądają identycznie. To trochę poryte. Te same tatuaże i tak dalej.

– To jest poryte.

– No, wiem. Kilka razy nie wiedziałem, z którym gadam.

– Jak ten drugi ma na imię?

– Liam.

– Znasz ich nazwisko?

– Pewnie – prycha. – Podać ci też pesel i adres domowy? Dał mi pod choinkę całą teczkę personalną.

– Boże, naprawdę go nienawidzę – warczę.

– Jest naprawdę spoko, jak go bliżej poznać.

Padam plecami na nosze i nabieram powietrza w płuca.

– Stale to powtarza.

– Daj mu szansę. Przywykniesz do niego – stwierdza.

– Pewnie, jak do grzyba na ścianie – mamroczę, po czym kontynuuję przesłuchanie: – Co jeszcze o nim wiesz?

Doc zastanawia się przez chwilę, dojada seler i ociera usta wierzchem dłoni.

– Nie znosi muzyki disco.

– Do kurwy nędzy.

– Stary, wiem tyle, że gość jest jak duch. – Wzdycha, po czym kontynuuje: – Jest najlepszy w swojej robocie i naprawdę jest duchem. Gdy mnie potrzebuje, dzwoni. Gdy tylko mam możliwość, przyjeżdżam. Płaci gotówką, ja robię swoje, nie gadamy o traumach z dzieciństwa. Akurat byłem w Wiedniu na sympozjum. Miałeś szczęście, bo inaczej w takim tempie załatwiłby pewnie jakiegoś miernego konowala.

– Sympozjum?

– EuroSciCon organizuje Światowy Tydzień Medycyny Urazowej. Zależy mi na stałym kontynuowaniu edukacji.

– Nie wierzę w to gównu – burczę pod nosem, przymykając oczy. Otwieram je i kończę wybierać numer Connora.

– Już koniec otwierania się przed sobą? – pyta, szczerząc zęby.

– Idź sobie.

Oddała się w kierunku lodówki i długiego stołu ze stali nierdzewnej, który robi tu za kuchnię, i zabiera się za przygotowywanie posiłku.

Connor odbiera po pierwszym sygnale. Wita mnie głęboka, ciężka cisza.

– Connor. Tu Naz.

– Jezu Chryste. – W słuchawce rozlega się głos ulgi. – Bezpieczna linia?

– Tak.

– Günter powiedział, że zabrała cię karetka, ale nie pojawiłeś się w żadnym szpitalu. Myślałem już, że zwinęli cię goście od Dmitrija i wrzucili do jakiegoś rowu.

– Killian mnie podwiózł. Jestem w jego kryjówce, gdzieś w mieście.

– Killian?

– Byłem równie zaskoczony, wierz mi.

– Facet ogarnia operacje ratunkowe... – burczy.

– Jeśli powiesz, że powinniśmy go zatrudnić, odchodzę.

– Masz pojęcie, gdzie jest ta kryjówka?

– Nie. Jestem podziurawiony i uziemiony, ale stabilny. – Zwięźle wdrażam go w wydarzenia ostatnich godzin, wyjaśniam, gdzie udał się Killian i co Doc opowiedział mi o nim i o jego bracie.

– Bliźniaki. Interesujące.

– Raczej irytujące.

– Może Tabby wykorzysta tę informację i coś wygrzebie na jego temat. To znaczy ich temat. Mów, w jakim jesteś stanie.

– Doc mówi, że przeżyję, ale czuję się kiepskawo. Poleżę przynajmniej kilka dni – cedzę, niezadowolony z rozwoju sytuacji.

– Rozumiem. Więc jak szacujesz, kiedy będziemy mogli cię wyciągnąć? – pyta po chwili.

– Żadnego wyciągania. Zostaję tu, dopóki Killian nie wróci – informuję stanowczym tonem.

Następuje wymowna pauza.

– Myślisz, że możesz mu zaufać?

– Ani trochę. Ale muszę tu być na wypadek, gdyby wrócił z Evą – komunikuję.

– A jeśli wróci bez niej?

Ból płuc wraca ze dużą siłą.

– To wtedy się będę zastanawiał – odpowiadam, po czym wzdycham przeciągle.

– Twoja decyzja, brachu.

– Czy Tabby znalazła coś nowego na Dmitrija? – dopytuję, mając nadzieję, że otrzymam pozytywne wieści.

– Obserwujemy jego posiadłość przez satelitę, ale na razie spokój. Na ile możemy ocenić, nikt nie przyjeżdżał, nikt nie wyjeżdżał. Naprawdę nic się nie dzieje. No chyba że włamali się do satelity.

– Przewidział, że będziemy go obserwowali. Nie przywiózłby Evy w żadne znane nam miejsce, za mądry jest na to. Niech Tabby spróbuje ustalić, czy nie kupił albo nie wynajął jakichś nowych nieruchomości. Musiał zostawić jakiś ślad...

– Już nad tym pracuje, brachu.

Jakżeby inaczej. Niech ją Bóg błogosławi.

– Świetnie. Dziękuję.

– Obserwujemy też wszystkie szpitale w kraju. Tak na wszelki wypadek – mówi nieco ciszej.

Wypuszczam ciężko powietrze z płuc, wbijając wzrok w sufit.

– Mogę dzwonić pod ten numer czy to jednorazówka?

– Doc! – krzyczę. – Mogę zatrzymać tę komórkę?!

– Pewnie, ziom. Jest twoja.

Wchodzę w ustawienia, ściągam z karty SIM numer telefonu i dyktuję go Connorowi.

– Zanotowałem. Podaj namiary miejsca, do którego ruszył Killian. Zobaczę, co my możemy zrobić w tej sprawie. Adres, widok satelitarny, co się da... Jesteś tam? – pyta, gdy długo nie odpowiadam.

– Jestem.

Po chwili Connor domyśla się, dlaczego mnie przytknęło.

– Nie podałeś ci ich, prawda?

– Prawda.

– Możesz je jakoś zdobyć?

Spoglądam na monitory komputerów. Wszystkie są czarne.

Sukinsyn.

– Możesz mi zdobyć koordynaty tego miejsca, do którego poleciał Killian?! – krzyczę do Doca.

Podnosi wzrok znad miski, w której gołymi rękoma miesza mięso na burgery.

– Pewnie, ziom, tylko wyciągnę je sobie z dupy! – odkrzykuje, kręcąc głową.

– Kurwa mać.

– Czyli nie – stwierdza Connor.

Moje serce zaczyna walić jak szalone. *A co, jeśli on nie wróci? Co jeśli znajdzie Evę, ale nie wróci? Przecież ona nawet nie wie, czy żyje. Może naopowiadać jej niestworzonych historii, namówić ją, żeby z nim odeszła, mogą razem zniknąć...*

– Brachu, aż tutaj słyszę ten kołowrotek myślowy. Weź głęboki wdech.

– Musimy się dowiedzieć, kim jest ten chuj! – warczę.

– Dowiemy się. Na razie nie trać formy i koncentracji. Dzwon, gdybyś się czegoś dowiedział, i spróbuj ustalić swoją lokalizację. Chciałbym rzucić okiem na tę kryjówkę.

Słyszę w jego głosie troskę. To normalne, obaj nie ufamy Killianowi.

– Jeśli będę coś miał, na pewno mnie usłyszysz.

– Bądź czujny, brachu.

– Będę, ty też.

Connor nigdy nie przepadał za długimi pożegnaniem... za krótkimi zresztą też nie... więc po prostu się rozłącza.

Teraz pozostaje mi już tylko czekać.

I biczować się czymś, co Killian powiedział przed wyjazdem. Już wtedy zabrzmiało to dziwnie, ale teraz brzmi złowieszczo.

Niektórzy potrafią tak dobrze grać na dwa fronty, że druga strona nawet nic nie podejrzewa.

Dla kogo on pracuje, do cholery?

ROZDZIAŁ 10

Eva

Przyszedł mnie obejrzeć lekarz, ale nie ten, który nastawił mi rękę w samolocie. Mężczyzna stojący przede mną jest wysoki, siwy i chudy jak szczapa. Pochylając się nad szwami na moim policzku, zionie mi w twarz czosnkowym oparem. Pobieźnie zbadał moją rękę, kiwając głową z uznaniem, założył nowy opatrunek, po czym oświadczył, że do czasu zejścia opuchlizny nie może nic więcej zrobić.

– Przyłóż lód. Wrócę do ciebie jutro. Łykaj jedną co trzy, cztery godziny, na ból.

Wręcza mi nieopisaną, bursztynową butelkę z tabletkami i wychodzi.

Gdy tylko znika, udaję, że połykam jedną, na wypadek gdyby Dmitrij mnie obserwował. Później wykasuję ją na dłoń i spuszczam w toalecie przy sikaniu.

Nalóżysz na moje nogi i plecy cienką warstwę kremu leczniczego, niema służąca wyszła. Od tego czasu nie wróciła. Nadal nie otrząsnęłam się z szoku po zobaczeniu postrzępionego kawałka mięsa w jej ustach. Naszła mnie straszna myśl, że może wszyscy służący w posiadłości są niemowami, ale myślę, że wycięcie języków całemu personelowi to byłoby zbyt wiele, nawet jak na Dmitrija.

Mam nadzieję.

Przeszukawszy cały pokój, szafki, szuflady i ogromną garderobę – nie znalazłam niczego, czym mogłabym dźgnąć człowieka w szyję – wracam do łazienki i naciskam konsolę w ścianie.

Od razu odpowiada po rosyjsku przyjemny, profesjonalny żeński głos.

– *Da, gospoża?*

Wyłapałam u niej lekki niemiecki akcent, więc odpowiadam po niemiecku. W zamku Frankensteina każdy przyjaciel będzie na wagę złota.

– Dzień dobry, mam na imię Evalina i konam z głodu. Czy mogłabyś przysłać mi coś do jedzenia?

Po chwili zaskoczenia kobieta odpowiada ciepło, również po niemiecku.

– Tak, proszę pani. Czy ma pani ochotę na coś konkretnego?

– Co najłatwiej ci...

– Astrid – wchodzi mi w słowo.

– Astrid. Jakie cudne imię. Astrid, przyslij coś, co najłatwiej ci zdobyć, i tak będę zachwycona.

Dziękuję.

– Ach... nie ma za co, proszę pani.

Jest skonsternowana moją uprzejmością. Zakładam, że nie przywykła do takich subtelności ze strony pana domu.

– Coś do picia? – proponuje.

Prawie poprosiłam o rum, ale przypomniałam sobie, że alkohol zaszkodziłby dziecku, które mogliśmy spłodzić z moją ukochaną Bestyjką.

– Może być woda. Albo sok warzywny, jeśli macie – mówię po chwili. – Natomiast sobie powinnaś zrobić drinka za moje zdrowie, Astrid. Na pewno zasłużyłaś.

Szkoda, że w tej konsoli nie ma kamerki wideo. Chciałabym zobaczyć jej minę. Cisza zdumienia ciągnie się w nieskończoność.

– Myślę... myślę, że nie mogę, proszę pani. Ale... dziękuję.

– Nie ma za co. Gdybyś przysłała mi jeszcze wiaderko lodu, byłabym ci wdzięczna – dodaje uprzejmie.

Rozłączam się, kończyny bołą mnie ze zmęczenia. Jak długo nie spałam? Nie wiem. Czas stał się bardzo elastyczny. Być może jeszcze wczoraj czułam na sobie dotyk Naza, a może to było sto lat temu. Wtedy moje serce ostatni raz biło prawdziwym życiem.

Podchodzę do okna i patrzę na ciągnący się daleko w mgłę trawnik. Na jego krawędzi przesuwały się ciemne postacie. To uzbrojeni strażnicy węszący za intruzami pośród drzew.

Gdy niema służąca przywozi jedzenie na jezdny stoliczku przykrytym lnianym obrusem, zapach skręca mój żołądek. Muszę się zmusić, żeby usiąść, gryźć, żuć i przełykać, bo wiem, że Dmitrij ma oczy w ścianach.

Następnie zwijam się w kłębek na aksamitnej narzucie przykrywającej wielkie łożo i zapadam w pozbawiony marzeń sen.

Kiedy się budzę, na zewnątrz jest ciemno. Wózek z jedzeniem zniknął, mdłości również. Ręka pulsuje takim bólem, że kusi mnie, by zażyć tabletkę, ale ponownie tylko udaję. Czekam, drepcząc po pokoju w napięciu, aż coś się wydarzy, aż przyjdzie Dmitrij i zacznie mnie poniżać, ale nie przychodzi.

Nikt nie przychodzi.

Jestem sama do rana, kiedy to wraca czosnkowy lekarz. Śmierdzi, jakby szczotkował zęby pastą z czosnku.

– Znacznie lepiej – ocenia, odwinąwszy moją rękę.

Nie wiem, po czym wnioskuje. Ja widzę tylko czarno-siną skórę, lśniąca i nabrzmiąta jak przejrzała śliwka.

– Będę potrzebowała operacji?

Gdy zaprzecza ruchem głowy, ściska mnie w dołku z żalu.

– Palce są sprawne. Opuchlizna znika. Jutro założę gips.

Czyli nici z wycieczki do szpitala. Nie zbliżę się do telefonu.

Kiedy lekarz wychodzi, zauważam za drzwiami Stefana, obserwuje mnie tymi swoimi czujnymi oczyma, jak kocur. Ma tak ponurą minę, że na moment aż odbiera mi dech.

Zamyka drzwi i przekręca klucz. Podbiegam i przykładam do nich ucho, serce rusza szybciej, mam mocne przecucie, że warto podsłuchać.

Słyszę pomruki męskich głosów. Niewyraźne. Potem słyszę lekarza, brzmi na obruszonego.

– Mówiłem ci już, że go nie badałem. Korzysta z usług innego lekarza. Nic nie wiem.

Chodzi mu o Dmitrija?

Kolejne pomruki, a potem odgłos oddalających się kroków na marmurowej posadzce.

Odsuwam się od drzwi, jestem poruszona, ale staram się udawać spokojną. Nie wyginam palców, nie ruszam znów nerwowym marszem. Po prostu wchodzę do garderoby, wybieram najwygodniejsze ubranie, jakie udaje mi się znaleźć, czyli obcisłą turkusową sukienkę, która lśni jak ogon syreny. Wyciągam z szuflad stanik i majtki, ten pierwszy naprawdę trudno założyć jedną sprawną ręką, ale w końcu daję radę, a potem ubieram się w sukienkę. Łatwo wchodzi przez głowę, bo jest miękka i lekka, nie ma żadnych guzików ani zamków, z którymi musiałyby użerać się moje spuchnięte palce.

Garderoba aż pęka od eleganckich strojów we wszystkich kolorach tęczy, każde z ubrań jest w moim rozmiarze. Podarunek od narzeczonego.

Boże drogi, wiele bym dała za puszkę benzyny i zapałki. Z rozkoszą patrzyłabym, jak to wszystko płonie.

– Chciałabym wyjść na spacer – mówię do konsoli w ścianie łazienki.

Wypowiedziałam to władczo, jakby było oczywiste, że mogę wyjść na zewnątrz. Jakbym wcale nie była ptakiem uwięzionym w złotej klatce.

Moja pewność siebie zadziałała albo wcale nie miałam zakazu wychodzenia, bo Astrid odpowiada radośnie:

– Oczywiście, proszę pani.

Dobrze. Przyjrzyjmy się lepiej temu więzieniu. Poszukajmy słabszych punktów w kratkach.

Stefan zamasyście otwiera drzwi, po czym pozwala mi wyjść na korytarz. Lodowaty korytarz. W tej temperaturze włoki zachowałyby świeżość całymi miesiącami.

Gdy przechodzi mnie dreszcz i zaczynam rozcierać nagą rękę, ściąga marynarkę... najpierw wkładając sobie karabin między uda... i bez słowa zarzuca mi ją na ramiona. Jest ciepła i pachnie nim: aromat sosnowych igieł, papierosów i taniej wody kolońskiej.

– Dziękuję.

Kiwa głową, po czym znów łapie za karabin i mierzy mnie posępnym, nieprzeniknionym spojrzeniem.

– Tędy.

Idziemy inną trasą niż wczoraj, nie przez główne wejście i drzwi barwy nieba o północy. Stefan prowadzi mnie przez ciąg pokoi i korytarzy, wijących się zdawać by się mogło w nieskończoność, aż w końcu wychodzimy przez proste drzwi na zwykły, wyłożony płytami podjazd na tyłach posiadłości.

Rozglądam się, marszcząc czoło.

– Wejście dla służby – wyjaśnia.

Podjazd przechodzi w wąską, nieutwardzoną drogę, prowadzącą na południe między drzewami. Przecina łąkę. Dom jest za nami, usadowiony na górującym nad podjazdem pagórku, ale oddalony na tyle, że gdybyś był w środku i patrzył przez okno, to nie dostrzegłbyś, gdzie teraz stoję.

Gdyby nie szepty wiatru w koronach drzew, cisza byłaby ogłuszająca.

– Jeżeli zamierzasz mnie zastrzelić, miejmy to za sobą. Zimno mi – zwracam się bezpośrednio do Stefana.

Ściąga brwi, przygląda mi się jak zagadce, której nie może rozwikłać.

– Dlaczego to zrobiłaś?

– Co?

– Chciałaś wziąć na siebie karę Włada?

Jego pytanie kompletnie mnie zaskakuje. Nie tylko łagodnością tonu, jakim zostało zadane – tonu, który przeczy wrażeniu, jakie do tej pory Stefan sprawiał – ale także tym, że jest zakazane. Jestem przekonana, że doskonale wie, że gdybym opowiedziała o tym Dmitrijowi, byłby trupem. Albo marzyłby o szybkiej śmierci.

Więc cokolwiek kryje się za tą ciekawością, jest dla niego bardzo ważne. Ważne też, by go nie okłamywać.

– Bo nie zrobił nic złego, po prostu wkroczył w starą, paskudną grę pomiędzy mną i Dmitrijem.

Przygląda mi się, ściągając brwi jeszcze mocniej.

– Kim dla niego jesteś? – pyta zaciekawiony.

Zastanawiam się przez chwilę, lekki wietrzyk igra z rąbkiem mojej sukienki.

– Wyzwaniem, tak sądzę. Drapieżniki najbardziej lubują się w trudnych polowaniach.

Kręci głową, moja odpowiedź go nie zadowoliła.

– Widywałem go z wieloma dziewczynami. Ty jesteś inna. Jakby... był uzależniony. Jakby miał obsesję.

Ponieważ ze wszystkich kobiet, jakie miałem, tylko ty okazałaś się niezłomna, przypominam sobie w myślach.

Zduszam wspomnienie słów Dmitrija. Logika potwora nie miałaby sensu dla normalnego człowieka. Potrzebuję chwili, by wymyślić coś, co Stefan mógłby pojąć.

– To pewnie przez to, że wiem, jak działa jego umysł.

Stefan jest ewidentnie zdezorientowany. Próbuje rozgryźć moją relację z Dmitrijem. Warto mu pomóc.

– Poznaliśmy się, gdy miałam dwadzieścia lat. Byłam naiwna. Byłam dzieckiem. Ale musiałam szybko dorosnąć. Uwięził mnie, i moją matkę, i robił z nami, co mu się podobało. Kiedy zmarła, uciekłam. – Uśmiecham się ponuro. – Ale nie na długo. Odzyskał mnie. Zamierza się ze mną ożenić, choć to fatalna decyzja, bo zabiję go, gdy tylko będę miała okazję.

Stefan gapi się na mnie w milczeniu, ale dostrzegam cień tornada myśli za jego oczyma. Dzieje się tu coś ważnego i muszę to z niego wyciągnąć.

– Jeżeli musisz mu to powtórzyć, w porządku. Rozumiem twoje położenie, wiem wobec kogo jesteś lojalny.

– Nie masz pojęcia o mojej lojalności – prychna i odwraca wzrok.

Żołnierz zdezerterował na stronę wroga, choć generał jeszcze o tym nie wie. Widać to w każdym naprężeniu jego mięśni, w każdym drgnięciu jego twarzy. Lecz w tym napięciu czai się coś jeszcze, coś mroczniejszego, bardziej bolesne uczucie, przez które zgrzyta zębami i z całych sił zaciska dłoń na broni, patrząc bez słowa w dal.

Moje ręce pokrywają się gęsią skórka.

– Wład – mówię.

Kiwa głową, choć na mnie nie patrzy.

– Był twoim... przyjacielem? Bratem?

Jego jabłko Adama podskakuje. Kręci pośpiesznie głową i już znam odpowiedź.

Byli kochankami.

– Och, Stefan, tak mi przykro – wzdycham.

– To ja załatwiłem mu tę robotę – cedzi przez zaciśnięte zęby. – I to był błąd. Nie nadawał się do tego. On... – Przerzywa, by przełknąć ślinę. – Nie wiedział o moich uczuciach. Nikt nie wie. Nawet nie wiem, po co ci to mówię.

Nasze spojrzenia się spotykają, przelotna iskra wzajemnego zrozumienia.

– Owszem, wiesz.

Odpowiedź, choć niewypowiedziana, zawisa między nami w powietrzu. *Ponieważ też chcesz zabić Dmitrija.*

Nie rozmawiamy więcej. Robię przedstawienie, szwendając się po okolicy domostwa, a przed powrotem w pobliże domu oddaję Stefanowi marynarkę. Kiedy meandruję przez wypielęgowany, otulony mgiełką ogród, on trzyma się w nakazanej szacunkiem odległości za mną. Gdy moje pantofle całkiem przemokły i nie mogę dłużej znieść zimna, proszę, by mężczyzna odprowadził mnie z powrotem.

Tym razem wchodzimy głównymi drzwiami, na podjeździe akurat zatrzymuje się duża biała furgonetka. Podchodzi do niej dwóch uzbrojonych goryli, którzy wcześniej węszyli między drzewami, jeden z nich stuka łufą w okno po stronie kierowcy. Wchodzimy ze Stefanem do domu, zanim zorientowałam się, o co chodzi.

– Miły spacer?

Na dźwięk głosu Dmitrija podskakuję i obracam się o sto osiemdziesiąt stopni. Siedzi w fotelu w salonie ubrany w czarny aksamit, jego wyglansowane buty lśnią, podobnie jak spinki do mankietów, nie sterczy mu nawet jeden włos. Złoto-onyksowy sygnet na małym palcu jego dłoni mruga do mnie w świetle.

Taksuje spojrzeniem Stefana, unosi usta w uśmiechu, spogląda na mnie.

Uważaj, Eva. Nie może cię zdradzić nawet mrugnięcie.

– Może i byłby miły, gdyby twój kundel nie węszył mi ciągle pod nogami – odpowiadam chłodno.

– Hmm.

Przechyla głowę na bok, przez moment przygląda mi się spod na wpół opuszczonych powiek. Stefan stoi nieruchomo i milcząco, z idealnie neutralną miną, zachowuje się... naturalnie.

Jest w tym znacznie lepszy od Włada.

Dmitrij, nie oderwawszy ode mnie wzroku, unosi dłoń i przyzywa mnie, zginając palec wskazujący.

Wypełniam polecenie bez wahania, ale i bez pośpiechu. Kiedy idę, przygląda się ruchom sukienki na moich biodrach. Kiedy podchodzę na pół metra, nagle łapie mnie za nadgarstek i ostrym szarpnięciem ściąga sobie na kolana.

Gryzie mnie w ramię, sunie ręką w górę mojego uda.

Tężeję, zachłystuję się powietrzem.

Jakimż głupim błędem była ta sukienka. Owszem, było łatwo się w nią wcisnąć, ale równie łatwo ją rozerwać. Powinnam była założyć gorset i owinać się taśmą klejącą.

– Spokojnie, ukochana – mruczy, muskając nosem moją szyję, przez co instynktownie się wzdragam. – Bo jeszcze pomyślę, że nie lubisz mojego dotyku.

Na dźwięk jego miękkiego rechotu przechodzą mnie ciarki. Brutalnie szczypie delikatną skórę po wewnętrznej stronie mojego uda, a gdy jęczę z bólu i odruchowo zaciskam nogi, znów się śmieje.

Stefan patrzy na to obojętnie, jakby się nudził. Lecz w jego spojrzeniu pojawiły się iskry, których wcześniej nie widziałam. Szybko zduszony błysk gniewu.

– Przepraszam, proszę pana.

Dmitrij podnosi wzrok na stojącego w korytarzu strażnika. Mężczyzna jest wysoki, barczysty, ma krótko ostrzyżone ciemne włosy i nos, który przetrwał niejedno złamanie.

– Krawiec przyjechał.

– Ach! – rozpromienia się Dmitrij. – Wprowadźcie go.

Krawiec? Pojawia się tępe ssanie w żołądku.

Wartownik wprowadza starszego mężczyznę o sękatych dłoniach i burzy siwych włosów na głowie. Garbi się, kuleje, a jednak emanuje dumą. Ma na sobie wysokiej jakości granatowy garnitur w prążki. Krawat i wystająca z butonierki chusteczka są czerwone.

Towarzyszy mu drugi mężczyzna, znacznie od niego młodszy. Ten ma na sobie beżowy kardigan z marszczoną tkaniny, a na nosie czarne okulary. Zarzucił sobie na szyję metr krawiecki. Musi być asystentem.

Kłaniają się. Starszy mężczyzna wymrukuje pełne szacunku powitanie.

– Wejź, Alek. Witaj.

– To mój syn, Tolya. – Krawiec wskazuje na młodszego towarzysza.

Syn odpowiada kolejnym ukłonem. Jest zdenerwowany, poci się, poprawia okulary na nosie, lecz wzrok ma wbity w podłogę. Ojciec musiał go przestrzec przed klientem.

Jestem im obu dozwonnie wdzięczna, bo odwrócili ode mnie uwagę Dmitrija.

– Przywiozłeś próbki?

Alek przytakuje.

– Dobrze. Zaczynamy. Evalina, rozbieraj się – rozkazuje Dmitrij.

Alek, Tolya, Stefan i wartownik wbijają we mnie spojrzenia.

Moją twarz zalewa rumieniec.

Zdaję sobie sprawę, że tu chodzi właśnie o upokorzenie, że Dmitrij zaaranżował ten pokaz nie tylko, by kolejny raz przetestować moje posłuszeństwo, ale też by sprawić sobie przyjemność kolejnym drobnym poniżeniem. Jeżeli mam zdobyć jego zaufanie, muszę wypełniać polecenia.

Jednak łatwiej byłoby mi połknąć płonący miecz, niż poruszyć zziębniętymi kończynami.

Dmitrij czeka, uśmiecha się słodko, patrzy mi prosto w oczy.

Wybór jest prosty. Ulec albo ponieść karę.

W obu przypadkach wygra.

Przypominam sobie, że to tylko pojedyncza bitwa, a nie wojna.

Wstaję i ustawiam się przodem do krawców. Drżącymi palcami rozsupłuję zawiązany pod szyją temblak, pozwalam, by opadł na podłogę, następnie zsuwam sukienkę z ramion. Zwisa wokół mojej talii. Muszę ją przepchnąć przez biodra, najpierw przez jedno, potem drugie, w końcu zsuwa się z nóg i łąduje zmięta wokół kostek. Zajmuje mi to wieczność.

Stoję więc w majtkach i staniku, zasłaniając rękoma piersi, żałosna i zrezygnowana. Im szybciej będzie po wszystkim, tym lepiej.

W pokoju zapada cisza, przerywa ją Dmitrij, zwracając się do Aleka:

– Ma zdjąć bieliznę? Będzie łatwiej pobrać miary?

To pytanie jest równocześnie życzliwe i śmiertelne. Moje policzki palą jeszcze bardziej. Nie mogę oddychać.

Alek, fachowiec w każdym calu, kręci przecząco głową.

– Jeżeli chodzi o pobieranie miar, najlepiej, by miała na sobie bieliznę, którą założy w dzień uroczystości.

Och, dzięki Bogu. Upodlenie nie będzie całkowite.

Tyle że zapomniałam, z kim mam do czynienia.

Dmitrij poprawia spinki przy mankietach i rzuca bez troski:

– W takim razie powinna wszystko zdjąć. W dzień ślubu założy suknię na nagie ciało.

Spogląda na mnie z błyskiem w oku, w kącikach jego ust tańczy uśmiech.

Tolya jest przerażony, żal mi go. To pewnie dobry chłopak. Pobożny. Kocha matkę. Alek jest już zbyt mądry, by zdradzić się jakąkolwiek reakcją, i po prostu czeka. Stefan również czeka, z kamienną

miną, nie pozwalając sobie na kolejne błyski gniewu w oczach.

Drugi strażnik szczerzy zęby.

– Wy dwaj. – Kiwam głową na Stefana i tego rozweselonego. – Wynocha.

Stefan ma łeb na karku. Nie wypełnia mojego polecenia, lecz przenosi wzrok na Dmitrija.

– Oczywiście to twój wybór – zwracam się do narzeczonego. – Ale rozsądniej ich odprawić. –

Patrzę mu prosto w oczy. – No chyba że według ciebie będą trzymali ręce przy sobie, gdy akurat wyjedziesz.

– A może im pozwoliłem... – odpowiada zaczepnie.

Prowokuje mnie, próbuje wywołać ostrzejszą reakcję. Niedoczekanie.

– Pozwoliłbyś, żeby bile pacholki uprawiały seks z twoją żoną?

– Jeszcze nie jesteś moją żoną.

– Ale wkrótce będę. Wtedy wszyscy twoi ludzie będą mogli powiedzieć, że pracują dla rogacza.

To chyba kiepski fundament dla budowania respektu.

Pchnięcie. Zasłona. Unik. Obrót, obrót i od nowa. W nieskończoność.

Niestety, to on ma zawsze ostrzejszą szpadę. Patrzy mi spokojnie w oczy i mówi:

– Jeżeli za dziesięć sekund nie będziesz naga, zwołam cały personel, skatuję cię do krwi, a potem wydupczę na ich oczach. Będą mieli znacznie więcej tematów do plotkowania niż tylko moje rogi. Twój wybór.

Uśmiecha się jak aniołek.

Wszyscy pozostali wstrzymują oddechy.

Z płonącymi policzkami sięgam za plecy i rozpinam stanik.

ROZDZIAŁ 11

Eva

Powtarzam sobie, że cierpiałam znacznie gorsze katusze, lecz mój wstyd pogłębia się wraz z każdym strażnikiem, służącym czy kucharzem, który przechodzi obok salonu, gdy krawcy mierzą moje nagie ciało.

Pogłębia się też moja wściekłość.

Naz nigdy by na to nie pozwolił. Oddałby życie za moją cześć. Gdyby inny mężczyzna ośmielił się spojrzeć na mnie naga, sprawiłby, że długo nie mógłby oglądać niczego innego.

Lecz oczywiście tutaj nie mówimy o miłości. Mówimy o prawie własności. To manifestacja władzy, żeby wszyscy wiedzieli, że jestem tylko mieniem. Zabawką, z którą Dmitrij może zrobić, co chce.

Opowiadał, że jestem mu równa. Dupa, a nie równa.

Gdy pryszczaty służący trzeci raz mija salon, zapuszczając do środka żurawia, nie mogę dłużej trzymać buzi na kłódkę. Zwracam się do Dmitrija nad głową Tolyi, który akurat pochyla się i próbuje zmierzyć mi talię roztrzęsionymi dłońmi:

– Chciałabym cię obdarować porcją szczerości, o ile oczywiście masz ochotę posłuchać.

Przed udzieleniem odpowiedzi odpala cygaro. Nie śpieszy się, spokojnie odcina końcówkę maleńkimi, składanymi nożyczkami, które mieszczą się w obudowie jego srebrnej zapalniczki, a potem zapala i zaciąga się. Odciętą odrobinę tytoniu odkłada do kryształowej popielniczki, stojącej na stoliku przy jego krześle, wyciera palce, a na koniec wydmuchuje spomiędzy warg idealny okrąg z dymu.

– Jestem bezgranicznie ciekaw.

Wyśmiewa mnie. Szydź. Ciekawe, czy wie, jak bardzo chciałabym wydłubać mu tymi małutkimi nożyczkami do cygar gałki oczne.

Tolya mruklawie podaje ojcu obwód mojej talii, a ten zapisuje je na małej tabliczce. Młody krawiec przechodzi do moich bioder, jest czerwony jak burak.

– Mam zostać twoją żoną, tymczasem podkopujesz moją pozycję. Żaden z tych facetów nie okaże mi już szacunku.

– Nie tobie mają okazywać szacunek.

Biedny Wład przekonał się o tym na własnej skórze. Ciekawe, czy reszta personelu wie, co go spotkało. Stefan, choć zdruzgotany, wydaje się zbyt ostrożny, by o tym opowiadać i ryzykować niezadowolaniem Dmitrija.

– To dlatego zabiłeś Włada?

Metr krawiecki wypada Tolyi z rąk. Pryszczaty służący blednie i odwraca się na pięcie, pierchając, skąd przylazł. Mam nadzieję, że rozpuści wieści o śmierci Włada.

Zgaduję, że Wład był lubiany. Może nie tylko Stefan się w nim podkochał. Może wybuchnie bunt...

Dmitrij rechocze.

– Popatrz, jak te tryby się kręcą. Lubię cię oglądać w takim stanie.

– W stanie poniżenia? – pytam.

– W stanie planowania.

Nasze spojrzenia się spotykają. Wypuszcza cygarowy dym, jest jak rozciągający się w swej pieczarce lew, ma brzuch pełen świeżego mięsa, oblizuje krew z łap.

Pragnienie, by wbić mu kciuki w oczodoły, jest obezwładniające. Nienawidzę go tak bardzo, że powinien paść trupem od energii elektrycznej tryskającej z mojego ciała, jak rażony piorunem.

Gdy Tolya podnosi taśmę i mierzy moją nogę od biodra do kostki, dotykając mnie lodowatymi palcami, Dmitrij uderza w filozoficzne tony.

– Evalino, miłość i nienawiść to dwie strony tej samej monety. Nienawiść wiąże cię ze mną równie mocno, jak miłość wiązała cię z matką. Albo z Nasirem.

Odwracam wzrok, wyprowadzona z równowagi tym, że potrafi czytać mi w myślach i że ośmiela się wypowiadać imię Naza. Nie mogę tego słuchać.

Tolya podaje wymiary ojcu, który skrupulatnie je zapisuje. Następnie chłopak wstaje i nerwowo oblizuje wargi.

– P... przepr... raszam paa... nią... – jąka się. – A... ale czy... czy... mó... mógłbym...

Wskazuje na moje piersi, uszy mu purpurowieją.

– Nie, nie mógłbyś. Trzydzieści sześć.

Zerka niepewnie na Dmitrija, który macha lekceważąco cygarem i prycha zadowolony z siebie.

– Słyszałeś. Dawajcie suknie.

Nie wiem, komu bardziej ulżyło, mnie czy Tolyi, który wypuszcza powietrze z płuc, wyciera czoło wierzchem ręki i pędzi ku frontowym drzwiom, a metr krawiecki trzepocze na jego szyi jak szal na wietrze. Ojciec rusza za nim.

Gdy czekamy na suknie, Dmitrij przekłada cygaro do drugiej dłoni, a pierwszą wyciąga i przesuwa palcem wzdłuż mojego kręgosłupa. Opanowuję wzdrygnięcie się, przygryzam wargę.

– Znalazłaś krem na pręgi – stwierdza, sunąc opuszkami po jednej z nich.

– Tak. Pokojówka mi pomogła.

– Ślady na twojej skórze zawsze są takie ładne. Jak zejdzie opalenizna, będą jeszcze ładniejsze. Spędziłaś za dużo czasu na słońcu. – Jego palce zjeżdżają na górną część moich pośladków, zatrzymując się przy kości ogonowej i zakreślają na niej ósemkę. – Idealne miejsce, żeby wytatuować moje inicjały... – mruczy sam do siebie. – Nie... lepiej wypalić.

Przerażona tą wizją przełykam głośno ślinę i zachłystuję się powietrzem.

Stefan patrzy na to z drugiego końca pokoju, ma coraz posepniejszą minę.

Stojący obok niego strażnik ze złamanym nosem ma zauważalną erekcję.

Zmuszam się, by oddychać i rozluźnić mięśnie. Dmitrij rzucił bezceremonialnie, że może dał swoim ludziom zgodę, by mnie wzięli, ale nie sądzę, by groził mi grupowy gwałt. Nigdy nie pozwolił mnie tknąć żadnemu ze swoich pracowników, nigdy nie zaoferował mnie żadnemu z kontrahentów, choć w toku niezliczonych spotkań, w których brałam udział, hojnie obdarowywał ich innymi dziewczynami.

Natomiast nie mam wątpliwości co do groźby skatowania mnie do krwi i wzięcia na oczach personelu.

Dmitrij klepie mnie w tyłek, aż podskakuję.

– Spójrz na mnie – rozkazuje. – Mów, o czym właśnie myślałaś – żąda.

– Nie dzielisz się mną.

Świdruje mnie wzrokiem.

– Jeszcze nie, do tej pory.

Po chwili uznaję, że warto zaryzykować. Wbijam wzrok w podłogę i mówię cicho:

– Jestem ci za to wdzięczna.

Wybuch jego śmiechu mnie zaskakuje. Patrzę na niego wzburzona.

– Mówię szczerze.

– Mówisz to z wyrachowania – grzmi.

Nie jest zły, jeśli już to zachwycony.

– Czemu cię to bawi? – pytam.

Ścisną mnie za pośladek, wbija palce głęboko w mięsień.

– Cieszy mnie to z tego samego powodu, z którego ogrodnik cieszy się widokiem kwiatów rozkwitających z zasadzonych przez niego ziaren.

Uklucie gniewu skręca mi żołądek. Panie, oszczędź mi jego kretyńskich analogii.

– Nie jestem twoim tworem.

– Nie bądź nudna. – Jego uśmiech kwaśnieje. – Jesteś królową. Noś koronę z dumą.

Tolya i Alek wracają z sukniami, wciągają do środka wieszak na kółkach, na którym aż mieni się od jedwabów, tiuli, szyfonów i pereł, a wszystko w śnieżnej bieli.

– Ale smutna mina – stwierdza Dmitrij, wydmuchując dym. – Suknie się nie podobają?

Spoglądam na roztaczaną przede mną konfekcję z niezadowolaniem. Nie chodzi o to, że

nienawidzę bieli, lecz myśl o symbolice tego koloru... Symbolizuje prawomocny związek z siedzącą obok kreaturą, z potworem w drogim garniturze, pozującym na człowieka o eleganckich manierach.

Jeżeli za niego wyjdę, a potem go zabiję, zostanę wdową. Czarną wdową. Trzykrotną morderczynią. Będę...

O, Boże. Jeżeli jestem w ciąży i za niego wyjdę, to moje dziecko zostanie jego... spadkobiercą.

Dmitrij bierze ze stoliczka gazetę i rozkłada ją sobie na kolanach. Gdy jego goryle wtaczają do salonu kolejne wieszaki, mówi:

– A może wolałabyś coś stosowniejszego dla kobiety w żałobie? Czerń?

W jego głosie słychać triumfalny ton, dlatego gwałtownie podnoszę na niego wzrok.

Czyta jakiś artykuł i uśmiecha się coraz szerzej. Gdy kończy, bez słowa komentarza podaje mi gazetę.

Mroczne przecucie porusza w moim sercu strunę grozy. Wbijam wzrok w gazetę, zapominam o otoczeniu, sukniach, moim obnażonym ciele, mam gdzieś poziom mojego upokorzenia.

Dmitrij obraca głowę, patrzy na mnie i już wiem. Wiem, poznaję po jego występny uśmiechu.

– Nie... – szepczę.

– Czy przeczytać ci na głos? Tekst jest krótki. Ale za to dodali zdjęcie.

Wszystkie włoski na moim ciele stają dęba, serce rusza galopem. Opuszczam wzrok na gazetę.

Widzę nagłówek.

AMERYKANIN JEDNĄ Z DZIESIĘCIU OFIAR BRUTALNEJ STRZELANINY.

I portret Naza.

Dmitrij rzuca gazetę z powrotem na stolik i wypuszcza dom z nosa.

– Myślałaś, że kłamię, prawda? Auć, to musi naprawdę boleć.

Rozerwana na tysiące kawałeczków, padam na kolana, a w uszach dzwoni mi jego cichy śmiech.

Stefan i Tolya musieli podnosić mnie we dwóch, ale i tak zaraz znowu się przewróciłam.

Stefan musi mnie więc podtrzymywać, podczas gdy Tolya nakłada na mnie kolejne suknie. Ma świętą cierpliwość. Ze spuszczonego wzrokiem łagodnie unosi moją stopę, wkłada ją w kolejne szeleszczące kreacje, później stawia moją stopę na podłodze, czeka, aż Stefan stabilnie mnie ustawi, i powtarza cały rytuał z drugą stopą, a w końcu wciąga suknie na moje biodra.

Przeciska guziki przez dziurki. Zapina zatrzaski. Związuje wstążki.

Ja przez cały ten czas jestem pogrzebana w ciele, które w tej chwili służy za kryptę mego serca.

Jestem tak kompletnie zdruzgotana, że nie mogę płakać. Dowód śmierci Naza spadł na mnie niczym bomba atomowa, zmiotł we mnie wszystko wrzącym podmuchem gorąca i niszczycielską falą uderzeniową. Przeistoczyłam się w pustkowie trujących gazów i dymiących zgłiszczy, nad którymi szaleją zawodzące, toksyczne wichry.

Odszedł. Mój ukochany. Moja bratnia dusza, mój piękny człowiek...

Odszedł.

A ja jestem wrakiem.

– Ta jest ładna – obwieszcza Dmitrij, wskazując na mnie cygarem.

Jestem owinięta całymi metrami krepy i francuskich koronek. Jak w pogrzebowy całun. Patrę w nicość, widzę nicość.

Naz.

– Podkreśla jej sylwetkę – stwierdza Alek. – Jej wąską talię.

– W porządku. Bierzemy.

– Świetnie. Czy dodać pasujący welon, proszę pana?

– A zalecasz dodać welon?

– Owszem.

Dmitrij macha ręką, postanowione.

Naz.

Tolya i Stefan wymieniają się spojrzeniem, którego nie mam siły interpretować, a potem pomagają mi wykaraskać się z sukni. Mam już gdzieś moją nagość, przestałam ją zauważać. Nie czuję

powietrza na skórze. Pokój i wszyscy w nim są bardzo daleko, za rozszałymi wichrami i trującymi gazami.

Do pokoju wkracza kolejny goryl. Równie anonimowy i szary jak wszyscy pozostali.

– Pański lekarz przyszedł, proszę pana.

– Wprowadzić.

Goryl wychodzi, a Dmitrij wstaje...

I zatacza się.

Łapie się ramienia Stefana, potem poprawia krawat. Przygłaskuje włosy dłonią. Gdy do pokoju wchodzi lekarz, Dmitrij puszcza ochroniarza i wita medyka spokojnym głosem.

– Stefan, odprowadź Evalinę do apartamentu panny młodej – mówi.

Wychodzi, zapraszając lekarza ze sobą.

Nie obraca się za siebie. Gdyby to zrobił, zauważyłby spojrzenie Stefana. Ostre, czujne, bystre.

Dmitrij nie przyszedł do mnie zeszłej nocy.

Ta myśl wiąże się z jego zachwianiem sprzed chwili, ale ja już umarłam i mam to gdzieś.

Kiedy mój oprawca znika, Stefan przejmuje dowodzenie. Krótkimi rozkazami nakazuje innym gorylom zawieźć stojaki z sukniami do furgonetki. Słuchają go i nie zadają zbędnych pytań. Alek i Tolya również wychodzą, omijając mężczyznę szerokim łukiem.

Wyczuwam hierarchię, porządek władzy.

Pokój pustoszeje, Stefan szybkim ruchem podnosi z podłogi moją niebieską sukienkę, stara się znaleźć jej dół, ale przelewa mu się w dłoniach, odrzuca ją więc na bok rozdrażniony i ściąga marynarkę. Zarzuca mi ją na ramiona i nawet nie pyta, czy jestem w stanie samodzielnie iść.

Odpowiedź musi być aż nadto oczywista.

Bierze mnie na ręce i wynosi z pokoju.

Niosąc mnie pustym korytarzem, mówi, prawie nie poruszając ustami:

– Jest ranny.

– Postrzał – dukam, odnajdując właściwe słowo na pustyni mego umysłu.

– To twoje dzieło?

Naza. Zaprzeczam ruchem głowy, szloch grzęźnie mi w gardle.

– Czemu nie pojechał do szpitala?

– Paranoja. – Kręci głową. – Wszędzie wrogowie. Poza tym ma się za niezwyciężonego. Za boga. Skręcamy i wpadamy na odkurzającą kredens pokojówkę. Umyka nam z drogi, a gdy znika,

Stefan mamrocze:

– Ma problem z pakhanem. Spór o terytorium. Traci pieniądze. Przyciąga uwagę.

Pakhan to szef rosyjskiej mafii. Wszechwładny ojciec chrzestny. Dmitrij ma kolosalne wpływy i znajomości, ale w całej Rosji tylko jeden człowiek nie ma nad sobą żadnego przełożonego, właśnie pakhan.

Te strzępki informacji pokazały, że Stefan nie tylko opuścił obóz Dmitrija, ale działa aktywnie przeciwko niemu. I jeszcze więcej, postanowił mi zaufać.

– Pakhan wie o atomówce?

Zanim odpowiada, na kilka kroków wyraźnie zwalnia.

– Atomówce?

– Dmitrij dogadał z prezydentem Wenezueli dostawę głowicy UR-100.

– Jesteś pewna?

– Tak – potwierdzam.

– Masz dowody?

– Nie, ale znam kogoś, kto ma.

– Podaj mi jego nazwisko.

Przymykam oczy i opieram głowę na jego szerokich ramionach, moją pierś miażdży ciężar tysięcy ton skał.

– Dam ci coś jeszcze lepszego – szepczę. – Jego numer.

ROZDZIAŁ 12

Naz

- Wyglądam jak gównu.
 - Serio? Według mnie wyglądasz całkiem dobrze.
 - Nie znoszę tego zdjęcia. To paszportówka. Wyglądam na nim, jakbym miał zatwardzenie.
- Doc nachyla się bliżej, przygląda gazecie, którą trzymam w rękach i wzrusza ramionami.
- Ja przy zatwardzeniach wyglądam gorzej.

Jego ton wzbudził we mnie przekonanie, że ma na stanie mnóstwo środków przeczyszczających. To pewnie przez to, że je tyle mięsa. W ciągu ostatniej doby przyrządził sobie cztery cheesburgery z bekonem, tyle samo kanapek z pieczoną wołowiną, steka z jajkami, podwójne burrito z carnitas i pochłonął kilka sporych puszek gulaszu wołowego. W tej chwili zeruje paczkę suszonego indyka i macha mi nią przed oczami.

- Chcesz trochę?
- Nie jestem głodny.
- Kolego, musisz jeść. Głodówka nie pomoże ci wrócić do zdrowia. I musisz się nawadniać.

Masz. – Wręcza mi butelkę wody.

Podpieram się na pamiętającej lepsze czasy kanapie z brązowej skóry, która wygląda, jakby wywlekli ją ze śmietnika. Obok kuchni urządzili tu sobie coś w rodzaju małego pokoiku z łóżkiem, komodą, regałem z książkami, no i tą zdezelowaną kanapą. Jest jeszcze zniszczony drewniany stolik, na którym leżą kryształowa popielniczka i biografia Steve'a McQueena.

Książka jest po francusku, co podwaja moją irytację. Ten gnój Killian zna na pewno w cholere języków. I mówi nimi z wzorowym akcentem, nie mam cienia wątpliwości.

Rzucam gazetę z informacją o moim zejściu z tego świata na stolik. Niemcy w końcu się na coś przydali. Mam nadzieję, że Dmitrij to przeczyta, gdziekolwiek jest.

- Jak długo nie ma już Killiana?
 - Kwadrans dłużej niż gdy pytałeś poprzednio.
 - Czemu nie dzwoni? Przecież minęła już ponad doba!
 - Bo nie ma jeszcze nic do przekazania. Jak będzie miał, zadzwoni – stwierdza.
- Wbijam zniesmaczone spojrzenie w sterzcący z mojej dłoni kateter kroplówki.
- Kiedy mi to wyjmiesz? – burczę.
 - Czwarty raz powtarzam, jak w woreczku skończy się antybiotyk.
 - Coś za słabo kapie, za wolno to idzie. – Krzywię się zirytowany.

Doc podchodzi do łóżka, zwała się na nie na plecy, zakłada ręce pod głowę i krzyżuje nogi w kostkach.

- Ziom, kapie jak trzeba. Wyluzuj się.
- Wyluzować się. Jak mam się, kurwa, wyluzować?

Mój mózg jest jak kino z samymi horrorami, odgrywa właśnie wszystkie wymyślone w dziejach makabryczne sceny. Dmitrij w hokejowej masce na mordzie, z piłą łańcuchową w łapskach, goni Evę. Zapłakana Eva przypięta łańcuchami do ściany, ktoś ją chłoszcze. Naga Eva krzyczy na łóżku, podczas gdy Dmitrij...

- Kurwa! Kurwa!

Wypuszczam powietrze z płuc i siadam prosto, stawiam stopy na podłodze. Doc na mnie spogląda.

- To niewiele, ale wiem, co czujesz. Miłość to zarazem najwspanialsza i najgorsza rzecz na świecie.
- Brzmisz, jakbyś mówił z własnego doświadczenia.

Przygląda mi się przez moment, a potem obraca głowę i wbija wzrok w sufit.

– Byłem kiedyś żonaty – mówi.

Powiedział to z taką dozą emocji, że nie sądzę, by jego małżeństwo zakończyło się rozwodem.

– Ja też... – odpowiadam cicho, a gdy patrzy na mnie bez słowa, dodaje: – Rak piersi.

Znowu się obraca i zaciska powieki, jakby nawiedziło go straszne wspomnienie.

– Potrącenie, kierowca uciekł – wydusza po chwili.

– Ja pierdołę. Tak mi przykro.

Przełyka ślinę, odchrząkuje.

– No, wyszliśmy tego wieczoru. Pokłóciliśmy się przy kolacji. O pierdoły, że nie pomagam w domu. Że za dużo pracuję i tak dalej. Miała rację, ale byłem tego dnia zmęczony. Zachowywałem się jak palant. Zerwała się od stolika i wybiegła z restauracji. Widziałem to na własne oczy... Mieliliśmy stół przy oknie. – Przerzywa nagle, ale po chwili kontynuuje z jeszcze większym napięciem. – „Nie zachowuj się jak suka”, to ostatnie, co ode mnie usłyszała. Nie zdążyłem przeprosić. Gdy do niej dobiegłem, już nie żyła. Leżała z szeroko otwartymi oczyma. Pokiereszowana. Nie znaleźli kierowcy. Minęło dziesięć lat, a ja bez przerwy o niej śnię. Widzę w snach jej minę, gdy nazwałem ją suką – wyznaje zbolalym tonem.

Znowu przerywa, tym razem na dobre.

Wzdycham ciężko, drapię się po twarzy. Wiem, że nie mogę powiedzieć niczego, co mogłoby mu pomóc, wiem, że w tej chwili błądzi w osobistym piekle wspomnień i żalu.

Jeżeli śmierć czegoś nas uczy, to pokory. I żeby nie marnować ani chwili na durne bzdety, bo życie to tykający zegar, który zatrzymuje się w najmniej spodziewanym momencie.

Komórka Doca dzwoni na blacie z nierdzewnej stali, na którym ją zostawił.

Zrywam się na nogi z łomoczącym sercem. Doc też wstaje, idzie odebrać. Podbiegam do niego, ciągnąc za sobą postukujący stojak z kroplówką.

– Halo? – Przez chwilę słucha w skupieniu. – Cześć, K. – Zerka na mnie. – No, stoi obok.

– Co mówi?! – krzyczę. – Znalazł Evę?! Co się dzieje?!

Doc macha ręką, żebym się przymknął. Słucha dalej, a potem taksuje mnie spojrzeniem, od stóp do głów.

– Dałem mu twoje spodnie... nie, nie džinsy... i bluzę... tę czarną, gładką, stary... i parę butów. Nie, no nie ferragamo. Te wysokie.

– Są za małe – wtrącam głośno.

Doc znowu słucha, po czym się krzywi.

– Nie, nie będę mu mierzył stóp!

– Ma Evę?! – ryczę.

Nie wiem, co powiedział Killian, ale Doc znowu się skrzywił.

– Oby was obu przesrało, jesteście jak jelenie na rykowisku. Przepraszam, ale nie zamierzam odgrywać wędliny w waszej macho-kanapce. – Podaje mi komórkę, kręcąc głową.

Wyrywam ją gwałtownie i przykładam do ucha.

– Proszę, kurwa, powiedz, że ją masz.

– Nie mam jej.

Opuszczam rękę z komórką na wysokość uda, odchylam głowę i ryczę z frustracji.

– To mów, co się dzieje – żądam, przyłożywszy telefon z powrotem do ucha.

– Dzieje się to, że w lochach opuszczonego majątku na wsi pod Warszawą znalazłem bardzo martwego człowieka nazwiskiem Władimir Michajłow.

– Jesteś w Polsce?! Podaj dokładną lokalizację.

Rozdrażnia mnie jeszcze bardziej, bo wzdycha z rozczarowaniem.

– I spójrz, na czym ty się skupiasz. Stary, to nie jest czas na twoje problemy z zaufaniem.

Milczę, cały się gotując. W końcu Killian ustępuje.

– No dobra, kutafonie. Bierz długopis.

– Doc. Potrzebne mi kartka i długopis! – Przynosi mi je bardzo szybko. – Dawaj! – rzucam do Killiana.

Zapisuje podane koordynaty i powtarzam je na głos dla pewności.

– Skończyłeś przesłuchanie, mogę kontynuować? – pyta potem.

– Nawet nie zacząłem przesłuchania... – cedzę przez zaciśnięte zęby.

– W każdym razie... – mówi, ponownie wzdychając. – Nasz nieboszczyk łaskawie zostawił nam portfel i komórkę. Właśnie przesyłam ci zdjęcie jego dokumentów.

– Jaką miał komórkę? – pytam z nadzieją w sercu.

– Z androidem.

– To możesz sprawdzić historię lokalizacji!

– O ja?! Na serio? – prycha. – Rany, nie pomyślałbym! Dzięki za radę.

Boże, co za gość. Chętnie zgoliłbym mu brwi we śnie.

– Powiedz, że masz coś dobrego, zanim całkiem oszaleję.

Wyczuwam uśmiech w jego teatralnej pauzie.

– Po kolei. Najpierw przyznaj, że jesteś mi wdzięczny za ocalenie życia.

Ponownie opuszczam rękę z telefonem do uda, zamykam oczy i liczę do dziesięciu. Potem przystawiam ją do ucha i oświadczam najspokojniej, jak potrafię.

– Jestem ci wdzięczny za ocalenie życia.

Wydaje z siebie pomruk, który ma świadczyć, że moje wyrazy wdzięczności nie do końca go usatysfakcjonowały.

Biorę jeszcze kilka oddechów, liczę do piętnastu.

– Killianie. Chciałbym podzielić się z tobą wyrazami uznania za to, że zjawiłeś się w odpowiednim momencie, wsadziłeś mnie do karetki, zawiozłeś do kryjówki i ściągnąłeś Doca, który opatrzył moje rany. Dziękuję ci. Szczerze i prawdziwie. Z całego serca.

Przez chwilę milczy, gdzieś w oddali za nim rozlega się grzmot.

– Nie wiem, czy nie powiedziałeś tego z sarkazmem.

Mam ochotę cisnąć komórką na drugą stronę magazynu, lecz zamiast tego wyrzaskuję do słuchawki kilka bluźnierstw. Doc przygląda się temu, kręcąc głową. Gdy kończę się drzeć, Killian wybuchą śmiechem.

– Mój Boże, co za temperament. Jesteś jak beczka prochu, przyjacielu.

– Gdzie moja kobieta?! – ryczę, ile sił w płucach.

– Uga. Ja, Tarzan. Ty, Jane. Mam zero finezji – mamrocze, a potem kontynuuje normalnym głosem: – Zaraz załaduję dane z karty SIM nieboszczyka i ci je prześlę. Jestem przekonany, że cię zaciekawia. Możecie się nad nimi pochylić ze swoją ekipą, przygotować własny plan. Tymczasem ja muszę się zająć inną sprawą. Odezwę się wkrótce.

Panika stawia mi włoski na plecach, zaciska na moim gardle lodowaty szpon.

– Odezwiesz się? O czym ty gadasz, do cholery? Wiesz, gdzie ona jest czy nie?

– Możesz korzystać z kryjówki, ile chcesz – mówi, ignorując moje pytania. – Doc załatwi ci wszystko, czego potrzebujesz. Na razie.

A potem, co nie do pomyślenia, rozłącza się.

Gapię się z niedowierzaniem na głuchą komórkę, dopóki mojej uwagi nie przykuwa elektroniczne piknięcie po drugiej stronie magazynu. Komputer ożywa, rozświetla się jeden z wielu monitorów. Pojawiają się na nim linijki zielonego tekstu, które ekspresowo przewijają się od góry do dołu.

– O, popatrz, jakiś kod! – rozpromienia się Doc. – Uwielbiam, jak odstawia ten numer z *Matrixa*!

– No – burczę, od razu dzwoniąc do Connora. – Też uwielbiam ten numer...

Pół godziny później Tabby ma już zmapowane wszystkie miejsca, które nasz przyjaciel Wład odwiedził w ciągu ostatnich dziewięćdziesięciu dni, zdążyła wykopać adres jego szkoły, jego kartotekę kryminalną, historię mandatów, płatności kartą i zatrudnienia, sprawdzić jego rodzinę i znanych współpracowników, zbadać listę kontaktów w jego komórce i skonfrontować wszystkie te informacje z hakerską bazą danych, z której korzysta.

Ściągnęła również historię jego wiadomości tekstowych i wszystkie zdjęcia.

Och, te zdjęcia. Wład kochał swojego penisa bardziej niż powietrze, którym oddychał.

– Mogę szczerze stwierdzić, że nigdy nie widziałem tak okazałych jąder.

– Są jak grejpfruty! Ciekawe, czy musiał szyć majtki na miarę.

– Myślicie, że to jakaś choroba? Chyba musi boleć...

– Bardziej mnie interesuje, dlaczego nosił w komórce tyle zdjęć własnego sprzętu. Przecież miał tam całe archiwum. Przejrzałam galerię, teraz poznałabym jego wacka i te bile na okazaniu policyjnym...

Połączyliśmy się z Connorem, Tabby i Dokiem na wideokonferencji. Doc siedzi jak król przy komputerach w wielkim fotelu, a ja drepczę za nim nerwowo. Ściągnął z laptopa dane przesłane przez Killiana i przesłał je Tabby. Czekamy jeszcze na tożsamość właścicieli wszystkich miejsc, które pokazały się na mapie w komórce Włada, zarówno biur i firm, jak i nieruchomości mieszkalnych.

W międzyczasie oglądamy fotki.

A przynajmniej oni oglądają. Ja zapuszczam korzenie w podłodze i próbuję okiełznać zawał, który zaraz niechybnie mnie zabije.

– Okej, jest raport – stwierdza Tabby i zdjęcia penisa Włada znikają z ekranu.

– Dziękuję, kurwa... – wzdycham. – Co tam mamy?

Tabby przez chwilę milczy i analizuje raport, który u nas pojawił się jako małe okienko w prawym górnym rogu ekranu. Pozostałą część monitora zajmują Tabby i Connor, siedzą obok siebie za wielkim czarnym biurkiem w gabinecie Connora w siedzibie firmy.

Ona ma na sobie różowy T-shirt z napisem NIE GAP MI SIĘ W CYCKI... rozciągniętym na cychkach. Płonąco rude włosy związała w kucyka. Usta pomalowała w szkarłat. Paznokcie na czarno.

Connor wygląda jak zawsze, potężnie i majestatycznie. Jedną wielką rękę zarzucił na oparcie krzesła żony. Gdy ona pracuje, on bawi się końcówką jej kucyka.

– Mamy tu kawiarnie, restauracje. Pralnię. Bank. Trafił się i klub ze striptizem... – Zawiesza głos, jej palce zaczynają fruwać po klawiaturze. – Domy jego matki i brata. Domy kumpli, wujka, siostry, bla, bla, bla...

Ponownie zawiesza głos, stuka w klawisze dalej, a po chwili się krzywi.

– Nie do wiary, mamy adresy trzech różnych banków spermy. Wychodzi na to, że nieźle sobie dorabiał dzięki tym przerośniętym jądrom.

– Ziom, gdy życie daje ci cytryny, zrób z nich lemoniadę. – Doc zaczyna się śmiać, po czym kontynuuje: – A jak masz takie cytryny, możesz zrobić jej naprawdę sporo.

Tabby zerka na niego, potem na mnie, kręci głową i wraca do klawiatury.

– Oto adres odpowiadający koordynatom, które podał ci Killian. To posiadłość wielkości trzech tysięcy metrów na dwudziestohektarowej działce. Dwa miesiące temu kupiła ją firma Slavtek Corporation, za osiemnaście milionów dolarów.

– Ogromna nieruchomość – stwierdza Connor. – Sam dom ma prawie trzydzieści tysięcy stóp kwadratowych.

– Trzydzieści dwa tysiące dwieście dziewięćdziesiąt jeden i coś tam po przecinku – doprecyzowuje Tabby, przeliczając metry kwadratowe na stopy, bez kalkulatora.

Doc jest pod wrażeniem, ale my z Connorem znamy już potęgę jej mózgu, więc przechodzimy nad tym do porządku dziennego.

– Zakup przez korporację to dobra metoda ukrycia prawdziwej tożsamości właściciela – stwierdzam.

– Sprawdźmy, czy nasi przyjaciele ze Slavteka posiadają jakieś inne nieruchomości z listy – mówi Tabby z uśmiechem, wraca do swojego komputera i coś wpisuje. – No, cholercia...

– Co takiego?!

– Mam tu siedemnaście nieruchomości należących do tej korporacji.

– Jest coś w Sankt Petersburgu?

Tabby wie, dlaczego pytam.

– Nie. Swój rosyjski dom Dmitrij kupił poprzez fundusz inwestycyjny. Nie dostrzegam żadnych wyraźnych związków pomiędzy nim a Slavtekiem, ale muszę podłubać głębiej w tej firmie.

Nie rozumiem, dlaczego Dmitrij miałby posiadać tyle aktywów w Polsce, ale nigdy nie wiadomo,

co ten pojeb kombinuje.

– Czy wszystkie nieruchomości Slavteka to budynki mieszkalne?

Tabby klika przez minutkę.

– Tak.

– Czy któraś została nabyta w ostatnim kwartale?

– No... wszystkie. I wszystkie są wielkie.

– Więc ktoś zrobił zamach na ziemię i budynki... – zastanawia się głośno Doc, opierając się w fotelu.

– Nieruchomości to zawsze pewne inwestycje – stwierdza Connor, wzruszając ramionami.

Wracam do łożenia w kółko, w moim mózgu lęgną się kolejne teorie spiskowe, a oprócz nich frustracja i niepokój. Nic pomocnego w zbliżeniu się do Evy.

Jak dotąd nie dokopaliśmy się do żadnego związku pomiędzy nieboszczykiem a Evą, z wyjątkiem tego, że jego zwłoki leżały w miejscu, w którym urwał się sygnał GPS-u z wizytówki Killiana.

Ale to może oznaczać cokolwiek. Może Eva wyrzuciła wizytówkę i koleś po prostu ją znalazł. A może w wizytówce Killiana wcale nie było żadnego GPS-u.

Przestaję maszerować i zamieram w trwodze.

Może to jeden wielki przekręt. Przynęta, przez którą wszyscy patrzymy *tutaj*, podczas gdy on robi coś zupełnie innego gdzie indziej.

– Czy Killian naprawdę miał GPS w wizytówce? – zwracam się do Doca.

– A czy papież łąż w śmiesznych czapkach?

Patrzmy na siebie, mam ochotę zdzielić go przez łeb stojakiem z kroplówką... i wtem nachodzi mnie jeszcze czarniejsza myśl.

Killian powiedział, że *nie ma* Evy, a nie, że jej *nie znalazł*. A gdy zapytałem go bezpośrednio, czy wie, gdzie jest moja kobieta... nie odpowiedział.

Działa w oparciu o zasadę minimalnej niezbędnej wiedzy, a niemal wszystko na temat jego tożsamości to wiedza zbędna w tym fachu. Przypominam sobie słowa Doca, ale teraz nabierają zupełnie nowego znaczenia.

– Co się stało? – pytają chórem Tabby i Connor, gdy łupię kroplówką o ziemię.

– Ten bydlak wie, gdzie ona jest!

ROZDZIAŁ 13

Eva

Modlę się.

Na kolanach, przy łóżku – ten nawyk mam jeszcze z dzieciństwa.

Panie Boże, proszę, usłysz mnie. Panie Boże, proszę, pomóż mi. Panie Boże, gdybyś teraz się przede mną objawił, kopnęłabym cię prosto w święte jaja, ty świętoszkowaty kutasie.

Dlaczego ofiarowałeś mi coś tak pięknego tylko po to, by od razu mi to zwinąć? Jaki wyższy cel za tym stoi? Jaki sens?

Tak, tak, wiem. Chodzi o cierpienie samo w sobie. O przetestowanie mojej wiary. O przekonanie się, na jak wysoką górę łajna zdolam się wspiąć w imię Twoje.

Alleluja.

Ojczy, wybacz mi, ale właśnie zdałam sobie sprawę, że masz więcej wspólnego z Dmitrijem, niż sądziłam.

Przenoszę ciężar ciała ze jednego kolana na drugie, krzywiąc się przy tym, bo moje nogi są sztywne. Lecz ich sztywność jest niczym w porównaniu z sztywnością całej reszty, ciała i duszy.

Naz nie żyje. Jedyne mężczyzna, przy którym czułam się bezpieczna, kochana i *dostrzegana*, nie żyje.

I oto ja, znowu przetrwałam. Patrzę na kosztowną narzutę z białego aksamitu, z każdym oddechem coraz bliżej ateizmu, i pragnę tylko pomalować cały ten apartament krwią Dmitrija.

Gubię się.

Może zawsze byłam zagubiona.

Może jestem sztucznym płatkim śniegu w plastikowej kuli, potrząsanej przez dziecko-kosmitę w jakiejś odległej galaktyce w innym wymiarze, miliony lat świetlnych stąd.

Popłakałbym się, gdybym nie była taka otępiała. Jestem jak ten jelen, podążający wzdłuż podwójnych pasów wymalowanych na autostradzie, zbyt oszołomiony widokiem świateł pędzącego nań tira, by odskoczyć.

Kiedy rozlega się pukanie do drzwi, nawet nie odwracam głowy. Po prostu czekam, aż ten ktoś wejdzie.

– *Gospoża?*

To Stefan. Biedny Stefan, który niedawno też kogoś stracił. Dmitrij pociągnął za spust, ale nie mogę otrząsnąć się z poczucia, że śmierć Włada to moja wina. W pewnej mierze najgorszy mężczyzna w moim życiu miał rację. Powinnam była mieć więcej oleju w głowie, przecież wiedziałam, że mam do czynienia z diabłem.

Czyli mam już na koncie trzy trupy. Wilka, czyli goryla Dmitrija, który przyjechał do Nowego Jorku, żeby mnie porwać, jego pomagiera, a teraz jeszcze Włada. Jeśli doliczyć Naza, który nadal by żył, gdyby mnie nie poznał, cztery.

I jeszcze ten wściekły pies w Wiedniu. To pięć.

Nie... i to nie wszyscy. Ilu żołnierzy Dmitrija ruszyło na spotkanie ze Stwórcą w wyniku strzelaniny w wiedeńskim apartamencie? Ośmiu? Dziesięciu? Niech będzie, że dziewięciu. I nie zapominajmy o Raphaelu oraz kapitanie *Silver Shadow*. Tak więc przeze mnie – bezpośrednio lub pośrednio – straciło życie aż *szesnaście* istot.

Cóż, niezły dorobek. Ktoś mógłby powiedzieć, że nabieram w tym wręcz zawodowej wprawy.

– *Gospoża? Możemy wejść?*

– Pewnie – odpowiadam tępo w narzutę. – Leżę sobie i liczę zwłoki.

Drzwi się otwierają. Po chwili ktoś odchrząkuje.

– Proszę pani, przyszedłem założyć gips.

Spoglądam przez ramię. Obok Stefana stoi lekarz, obaj patrzą na mnie z ogromnym niepokojem. Ciekawe, co się dzieje z moją twarzą, że są tacy wystraszeni. Podnoszę się niepewnie, siadam na krawędzi łóżka.

Chyba niepotrzebnie, bo pokój zaczyna leciutko wirować.

Doktor podchodzi bliżej, a Stefan wycofuje się na korytarz i cicho zamyka drzwi. Wie, że ściany mają oczy, nie może zachowywać się podejrzanie.

Lekarz patrzy na mnie, mam na sobie biały szlafrok, który założyłam, gdy wróciłam z przymierzania sukni. Przygląda się mojej twarzy i posturze:

– Wygląda pani niezdrowo.

Mam wrażenie, że coś pęka mi w piersi. Mój żołądek zamienia się w kulę kwasu. Puls staje się gorączkowy, za to stopy i dłonie mam lodowate.

– Czy można umrzeć przez złamane serce? – pytam, patrząc w jego buty.

– Tak. Syndrom złamanego serca ma nawet nazwę: zespół takotsubo. Chodzi o reakcję serca na nagły wystrzał hormonów stresu, wywołany odejściem lub śmiercią ukochanej osoby.

– Pewnie tym gorzej, jeśli ta osoba już wcześniej miała problemy sercowe...

Po chwili ciszy lekarz przysuwa sobie krzesło od stolika pod oknem. Siada naprzeciwko i ujmuje moją rękę.

– Nie umrze pani.

Wypowiada te słowa tak łagodnie, że łzy napływają mi do oczu.

– A co, gdybym chciała? – pytam szeptem.

– Wtedy proszę pomyśleć o wszystkich powodach, dla których musi pani żyć.

Podnoszę na niego wzrok. Spogląda na mnie jak dziadek na wnuczkę, z uczuciem i zrozumieniem, z mądrością swego wieku. Uśmiecha się.

– Zalecam też wódkę. Przetrwiałem wiele mrocznych dni dzięki kilku głębszym.

– Jest pan bardzo życzliwy. Dziękuję.

– Tak... – mruczy ciszej –... domyślam się, że życzliwość to tutaj rzadki towar.

Zastanawiam się, dlaczego tak łagodny człowiek pracuje dla Dmitrija, ale nie pytam. W pajęczce sieci wpadają najróżniejsze stworzenia.

Ponownie wbijam wzrok w jego buty, a mężczyzna poklepuje mnie po dłoni. Potem wstaje, odstawia krzesło na miejsce i zabiera się za gipsowanie mojej ręki. Cały czas milczy.

– Proszę nie moczyć gipsu – ostrzega, skończywszy i zaczyna pakować swoją torbę. – Ręka może swędzieć, ale proszę nie wtykać niczego pod gips, żeby się podrapać. Jeżeli zauważy pani nieprzyjemny zapach albo zmiany w kolorze palców, proszę natychmiast dzwonić. Musi pani nosić gips przynajmniej kilka tygodni.

– Wiem – odpowiadam, przecież nie raz już nosiłam.

I wtedy mnie uderza. Znienacka, ogłuszająco i niespodziewanie, jak silny policzek.

Gniew.

Gniew niczym horda demonów wyjących na krawędzi otchłani, odór siarki gryzie mnie w oczy, grzeszny ogień wypala mi żyły, z nieba strzelają ognie piekielne, które wypalają mi skórę i spopielają kości. Krwawy, ścinający krew w żyłach gniew nad wszystkim, co miałam, wszystkim, co straciłam, nad dzieckiem, które być może noszę, które nigdy nie pozna ojca.

Dmitrij zabił Naza.

Dmitrij zabił Naza.

Zaczynam drzeć tak gwałtownie, że aż szczękam zębami.

Lekarz niczego nie zauważa, ponieważ zdążył się już odwrócić i pożegnać. Podchodzi do drzwi, puka, bo wie, że są zamknięte na klucz. Jest w mojej klatce.

Jestem w klatce.

Dmitrij zabił Naza.

Co ja tu robię, do cholery?! Siedzę, jakby nic się nie stało!

Drzwi się otwierają. Lekarz wychodzi. Dostrzegam twarz Stefana, te czujne oczy, którym nic nie umyka. Zauważa mój rozżarzony gniew z niezakłóconym opanowaniem, jakby się go spodziewał. Jakby

wiedział, że nadejdzie.

Zrywam się na nogi, biegnę przez pokój i z impetem wpadam na drzwi, które wałą w ścianę. Lekarz odwraca się zdumiony. Stefan po prostu czeka.

– Natychmiast zabierzcie mnie do tego skurwysyna! – wyję niczym zjawa.

Na obliczu Stefana pojawia się minimalny cień uśmiechu.

Gabinet Dmitrija znajduje się po drugiej stronie posiadłości, za labiryntem pokoi, na które nawet nie zwracam uwagi. Ignoruję oniemiałe spojrzenia służących, którzy kulą się na mój widok, jakbym była wcieleniem zarazy. Ignoruję szeptę rozlegające się za moimi plecami, gdy mijam ich z siłą huraganu. Jestem pewna, że mam rozszalałe, żądne zemsty spojrzenie. A przez obnażone zęby wyglądam niczym walkiria na kwasie, ale niech tak będzie. Mam gdzieś, jak wyglądam.

Idę przelać krew.

Stefan puka knykciami w wysokie drewniane drzwi, przed którymi stanęliśmy, i pokazuje mi dłoń, bym czekała. Zdyszana i wibrująca gniewem, z przysłowiową spienioną pianą wokół ust niczym jakieś wściekłe zwierzę, muszę się powstrzymać, by nie odgryźć mu palców.

Gdy z drugiej rozlega się „wejść”, wyprzedzam Stefana i wpadam do środka jak odbezpieczony granat.

Dmitrij siedzi za rozległym dębowym biurkiem i patrzy na mnie obojętnie, bez cienia strachu. I zaskoczenia. Jakby się mnie spodziewał.

Zakręca whiskey w trzymanej w dłoni szklance z ciętego kryształu.

– Powinno być ciekawie. Znalazłaś broń?

Jest rozebrany od pasa w górę. Jego silna, szczupła pierś połyskuje potem. Ma zaciśnięte mięśnie brzucha, każdy wyraźnie odznacza się pod skórą, jakby musiały sprostać ogromnemu obciążeniu.

Obok niego klęczy ten przypominający księgowego lekarz. Przynajmniej on jest zaskoczony moim wtargnięciem, mruga jak sowa. Był właśnie w toku oczyszczania rany postrzałowej w podbrzuszu Dmitrija.

Dziura jest czerwona i rozjątrzona jak moja twarz, otacza ją wielobarwny krajobraz sinego i woskowato-białego mięsa pokrytego marmurkowatym wzorem żyłek, wszystko przypomina nieco ser pleśniowy.

Po jednej stronie biurka Dmitrija są monitory, pokazujące przekaz z kamer bezpieczeństwa, widać więc korytarze i sypialnie, salony i podjazdy, kuchnię, jadalnię i wszystko inne. Widzę, jak służąca wchodzi do mojego apartamentu i zaczyna odkurzać. Moja furia, która jeszcze niedawno była czymś marnym, rozbitym na tysiące kawałków, gromadzi się w całość, w twarde niczym diament ostrze zemsty, połyskujące jak odbijający promienie słońca miecz.

– Nie. Ale to się nada – cedzę przez zaciśnięte zęby.

Podbiegam do wygaszonego kominka, porywam ze stojaka metalowy pogrzebacz i obracam się, groźnie go unosząc.

– No już, już, Evalina. Nie dramatyzuj.

Ta ociekająca pogarda. Nadal się nie przejmuję, ale już wkrótce zacznę.

– Jeszcze nawet nie zaczęłam dramatyzować. Szykuj się.

Jednym zamachnięciem rozbijam szybę w stojącej obok witrynce z książkami. Moja lewa ręka jest do niczego, ale prawa z przyjemnością weźmie na siebie i jej obowiązki. Po witrynce przychodzi kolej na dwie porcelanowe wazy, stojące na gzymsie kominka, a potem kryształowe popiersie Stalina, które rozpada się na miliony odłamków. Obracam się, ciężko dysząc, moje dłonie są śliskie od potu.

Dmitrij przygląda mi się z rozbawieniem. Jakbym była uroczym kociakiem, który drapie meble i wspina się na zasłony.

– Muszę przyznać, że to nieoczekiwane. Zakładałam, że nabrałaś brutalnych skłonności przez czas spędzony z tym swoim Amerykaninem.

Uśmiecha się. Wie, że wzmianka o Nazie rozjuszy mnie jeszcze bardziej. I ma rację.

Dmitrij zawsze jest uzbrojony, nawet jeśli nie ma broni.

Zbliżam się do niego powoli, ostrożnie, ściskając w drżącej garści pogrzebacz.

– Zabiję cię.

Wzdycha, dopija whiskey i odstawia szklanę.

– Najdroższa – zaczyna szyderczym tonem. – Podoba mi się ta gra, ale, jak widzisz, jestem chwilowo zajęty czym innym. Musimy to przełożyć.

Wyciąga pistolet z górnej szuflady biurka.

Zamieram.

Kładzie go na leżącym przed nim rejestrze, obraca lufę w moją stronę, po czym spokojnymi ruchami splata dłonie na nagim brzuchu.

– Nie wiem, czy jesteś dziś w nastroju na hazard, ale jeśli tak, to masz do mnie ile? Cztery metry? Myślisz, że zdążysz tu dobiec i rozłupać mi czaszkę pogrzebaczem, zanim sięgnę do broni i trafię cię w pierś?

Człowiek pełen *pychy*. Jego arogancji równać może się tylko jego nieprawość.

Zerkam na pistolet, potem na niego, obliczam dzielącą nas odległość.

Rozśmieszam go tym.

– Patrzcie na nią, mała kobra szykuje się do ataku. – Pociera palcem po swojej pełnej, dolnej wardze, jego niebieskie oczy lśnią wyczekująco, następnie nachyla się nad biurkiem. – No to chodź, ukochana. Chodź po mnie – dodaje bardziej ochryple.

Lekarz wstaje i umyka obok mnie bokiem, jak jakiś krab, żeby ukryć się w drzwiach, gdzie czeka nieruchomo Stefan.

Mierzymy się z Dmitrijem wzrokiem.

Przywołał jedno z tych swoich niezliczonych, kamiennych spojrzeń, w których człowiek może zatracić duszę, spojrzeń tak zimnych, że czujesz, jak lodowate sopele wbijają ci się w kości. Rozbrzmiewa we mnie pierwotny rytm żądy, by go skrzywdzić... zabić. Jest głośny i surowy, gorący i dziki. Zgrzytam zębami. Spazm nienawiści skręca mi żołądek w supeł.

Myślałam kiedyś, że miłość to głupiutki kaprys. Jak użalanie się nad sobą, kaprys, na który nie mogę sobie pozwolić. Lecz potem poznałam mężczyznę, który nauczył mnie, że miłość wcale nie jest głupia, jest niezbędna. Elementarna. To jedyna rzecz, bez której nie da się tak naprawdę żyć.

Poruszam się jak strzała. Paliwo rakietowe furii dodaje mi skrzydeł. Dopadłam Dmitrija, zanim w ogóle zorientował się, co się dzieje, zanim zdążył uwierzyć, że mogę być aż tak szybka.

Ale najpierw poczuł na mordzie twarde ukąszenie stali.

Mój zamach jest niezręczny, ale celny. Pogrzebacz uderza w jego szczękę z przyjemnym chrupnięciem. Jego głowa odskakuje na bok. Ryczy z oburzenia i bólu. Na moją pierś tryska fontanna gorącej krwi.

Obok przelatuje jakiś mały, biały przedmiot. Ząb.

Dmitrij spada z fotela, ląduje na podłodze na czworakach, potrząsając głową, jak pies. Ten widok – Dmitrij ranny, krwawiący, poniżony – przepelnia mnie energią, jakbym wetknęła palec do gniazdka elektrycznego.

Staję przy jego biurku i krzyczę:

– A przy okazji, najdroższy, chciałam ci coś powiedzieć. – Uśmiecham się, a później wykrzykuję: – Pierdol się!

Biorę kolejny duży zamach, ale on otrząsnął się już z wywołanego moim atakiem szoku. Wstaje, chwiejąc się. Dzięki szczęśliwemu odskokowi w bok udaje mu się uniknąć drugiego ciosu, pogrzebacz przemyka ze świstem tuż przed jego nosem. Następnie rzuca się na mnie, zamyka mnie w niedźwiedzim uścisku i przygniata twarzą do biurka.

Pogrzebacz wypada mi z ręki. Powietrze wylatuje z moich płuc, przez moment widzę gwiazdy. Zamknięta w gipsie ręka piekielnie boli.

Dmitrij wydaje się potwornie ciężki, unieruchamia mi ręce, czuję na uchu jego ciepły oddech.

– Nie, ukochana. Pierdolić to będziemy ciebie – mruczy.

Grzebie jedną ręką przy spodniach, rozpina pasek.

Krzyczę z frustracji, wierzgam nogami, ale jest zbyt silny. Pistolet spadł z biurka na dywan,

gdybym tylko zdołała wyciągnąć rękę, mogłabym go dosięgnąć, ale sprawna dłoń utknęła przygnieciona ciężarem mojego ciała. Próbuję gorączkowo ją uwolnić, ale Dmitrij wbija mi przedramię w kark, unieruchamia moje ramiona w stalowym jak imadło uścisku.

Patrzę rozpaczliwie w stronę drzwi, ale Stefan i lekarz zniknęli.

Dmitrij wbija nogę pomiędzy moje uda. Dźwięk paska wysuwającego się ze szlufek jest nienaturalnie głośny, ostre *szszszttt*, przez które znowu krzyczę, tym razem z przerażenia.

Teraz grzebie przy moim szlafroku, zarzuca mi go na plecy i łapie mnie za biodra. Jego paznokcie drapią moją nagą skórę.

Rozpina rozporek i śmieje się. Ten dźwięk jest wariacki, obsceniczny, jak rechot na pogrzebie.

Wiję się pod nim, napinam wszystkie mięśnie, nabieram powietrze panicznym haustami. Czuję pod brzuchem coś ostrego, w moje ciało wbija się jakaś zimna krawędź, ale miotam się jak zwierzę, by wyrwać się spod Dmitrija, który właśnie przyszpila moje biodra i ustawia się tak, by we mnie wejść. Wierzgam i rzucam się na boki, a on sapie pożądlawie.

– No chodź, Eva... – wydusza ochryple, podniecony moim strachem i rozpaczliwymi krzykami. – Pozwól, że dam ci, czego potrzebujesz.

To coś pod moim brzuchem. Ostre i płaskie... co to jest?

Rozluźniam się na jedno uderzenie serca, tętno łomocze mi w uszach jak trzepot wielkich skrzydeł, a mojej głowie niesie się echo nieustannego krzyku: *Nie, nie, nie*.

Dmitrij stęka zwycięsko, bo myśli, że skapitulowałam. Zabiera rękę z mojego karku, żeby pomóc nią sobie niżej.

Teraz, gdy jego ciężar ze mnie zniknął, mogę poruszyć dłońią. Zaciskam palce wokół płaskiego przedmiotu wciśniętego pomiędzy blat biurka a moje łono. Gdy tylko wyczuwam chłodny metal, już wiem, co to jest.

I wiem, jak tego użyć.

Moje ciało jest silne, wyćwiczone latami codziennych treningów tańca, niezliczonymi godzinami spędzonymi przy drążku, na dostosowywaniu moich mięśni, by nie tylko znosiły, ale też akceptowały ból i pracowały mimo bólu, by znały go jako dobrego towarzysza. Może nie jako przyjaciela, ale szanowanego rywala.

Natomiast *gibkość*... gibkość to mój prawdziwy atut.

Jednym płynnym, ostrym jak trzask bicia ruchem wykręcam tułów i wbijam nożyk do kopert w miękki punkt pod podbródkiem Dmitrija.

ROZDZIAŁ 14

Naz

Miotam się jak lew w klatce, jestem tak wściekły, że na kilka chwil odbiera mi mowę.

Tabby i Connor spoglądają na mnie z ekranu laptopa, a Doc ostrożnie odjeżdża na krzesło na bezpieczną odległość.

Gdy walnąłem stojakiem na kroplówkę w podłogę, woreczek z antybiotykiem spadł z haczyka. Teraz wlekę go za sobą na plastikowej rurce, jak odciętą kończynę, trzymającą się na ostatnich włóknach mięśni. Staję, wrywam igłę z ręki i ciskam o podłogę, a następnie wracam do wściekłego marszu.

A w zasadzie do wściekłego kuśtykania, żeby być precyzyjnym. Nie licząc delikatnego utykania, którego nabawiłem się w wyniku pewnej dawnej kontuzji, teraz ból rozrywa też moją łydkę.

I płuca. I mięśnie. I bebechy.

I serce.

– Nawet nie wiem, czy te koordynaty od Killiana są prawdziwe, nie jestem pewien, czy naprawdę tam pojechał – wypluwam z siebie. – Nie mam żadnych dowodów, na nic!

– Ale mamy nieboszczyka – stwierdza Doc z przesadnym optymizmem. Gdy przewiercam go zabójczym spojrzeniem, unosi ręce w uspokajającym geście. – Tak tylko mówię...

– Naprawdę go mamy? – rzucam wściekle i aż czuję, jak żyły wychodzą mi na szyję. – Kto wie, kim naprawdę jest ten Władimir jakiś tam, kurwa?! Nie znaleźliśmy niczego, co wiązałoby go z Dmitrijem albo Evą! Może to jakiś koleżka Killiana, następny superszpieg!

– Killian raczej nie ma „koleżków”. To typ samotnego wilka.

– A skąd ja mam to wiedzieć? Nic o nim nie wiem! – krzyczę. – Nie wiem, czy naprawdę ma na imię Killian, nie wiem, dla kogo pracuje, nie wiem, gdzie jest i jak się tam dostał, a przede wszystkim nie wiem, jakie ma plany względem mojej kobiety!

Moja tyrada nie zrobiła chyba na Docu większego wrażenia. Zakłada obutą w trampka stopę na udo i wzrusza ramionami.

– No wiesz, gdy masz z nim do czynienia, musisz zaakceptować pewną dozę niejednoznaczności, ale... – Waha się, jakby rozważał, czy rozsądnie kończyć to zdanie. – Tak jakby ocalił ci życie.

Cisnienie za moimi gałkami ocznymi robi się niebezpiecznie wysokie. Wcale bym się nie dziwił, gdyby oczy zaraz wystrzeliły mi z głowy i rozpaćkały się na najbliższej ścianie.

– Mam coś! – rzuca Tabby, zanim zdążyłem szczegółowo wyjaśnić, że Killian wcale nie uratował mi życia.

Odnoszę wrażenie, że zaraz dostanę wylewu. Obracam się gwałtownie do laptopa, wbijam dłoń w blat biurka i rzucam:

– Co?!

– Tego gościa. Kumpla Włada. Stefana.

Po prawej stronie ekranu wyskakuje małe okienko ze zdjęciem. Zostało zrobione od przodu, obiekt maszeruje wprost na obiektyw. To mężczyzna niewiele po trzydziestce, solidnie zbudowany, ciemnowłosy, ma krótką bródkę i przeszywające zielone oczy. Ma na sobie eleganckie czarne spodnie i białą zapinaną koszulę z rękawami podwiniętymi na żyłastych przedramionach, są tak ciasne, że można odnieść wrażenie, że odetną mu krążenie. Facet jest ewidentnie dumny ze swojej tężyzny.

Jeszcze bardziej rzuca się w oczy to, że jest niebezpieczny. Unosi się wokół niego aura „twardziela”.

– Kim on jest?

– Byłem oficerem rosyjskich sił zbrojnych. Po służbie pracował głównie w prywatnej ochronie podejrzanych typów. Oligarchów, mafiosów, trafił mu się nawet neonazista. Kilka miesięcy temu przyjął nową fuchę. I zabrał ze sobą kumpla, Włada.

Jej uśmiech jednoznacznie wyjaśnia, kim jest nowy pracodawca Stefana.

– Dmitrij.

– Tak jest.

Rychły wylew walczy o prym z wystrzałem endorfin, zalewających mój układ krążenia, i euforią.

Trop. Nareszcie.

– Jak się tego dowiedzieliśmy?

– Och, mam ci podać wszystkie techniczne szczegóły? – pyta filuternie.

– Przysięgam, że nie podważam twoich ustaleń – mówię uspokajająco, bo wiem, jak tego nie znosi. – Po prostu pragnę czegoś konkretnego, czego mógłbym się uchwycić.

– Ależ proszę bardzo – rzuca, wykrzywiając usta.

Naciska jakiś klawisz na swojej klawiaturze i mój ekran zalewają dane. Wyskakują kaskady okienek. Widzę zrzuty wiadomości tekstowych z podświetlonymi nazwiskami. Mapy z oznaczonymi adresami. Listy numerów telefonów. Rejestry bankowe. I masę innych raportów, których nie rozumiem, bo wszystko jest po rosyjsku.

– Jak dla mnie wygląda to świetnie – stwierdzam promiennie. Mam świadomość, że Tabby pokazała mi miejsce w szeregu, ale przecież na głos tego nie przyznam. – Co dalej?

– Wład i Stefan wymieniali między sobą wiadomości na temat dwunastu z siedemnastu nieruchomości należących do Slavteka. Jedna znajduje się pod podanym ci przez Killiana adresem, stamtąd też wyszła ostatnia napisana przez Włada wiadomość.

Doc posyła mi karcące, babcine spojrzenie w stylu: *a nie mówiłem.*

– Pokaż mi pozostałe adresy.

Na monitorze pojawia się mapa. Widnieje na niej jednaście oznaczonych lokalizacji w odległości mniej więcej trzydziestu kilometrów od siebie, wszystkie leżą w otaczających Warszawę wsiach. Kolejna szpilka wskazuje miejsce podane mi przez Killiana.

– No dobra, tajemniczy fajfusie – mamroczę, wpatrując się usilnie w tę mapę. – Pod który z pozostałych adresów pognałeś...

– Nie mów, że zamierzasz za nim ruszyć – rzuca z niedowierzaniem Doc.

Prostuję się i patrzę na niego.

– Nie, nie za nim. Zamierzam ruszyć za Evą. I to zaraz.

– Przecież jesteś niemal martwy!

– Dziękuję za komplement, ale do śmierci mi daleko – burczę niezadowolony z tego komentarza.

– Jesteś cały podziurawiony! Nabawisz się sepsy!

– Cóż, mogę też lada moment paść na zawał. Zaryzykuję.

Doc wstaje i zwraca się błagalnym tonem do Tabby i Connora.

– To straszny plan. Naprawdę fatalny. Po pierwsze, wasz chłoptaş nie jest w formie do odgrywania obieżyświata...

– Obieżyświata? – prycha Connor.

–... po drugie, nie mamy żadnych dowodów, że Eva jest w którymś z tych miejsc.

– Trzewia podpowiadają mi, że jest – wtrącam.

Doc obraca się na krześle, patrzy na mnie i przenosi wzrok na mój brzuch.

– Trzewia? Te, które niedawno doznały poważnych urazów? Te trzewia? – Prycha, po czym kontynuuje: – Te, w których właśnie mogą namnażać się bakterie, które wlały tam razem z kulą i szykować nam prawdziwą katastrofę? Te, których od... bardzo dawna... nawet nie karmiłeś?

Odkąd mam klarowany plan ataku i los Evy nie spoczywa już wyłącznie w rękach mojego niemal-arcywroga Killiana, czuję się znacznie lepiej, więc odpowiadam:

– Przez cały dzień faszerowałeś mnie prochami, pamiętasz? Więc nic się we mnie nie namnaża. I zaliczę jakieś śniadanie przed wyjazdem.

– Jakieś śniadanie? – powtarza Doc odrobinę cieńszym głosem.

Obracam się do monitora i mówię do Tabby i Connora:

– Czy ktoś mógłby wytłumaczyć babci, że jestem dorosłym mężczyzną?

Doc wyrzuca ręce do góry.

– Ach, no tak. Zapomniałem, że mam do czynienia z kretynem, który odmówił przyjęcia środka znieczulającego przed zabiegiem chirurgicznym.

– Doc, to nie był mój pierwszy postrzał.

Spoziera na mnie złowrogo.

– Jeżeli mi jeszcze powiesz, że zszywałeś się sam w dżungli, jak Stallone w *Rambo*, to koniec z naszą przyjaźnią.

Patrzę na niego bez dalszych komentarzy, bo nie lubię się chwalić.

– Poddaję się... – burczy, kręcąc głową.

Ponownie kieruję uwagę na Tabby i Connora.

– Sprawdźcie, czy możecie zdobyć zdjęcia satelitarne tych miejsc. Wkraczam.

– Skontaktujemy cię z Günterem i chłopakami. Mogę rozpoznać część z nich...

– Odmawiam – rzucam z naciskiem. – Nie mogę mieć pewności, że ta ekipa nie zechce nagle wyskoczyć na pizzę albo zwiedzanie okolicy. Poza tym są mniej więcej tak niewidoczni jak rozpędzone stado słoni. Każdy może wypatrzeć tę zgraję Niemców ze stu kilometrów. Żeby plan się nie wykraczył, muszę zrobić wszystko sam. Pomówmy o logistyce. Później będę potrzebował transportu do Polski, jak najszybciej... I broni... Mnóstwa broni.

ROZDZIAŁ 15

Eva

Dmitrij wybałusza oczy. Na moją dłoń wytryskuje coś ciepłego, spływa po ręce... to jego krew. Męczyzna chwieje się w tył, łapie za gardło, z jego ust wydobywa się paskudny gulgot. Zdumienie wykrzywia mu twarz.

Gdy tylko się ode mnie odsuwa, odskakuję na bok, lecz na tyle niezdarnie, że upadam na podłogę. Chwytam za pistolet, wstaję, i obracam się w kierunku mojego oprawcy.

To niewiarygodne, ale on wciąż trzyma się na nogach.

Trochę się chwieje, jest blady, rozchylone wargi odsłaniają zęby i przeszywa mnie tymi niebieskimi, wytrzeszczonymi w oburzeniu oczyma. Zaciska palce wokół nożyka do kopert i powoli wyciąga go z ciała. Odrzuca go na bok i zaciska dłonie na tryskającej ranie.

Jego lśniąca od krwi pierś unosi się ciężko i opada, ale mężczyzna nadal się nie przewraca.

On wciąż się nie przewraca.

Serce wali mi w piersi. Unoszę pistolet i celuję w środek jego torsu. Zaciskam palce na spuście...

– Stój!

Patrzę przez ramię i w ostatniej chwili dostrzegam wlewających się do gabinetu ochroniarzy Dmitrija. Ten, który krzyknął, stoi z przodu, wycelował we mnie karabin. Pozostali natychmiast robią to samo.

Mój mózg eksploduje paniką. Jeżeli strzelę, ułamek sekundy później będę martwa. Jeżeli nie strzelę...

Zamarzę o śmierci.

Eva, dziecko! Pomyśl o dziecku! Co jeśli jesteś w ciąży? Nie możesz umrzeć!

Następuje chwila elektrycznej, strzelającej iskrami ciszy... a potem Dmitrij rzuca się na mnie i wrywa mi broń. Wali mnie na odlew tak mocno, że zbija mnie z nóg.

Uderzam o podłogę, przygniatając ciałem złamaną rękę, wyginam się z bólu i nie mogę odturlać się w bok, bo Dmitrij z brutalną siłą przydeptuje wewnętrzną część mojego uda. Krzyczę, wiję się i wtedy zauważam, że wymierza pistolet w mój brzuch.

Czysto instynktownie zasłaniam łono ręką, kulę się wokół niego w kłębek.

– Nie! – krzyczę.

Dimitri przydeptuje mnie mocniej. Krztusi się obrzydliwym, wilgotnym kaszlem, wypluta krew opryskuje mi twarz. Gdy ponownie podnoszę wzrok, w jednej ręce nadal trzyma broń i we mnie celuje, ale drugą zaciska wokół gardła.

Powinien krwawić mocniej! Jakim cudem trzyma się na nogach?! Jak to możliwe?

Chaos moich myśli zatrzymuje się, gdy Dmitrij mruży oczy...

I patrzę na mój brzuch.

Dociera do mnie, że popełniłam błąd, ale jest już za późno. Zabiera nogę z mojego uda, cofa się i celuje w punkt, który przed chwilą instynktownie chciałam osłonić.

Wyrzucam rękę w powietrze i wyję raz jeszcze:

– Nie!

A potem obserwuję, jak w jego potwornych oczach rozpała się światło zrozumienia.

Mruga gwałtownie, jego gniew ustępuje czemuś o wiele bardziej przerażającemu. Przenosi wzrok z mojego brzucha na twarz i z powrotem, zaczyna się śmiać. Zdławionym, chrapliwym śmiechem rodem z najgorszych koszmarów. Nie, to nawet nie jest śmiech, to straszliwy charkot przemieszany z wilgotnymi, chrapliwymi oddechami. Ma obnażone zęby, są pokryte krwią.

Wie.

Jeden z jego goryli krzyczy, by ściągnięto lekarza. Reszta powoli się zbliża, aż w końcu mnie otaczają. Dmitrij, wciąż celując w mój brzuch, pada ciężko na fotel naprzeciw mnie, jest spocony, rozbuchany, w jego ślepiach lśni triumf.

– Jesteś w ciąży – skrzeczy przeraźliwie przez zęby, tryskając naokoło krwią.

Kulę się w panice na podłodze, roztrzęsiona, przerażona, serce zaraz wyskoczy mi z piersi.

Nie odpowiadam, ale on już kiwa głową i ponownie zanosi się tym bulgoczącym rechotem, ramiona aż podskakują mu z uciechy, lecz po chwili znów zaczyna się krztusić. Obraca głowę i wypluwa na dywan dużo krwi.

Do gabinetu wpada jego lekarz. Odpycha na bok strażników, podchodzi do Dmitrija z wyrazem szoku na twarzy, nakłania go, by oparł się w fotelu, żeby mógł obejrzeć ranę.

Gdy ocenia szkody, wszyscy milczą jak zakłęci. Wszystkie lufy są wycelowane prosto we mnie. Kulę się, dygoczę ze strachu, tymczasem doktor zmusza Dmitrija, by rozwarł usta. Pracuje ostrożnie, unosi jego język, sprawdza palcami szyję i cmoka skonsternowany.

Dmitrij przez cały ten czas patrzy na mnie błyszczącymi, lodowatymi oczyma.

Jeżeli kiedyś widziałam go prawdziwie szczęśliwego, to właśnie teraz. Ofiarowałam mu bezcenny dar. Sekret będący kluczem do mojej kompletnej uległości, bezwarunkowej kapitulacji, całkowitego poddaństwa jego woli.

Dziecko Naza to ostateczny środek nacisku. Znacznie potężniejszy niż wszystkie inne razem wzięte.

– Sądząc po wzorcu krwawienia, tętnica szyjna i żyła szyjna są nietknięte, ale język i mięśnie pod nim zostały przerwane – zaczyna wyjaśniać lekarz. – Podniebienie miękkie nienaruszone, mogło dość do uszkodzenia nerwu błędnego...

Dmitrij pokazuje niecierpliwym ruchem ręki, żeby lekarz się streszczał.

– To nie jest śmiertelna rana. Pojawi się opuchlizna, może dojść do infekcji gruczołów ślinowych. No i oczywiście kolosalny ból...

Dmitrij odpycha go i wskazuje na mnie palcem.

– Zbadaj, czy jest w ciąży – charczy przez zęby.

Lekarza obraca się ku mnie, unosi brwi.

– Nie... nie jestem w ciąży... – rzucam, próbując grać na czas.

– Na pewno nie wygląda, jakby była – stwierdza lekarz, przyjrząwszy mi się i przenosząc wzrok na Dmitrija. – Ale badanie moczu da jednoznaczną odpowiedź.

– Wykonaj je.

Doktor kiwa głową, ale dodaje:

– Najpierw oczyszczę ranę...

– Już!

Lekarz ma dość oleju w głowie, by nie kłócić się z Dmitrijem, więc mówi po prostu:

– Wróć do godziny. Proszę uciskać, dopóki krwawienie nie ustanie.

Czmycha z gabinetu po test ciążowy, który przypieczętuje mój los.

Nie chcę też myśleć, co będzie, jeżeli *nie jestem* w ciąży. Ta historia nie może mieć dobrych zakończeń.

Dmitrij strzela palcami, wskazuje na mnie, a potem kciukiem na drzwi. Goryle rozumieją ten rozkaz. Mają mnie odprowadzić do apartamentu panny młodej.

Wywlekają mnie z gabinetu Dmitrija, bo moje stopy przestały działać. Powtarzam sobie, bym nie płakała, że wszystko się ułoży, że wydarzy się jakiś cud, że coś mnie uratuje.

Lecz sama nie wierzę w słowa, które powtarzam w myślach. Naz odszedł. Rycerz w lśniącej zbroi nie może mnie już ocalić. Jeżeli ktoś ma mnie uratować, to tylko ja sama.

Boże, dopomóż.

Ochroniarz ze złamany nosem, który z taką lubością gapił się, jak nago przymierałam suknie, wpycha mnie do apartamentu. Zatrząskuje drzwi, zamyka je na klucz i zostawia mnie samą z rosnącą z

sekundy na sekundę histerią.

Stefana z nim nie było. Nie wpadł też do gabinetu Dmitrija z wycelowaną we mnie bronią. Zadzwoił do Killiana? Jest jeszcze w posiadłości? Co zrobił z informacją, którą mu podałam? Czy jest choć cień szans, że zainterweniuje?

Co ja mam robić?!

Bezradność i panika stają się nie do zniesienia.

Zaczynam niszczyć rzeczy, żeby jakoś sobie z nimi poradzić.

Rzucam marmurowym wazonem w okno, by sprawdzić, czy Dmitrij mówił prawdę i te szyby naprawdę są niezniszczalne. Mówił. Udało mi się tylko rozwalić wazon, który eksplodował, zasypując dywan dużymi białym odłamkami, ale szyba nie jest nawet drażnięta.

Następnie rzucam lampą w ścianę. Efekt jest raczej mało spektakularny. Abażur odpada, akrylowa nóżka pęka, ale lampa ląduje na podłodze w niezłym stanie. Przemierzam metodycznie pokój, zrzucając obrazy ze ścian, przewracając podstawki z rzeźbami nagich kobiet, kopniakami obalając stoliki i krzesła. Pocę się, dyszę ciężko, wpadam do garderoby i zdieram ubrania z wieszaków, rzucam je wszystkie na stertę na środku podłogi.

Wiem, że to bez sensu. Bezwartościowa utrata energii, którą mogłabym spożytkować, planując, jak poradzić sobie z niewyobrażalną sytuacją, w jakiej się znalazłam. Lecz jeśli nie wyżyję jakoś tych paskudnych emocji, nie pozbędę się strachu i złości, mogę zrobić sobie krzywdę...

Nachodzi mnie straszna myśl, aż mnie podnosi, wprawia w drżenie. Wchodzę powoli do łazienki i wbijam wzrok w bursztynową buteleczkę stojącą na blacie przy umywalce.

Jeżeli nie jestem w ciąży, gdyby trzeba było...

Nie. Samobójstwo to grzech. Byłabym potępiona.

Ha! Myślisz, że już nie jesteś?! To ile masz trupów na koncie?

Nie wiem, dlaczego mój wewnętrzny głos musi być taką suką.

Odwracam się plecami do łazienki, wracam do garderoby na chwiejnych nogach i opadam ciężko na stertę eleganckich ubrań.

Kiedy lekarz wraca, nadal na niej siedzę, targana dreszczami.

Przyniósł test ciążowy, jeden z tych patyczków, na które trzeba nasikać, można je kupić w każdej aptece. Widywałam je w sklepiku farmaceutycznym niedaleko domu na Cozumel. Zastanawiałam się wtedy, czy spotka mnie takie szczęście, że będę kiedyś potrzebowała podobnego testu.

Teraz potrzebuję, ale *szczęście* to ostatnie słowo, jakim można opisać moją sytuację.

Lekarz otwiera pudełko, odwija patyczek ze sreberka i idzie ze mną do łazienki.

– Muszę patrzeć. Sama rozumiesz – mówi przepraszająco, gdy biorę test z jego ręki.

Jedyne, co rozumiem, to że niezależnie od wyniku testu czeka mnie zguba. Gdy siadam na toalecie i wsuwam patyczek pod strumień moczu, jest mi zimno jak w syberyjskiej tundrze.

– Proszę mi podać test, gdy skończysz – instruuje lekarz. Wypełniam polecenie, a medyk chwytając patyczek dłonią w jednorazowej rękawiczce. Nawet nie raczy się obrócić, gdy się wycieram i spuszcza wodę.

Stoi i wpatruje się w test, a ja siadam na zamkniętym sedesie. Chciałabym umrzeć.

Cztery minuty milczenia. W końcu przenosi na mnie wzrok.

– Gratuluję.

Obraca się i wychodzi, więc nie widzi, jak padam na kolana.

Dmitrij znajduje mnie właśnie w takiej pozycji, klęczącą na łazienkowej posadzce, przed toaletą, sparaliżowaną bezdennym szokiem. Nadal jest nagi od pasa w górę, jego szyja i tors nadal są umalowane jego własną krwią, choć zdążyła już zaschnąć w makabryczne wzory. Na brzuchu ma świeży opatrunek, drugi pojawił się na gardle.

Trzyma w dłoni skórzany bicz.

Spogląda na mnie, stając w progu, piękny, blondwłosy, jego uśmiech jest niczym wschód słońca, a oczy jak arktyczna śmierć.

– Wstań.

Miękkość jego tonu przyprawia o mdłości. Oboje wiemy, że już nigdy nie będzie musiał podnosić na mnie głosu.

Wstaję chwiejnie i patrzę mu w oczy, już nie silę się na ukrywanie obrzydzenia.

Gdy do mnie rusza, zamieram i trwam w bezruchu, gdy łapie mnie za szczękę. Patrzy mi głęboko w oczy i odzywa się głosem czułego kochanka. To jego zboczenie.

– Jeżeli jeszcze choć raz, nawet nieznacznie, sprzeciwisz mi się lub okażesz brak szacunku, wytnę z ciebie to dziecko nożem kuchennym. Rozumiesz?

Jakim prawem stoję? Przecież świat wymknął mi się spod stóp.

– Tak – odpowiadam drżącym głosem.

– To dobrze. Ściągnij szlafrok.

O, Boże. Boże, tylko nie to. Nie myśl. Nie myśl, po prostu to zrób, po prostu to zrób, pośpiesz się. Moje niezdarne palce jakoś dają radę, pomimo grozy i drgawek, i szlafrok opada na podłogę wokół moich kostek.

Dmitrij, bez zbędnych słów, chwytam mnie za kark, zmusza mnie, bym wypięła się na blacie i wbija moją twarz w marmur. Gdy stanowczym kopniakiem rozszerza mi nogi, zaciskam powieki i tłumię szloch.

Tak naprawdę nie chodzi mu o penetrację. Zależy mu na wymierzeniu kary.

Przy tej chłości tamta poprzednia, z piwnicznego lochu, jest dziecięcą igraszką.

Razy spadają na moje obnażone plecy z nieokiełznanym barbarzyństwem, a każdemu towarzyszy jego syczące warknięcie. Podskakuję i krzyczę po każdym ukąszeniu biczem. Skóra zaczyna płonąć, więc krzyczę coraz głośniej. Ból jest tak wielki, że wytworzył własną atmosferę, własną temperaturę i własny ciężar. Mogę tylko mu ulec i próbować wytrwać, choć wydaje się, że cierpienia w rozpalonym do białości ośrodku bólu nie uda się przeżyć. Po jednej szczególnie brutalnej salwie uderzeń w moje udo jestem pewna, że lada moment zemdleję z udręki.

Ale wtedy nadchodzi koniec.

Mój kat odsuwa się o kilka kroków, ciężko dysząc.

Zsuwam się z blatu i spadam na zimny marmur, na jego śnieżnobiałej powierzchni pojawiły się czerwone krople mojej krwi.

– Uroczystość odbędzie się jutro o zachodzie słońca – mówi, łapiąc oddech. – Zadbaj o wypoczynek. Czeka cię długa noc poślubna.

Gdy podnoszę głowę i patrzę na niego zażawionymi oczyma, dostrzegam w jego twarzy wyraz triumfu. Obraca się i wychodzi, jego ramiona błyszczą potem, idzie niepewnie, bat ściska w ręce tak mocno, że pobielają mu knykcie.

Niema pokojówka znajduje mnie na podłodze, gdzie leżę targana konwulsjami. Ściąga ręcznik z wieszaka i mnie nim nakrywa, a potem klęka obok i układa sobie moją głowę na kolanach. Gdy patrzę jej w oczy, dostrzegam w nich bezmiar litości.

Chcę jej powiedzieć, by mnie nie żałowała, bo będzie znacznie gorzej, lecz po prostu przemykam oczy i kwilę, pozwalając, by marmur spijał moją krew.

Dziewczyna robi, co może, by wyczyścić moją skórę chłodnymi szmatkami i zapewnić mi wygodę. Jej dłonie są delikatne, lecz gdy moje jęki stają się zbyt żałosne, musi przestać. Odmawiam, gdy proponuje coś na ból.

Dopóki nie porozmawiam z lekarzem, nie mogę nic przyjmować.

Dziecko. Dziecko Naza. *Nasze* dziecko. Radość, że jakaś część mojego mężczyzny przetrwa, niemalże wygasa przez świadomość, w jakim piekle przyjdzie na świat nasze dziecko.

Jego mama będzie niewolnicą, a ono zakładnikiem.

Albo jeszcze gorzej.

Mój umysł umyka od najczarniejszych wizji, a potem nieustannie do nich wraca. Kręci się wokół nich, muska je niczym język bolący ząb.

Jak Dmitrij potraktuje dziecko? Zwłaszcza cudze?

Zwłaszcza *dziewczynkę*? Boże drogi, co jeśli urodzę tu dziewczynkę?

Na samą myśl przechodzi mnie dreszcz, ale nie mogę ryzykować kolejnej ucieczki, ponieważ w razie fiaska, ceną będzie życie mojego dziecka. Nie dostanę też drugiej szansy zabicia Dmitrija. Teraz, gdy już wie, jak ostre mam pazury, będzie na mnie uważał. Już nie opuści przy mnie gardy, więcej nie popełni tego samego błędu, nie zlekceważy mnie.

Nie mogę dopuścić, by dziecko urodziło się w tym koszmarze, ale nie mam żadnej nadziei. Jej całkowity brak jest niczym swędząca pustka wewnątrz jaźni. Moja nadzieja została zdeptana, brutalnie wykorzeniona. Baśń zamieniła się w horror, bo zły potwór, który powinien zostać zasieczony, zabił księcia, porwał księżniczkę i jeszcze spalił cały zamek.

Dziewczyna pomaga mi dostać się do łóżka. Padam na nie oszołomiona, ledwie zauważam, gdy wychodzi. Leżę na brzuchu z twarzą zakopaną w poduszkach, a wychłostana skóra pali, kiedy młoda kobieta wraca z lodem i maścią. Gdy przykładła zimne kostki do skóry, syczę i mam ochotę się wyrwać, ale zmuszam się do bezruchu, zaciskając w garściach koc.

Kiedy kończy okładać lodem moje plecy, pośladki i uda, nie jestem już w stanie walczyć ze spowijającą mnie czernią. Osuwam się w ciemność, wyszeptując błagalnie imię Naza.

Jutro dzień mojego ślubu.

I zarazem pogrzebu wszystkich marzeń, jakie ośmieliłam się mieć.

ROZDZIAŁ 16

Eva

Przychodzi rano. A wraz z nim mdłości, przez które zataczam się do łazienki i wymiotuję do toalety.

I wymiotuję.

To nie są zwyczajne poranne mdłości. To również choroba serca. Choroba *duszy*. Jestem chora do szpiku kości.

Dzień wstał pod złowrogim sztandarem burzy z piorunami. Złowrogim, lecz jak najbardziej stosownym. Stoję przy oknie i patrzę na rozbłyskujące niebo. Chmury są ołowianoszare i przyduszające, wiszą nisko nad ziemią i plują deszczem. Raz za razem przedzierają się przez nie zakrzywione, białe błyskawice. Basowe huki grzmotów wprawiają szyby w drżenie. Powietrze wzbogacają zapachy deszczu i ozonu.

W powietrzu czuć coś jeszcze, ale nie jestem w stanie tego określić. Coś naładowanego. Czujnego. Czuję to pod moim strachem, czuję to wokoło. To coś mrocznego, naprężonego i wyczekującego, jak wstrzymany oddech.

Gdy Stefan wpuszcza do apartamentu pokojówkę, dostrzegam to również w jego oczach. W jej niepewnych ruchach, w delikatnym drżeniu jej dłoni, gdy pomaga mi się umyć i ubrać. W zaciśniętych ustach i ściągniętych brwiach tęgiej siwowłosej kobiety, która przynosi mi śniadanie na srebrnej tacy, a raczej wwozi na wózku z lnianymi serwetkami i jedną czerwoną różą z nieprzyciętą łodygą.

Kiedy jej dziękuję, odpowiada po niemiecku, nie podnosząc wzroku.

– Nie ma za co, proszę pani.

Poznaję jej głos. To Astrid z interkomu. Przyjazna kobieta z kuchni, która dziś gdzieś zatraciła tę przyjacielskość.

Jej postawa ma mnie odstraszyć od prób nawiązania swobodnej pogawędki. Nie wiem, czym personel jest tak wystraszony, aż wzmaga to moją ciekawość, ale mam tyle na problemów na głowie, że odpuszczam i nie drążę.

Kilka godzin po tym, jak zabierają nietknięte śniadanie, zaczynają zjeżdżać się furgonetki.

Spoglądam na nie z daleka, snują się krętym podjazdem niczym kondukt żałobny, brną wolno naprzód z włączonymi światłami. Moje okno jest kiepskim punktem obserwacyjnym, mogę z niego zobaczyć tylko kawałek trawnika i wybrukowanego podjazdu, ale gdy samochody wykonują skręt, po którym znikają mi z oczu, mam okazję dostrzec loga na ich karoseriach.

Wszystkie słowa są po polsku. Nie rozumiem ich.

Florystyka. Ciasto. Żywność.

Choć niezrozumiałe, przepełniają zimnych strachem.

Mijają godziny. Nikt nie przychodzi. Burza jest coraz silniejsza, okłada okna deszczem, zawodzący wichry wygina drzewa. Dzień umyka, robi się ciemno. Mam wrażenie, że zaginęłam w czasie, zostałam zapomniana, utknęłam w moim nędznym więzieniu w jakimś porzuconym zakamarku świata.

A potem odnaleziona.

Zrywam się na dźwięk stukania w drzwi. Chodziłam w tę i we w tę pod oknami, zatopiona w myślach, lecz teraz obracam się gwałtownie, z bijącym sercem

– Tak?

Stefan przekręca klucz i otwiera szeroko drzwi. Do środka wchodzi nieznanym mi kobietom. Są młode, szczupłe, ubrane na czarno, mają przesadny makijaż i zbyt mocno pachną perfumami. Trzymają identyczne, białe otwierane pudełka, przypominające rybackie skrzynki na przynętę.

Stefan trzyma długi pokrowiec na strój, mniejszy połyskujący niebieski worek, z uszami ze wstążki, a także kwadratowe pudełko z czarnego weluru rozmiaru książki. Przygląda mi się przez chwilę,

po czym wieszka pokrowiec na oparciu najbliższego krzesła, pudełko i niebieski worek kładzie na stoliczku, po czym wychodzi bez słowa.

Wiem, że nie wymyślam sobie, że ma napięte ramiona, że patrzył na mnie wymownie. Narastająca panika także nie jest wytworem mojej wyobraźni.

Doskonale wiem, co jest w tym wybrzuszonym pokrowcu. Pokrowcu przygotowanym specjalnie na dziś, bo musiał pomieścić całe metry jedwabi, koronek i upokorzenia.

Dziewczyny zaczynają do mnie trąkotać. Po polsku.

– Nie rozumiem – mówię, kręcąc głową.

Patrzą po sobie, potem zmuszają mnie gestami, bym usiadła na krawędzi łóżka i lekko popychają. Czarnowłosa z niskim kokiem na głowie otwiera swoją skrzynkę, ujawniając jej wnętrze, czyli cały arsenał kolorowych tubek, buteleczek, pędzelków i tuszy. Druga dziewczyna bierze się za rozczesywanie moich włosów.

Siadam... choć mój tyłek tętni bólem... i oddycham płytko, tymczasem one dokonują mojej transformacji.

Skończywszy, ta z kokiem przystawia lusterko do mojej twarzy. Mam ochotę parsknąć śmiechem, ale rozbawienie ulega przerażeniu. Jestem tak umalowana, że ledwie się poznaję, mam przesadzone kocie oczy, teatralne rumieńce na policzkach, wyraźnie zaznaczone dołki w policzkach. Czerwone usta wyglądają niczym krwawa szrama na twarzy, upiornie kontrastują z bladą cerą. Wyglądam jak stereotypowe wyobrażenie XIX-wiecznej ulicznicy, która w rozpacz przemierza mroczne zaułki Montmartre.

Makijażystkom udało się jako tako zakamuflować siniaki wokół szwów pod okiem, ale z opuchlizną ani samymi nierównymi szwami wykonanymi czarną nicią, rodem z Frankenstein, nie udało się już nic zrobić. Moja rana została zszyta po łebkach i zostanie mi po niej paskudna blizna.

Kolejna w coraz bogatszej kolekcji.

Wychodzą, więc Stefan wpuszcza pokojówkę, by pomogła mi się ubrać. Tym razem unika mojego wzroku i szybko zamyka drzwi.

Gdy dziewczyna rozpina pokrowiec, ten wybucha bielą, wyrzuca koronkową wytworność z głębi swych trzewi. Patrząc na suknię i welon z nienawiścią i pogardą, zmuszam się, by nie rozszarpać ich na strzępy zębami.

Pokojówka stoi przez chwilę z pełną żalu miną, wykręcając dłonie.

– W porządku – zwracam się do niej, choć to wierutne kłamstwo. – Miejmy to za sobą.

Przypominam sobie, że dokładnie to samo powiedziałam Władowi. Miejmy to za sobą, to zapewne moje nowe motto. Załatwmy jedną koszmarną rzecz, żebym mogła się zająć kolejką innych koszmarnych rzeczy.

Welon przywdziewam przy akompaniamencie grzmotów odbijających się echem od ołowianej kopuły nieba. Rozbłyskują błyskawice. Deszcz spływa po oknach niczym płacz. Ale w końcu stoję przed lustrem w łazience i gapię się na własne odbicie z mieszanką odrazy i przerażenia, która jest tak mocna, że na kilka minut odbiera mi mowę.

To profanacja, że wychodzę za Dmitrija, a nie za Naza.

To tak złe, że aż brak mi słów.

Dziewczyna przynosi niebieski worek i czarne pudełko zostawione przez Stefana. Z worka wyciąga parę eleganckich, ozdobionych kryształami sandałów na wysokim obcasie. Nie wiem, jakim cudem Dmitrij liczy, że dam radę w nich chodzić, biorąc pod uwagę żalostny stan moich nóg. Wątpię, bym zdołała zachować równowagę.

Czarne pudełko skrywa spektakularny, brylantowy naszyjnik i kolczyki do kompletu. Gdy pokojówka zapina naszyjnik na mojej szyi, klejnoty lśnią lodowatym pięknem. Patrząc na ich efektowny wygląd, ale nic nie czuję.

A więc tak wygląda piekło. Grzmoty, pioruny, niebo roniące łzy, jedwabie, brylanty i diabeł wyczekujący, by poprowadzić cię ku pustkowiu.

– Myślałam, że będzie cieplej... – dumam na głos i bezwiednie dotykam wielkiego kamienia, który usadowił się we wgłębieniu nad moimi obojczykami.

Dziewczyna zerka na mnie dziwnie. Nie zaprzęgam sobie głowy wyjaśnieniami.
Do pokoju wchodzi jeszcze jedna służąca, wręcza mi bukiet białych róż.
Czas zaczynać.

To Stefan wie mnie zimnymi, milczącymi korytarzami posiadłości, kroczy przede mną, jakby prowadził mnie do zarezerwowanego stolika w restauracji. Albo raczej do celi śmierci. Przebrał się w garnitur z krawatem w ponurej czerni. Jak na pogrzeb, co wydaje mi się wisielczo zabawne.

Człapię za nim rozbita żalobą, w tej wyciszzonej hysterii, która może eksplodować, jeśli tylko wezmę jeden zbyt głęboki wdech.

Krzyki ugrzęzły mi w gardle. Bukiet drży mi w dłoniach. Z każdym krokiem jestem nieco bardziej postrzępiona na krawędziach.

Moje plecy wyglądają jak mięso mielone, więc pokojówka musiała wykorzystać całą paczkę gazików, żeby krew nie przesączała się przez suknię. Szkoda, wyglądałabym uczciwiej. Wszyscy mogliby zobaczyć, co Dmitrij ze mną zrobił. Że zamienił mnie w jedną wielką otwartą ranę. Pokazał mi, że jestem głupiutkim ptaszkiem, który myślał, że może wyfrunąć z klatki i połamał sobie skrzydełka.

Nie jesteś złamana, jesteś tylko wygięta.

Tabby powiedziała to wieki temu, ale wciąż pamiętam te słowa. Myślę, że gdyby zobaczyła mnie teraz, zmieniłaby zdanie.

Skręcamy i otwiera się przed nami salon. Jest wypełniony po brzegi wazonami ze świeżymi liliami casablanca, można zemdleć od ich obezwładniająco słodkiego zapachu. Gdybym miała cokolwiek w żołądku, właśnie zabrudziłabym tym wypolerowany na błysk parkiet.

Na widok Dmitrija rozmawiającego przy kominku z księdzem mięknię mi kolana.

Dmitrij, podobnie jak Stefan, jest ubrany cały na czarno, lecz w przeciwieństwie do Stefana podpira się ciężko na lasce. Widok tej laski jest niczym otrzewiający policzek dla mojej duszy. Musi być naprawdę poważnie ranny, skoro pozwolił sobie na publiczne wystąpienie w stanie odstającym od ideału pełnej kontroli.

Musi być poważnie ranny.

Przypominam sobie, jak wyglądał wczoraj jego brzuch, gdy lekarz oczyszczał ranę, widzę oczyma wyobraźni ten obrzydliwy woskowato-siny „ser” obrastający ranę, i doświadczam chwili tak silnego, gorącego uniesienia, że spomiędzy moich warg wyrwa się westchnięcie radości.

Jego rana postrzałowa jest zainfekowana. Może ta na szyi też. Jeżeli nie przyjmuje właściwych antybiotyków albo przyjmuje ich za mało... grozi mu śmierć.

Dmitrij jest właśnie takim arogantem, który mógłby się upierać, że w ogóle nie potrzebuje antybiotyków. Przecież rany na bogach goją się same...

Odwraca się na dźwięk mojego westchnięcia, to właśnie wtedy moja dusza niemal wyskakuje z ciała ze strachu.

Lewa strona jego twarzy, tam gdzie trafiłam pogrzebaczem, jest obrosnięta jaskrawą fioletowo-siną opuchlizną. Jego gardło, tuż nad sztywnym kołnierzykiem eleganckiej koszuli, też jest nabrzmiące, ale bardziej groteskowo, jakby miał tam nabrzmiącego guza. Opatrunek zakrywający miejsce, w którym go dźgnęłam, wygląda jak maleńki kwadracik sterylnej bieli niknący pośród objawów poważnych problemów zdrowotnych.

Bardzo poważnych.

Mój śmiech wydał się bardzo głośny w otaczającej nas głuchej ciszy.

– Miło mi cię widzieć w tak świetnym humorze – mówi przez zaciśnięte zęby, z morderczym spojrzeniem. – Przywlecz tu swoje dupsko.

Mówi z trudem, siermiężnie. Zapewne ma też opuchnięty język. Mam nadzieję, że spuchnie mu też mózg i wypłynie kanałami usznymi.

Podchodzę do niego powoli, ze skromnie spuszczonego wzrokiem. Śmiech był błędem, ale nie mogłam się powstrzymać. Muszę być ostrożniejsza. Drapieźnicy alfa są śmiertelnie groźni pomimo ciężkich ran.

Gdy zbliżam się na odpowiednią odległość, łapie mnie za rękę i przyciąga do siebie, wachając moją szyję jak wilk.

– Jak ci się podoba prezent ślubny? – Wskazuje podbródkiem na brylantowy naszyjnik.

– Piękny – odpowiadam, nie podnosząc wzroku. A potem, jakby odpowiedź nie była zupełnie oczywista, jakbym nie była przyczyną jego ran i siniaków, pytam niewinnie: – Czy źle się czujesz?

Dmitrij wydaje z siebie coś jakby warkot, zwróciwszy, lekceważący odgłos.

– Lekarz orzekł, że niepoprawnie przyjmowałem insulinę. Ale co ten kretyń wie?

Naturalnie, sądzę, że po zdobyciu dyplomu medycyny człowiek nie ma bladego pojęcia o funkcjonowaniu ludzkiego ciała. Dmitrij nigdy w pełni nie pogodził się z diagnozą cukrzycy, choć choruje na nią, odkąd go znam. Kiedyś to ja musiałam robić mu codzienne zastrzyki. Ciekawe, kto je wykonywał pod moją nieobecność.

Ciekawe, czy ktokolwiek je wykonywał...

Boże w niebiesiech, mam nadzieję, że nie.

Bez dalszych uwag odnośnie do swojego stanu zdrowia, Dmitrij odwraca się do księdza, podaje mu dwie złote obrączki i mówi:

– Zaczynamy.

Moja krew zamienia się w kwas, a panika powraca, pałając żądzą zemsty, roznosząc w puch chwilowy spokój. To wszystko jest złe, tak bardzo złe, w każdym aspekcie. To nie może dziać się naprawdę. To tylko senny koszmar, straszny koszmar i wystarczy, że się obudzę.

Obudź się!

Ksiądz, brodaty starzec w ciężkich fioletowo-złoty szatach, z opadającym na chudy mostek złotym, misternym krzyżem, spoziera na mnie z niepokojem. Niemniej ma dość oleju w głowie, żeby nie komentować mojego wyglądu, i pośpiesznie przenosi spojrzenie na salę, jakby szukał tam pomocy.

– Świadkowie?

Stefan występuje spośród zebranych i odchrząkuje.

– Tylko jeden? – pyta ksiądz, marszcząc brwi.

Przeciągły, pełen irytacji wydech Dmitrija nie pozostawia miejsca na dyskusje odnośnie do niezbędnej liczby świadków.

Ksiądz, rozumiejąc, że to nie jest zwyczajny ślub, a ja i Dmitrij nie jesteśmy zwykłą parą, robi, co może, by udawać, że wszystko jest w jak najlepszym porządku. *Tak, oczywiście, przecież codziennie łączę małżeńskim węzłem dwoje ludzi wyglądających jak ocalałe ofiary wypadku drogowego, w czasie pośpiesznie zaaranżowanej uroczystości, bez stawiennictwa rodziny i przyjaciół, do tego w zasnuwających całą salę oparach hysterii panny młodej.*

To zwykły dzień w służbie Pana.

Ksiądz rozpoczyna od pobłogosławienia obrączek, modli się nad nimi i nad naszymi zrękwoninami, a ja sterczę przed nim, hiperwentylując, cała krew odpłynęła mi z twarzy, oczy zaszczyły łzami. Wzbiera we mnie fala, tsunami udręki, które w każdej chwili może porwać mnie swoim lodowatym nurtem, wciągnąć pod wodę, zakrzusić i utopić.

Ksiądz mówi:

– Ojcze niebieski, obdarz te obrączki i ten związek swym świętym błogosławieństwem. Kroc przed tą parą we wszystkich dniach ich żywota, albowiem jesteś siłą, która uświęca każdą rzecz.

Wykonuje znak krzyża, potem wyciąga rękę i czeka, aż położę w niej dłoń, by mógł nasunąć obrączkę na mój palec.

Podczas tradycyjnych prawosławnych ślubów, to ksiądz zakłada obrączki państwu młodemu. To pierwsza część ceremonii, potem przychodzi czas nałożenia koron młodej parze i zapalenia świec, a następnie picia ze wspólnego kielicha, dalszych modłów i błogosławieństw. Ceremonia jest bardzo rozbudowana i zrytualizowana, pełna symboli i prastarych tradycji, natomiast wygląda na to, że my mamy „domową”, improwizowaną wersję, bo ksiądz pominął tę część, w której strony deklarują, że wstępują w związek małżeński dobrowolnie i z czystym sercem mogą zostać złączone przez Boga. Nie ma też świec, koron ani kielichów.

Czuję, że Dmitrij mnie obserwuje. Czuję to, gdy moje serce przyspiesza gorączkowo i gdy w

końcu pęka.

Unoszę dłoń, by podać ją księdzu, cała drży.

Naz. Kocham cię. Będę cię kochała do ostatniego tchu.

– Ojej... – Słyszę gdzieś zza pleców donośny głos, mówi po rosyjsku. – Mam nadzieję, że nie przeszkadzamy.

Obracamy się i widzimy, że w drzwiach tłoczy się grupa mężczyzn.

Wszyscy są wielcy i ubrani w drogie garnitury z najwyższej jakości wełny lub narzucone na szerokie barki futra. Bez wyjątku krzepcy i brodaci, mniej więcej między czterdziestką a sześćdziesiątką, wypełniają całe pomieszczenie groźną aurą siły.

Mężczyzna stojący na ich czele odzywa się ponownie, tym samym głębokim, donośnym głosem. Zachowuje się swobodnie, lecz w jego oczach widać czarny błysk.

– Poczta musiała gdzieś zgubić moje zaproszenie.

Jest najstarszy z przybyłych, ale też najbardziej majestatyczny. Ma poprzetykaną siwizną rdzawą brodę. Mógłby przygwoździć człowieka do ściany mocą samego spojrzenia. Na każdym knykcium ma inny tatuaż: czaszki, kwiaty, litery.

Widziałam już podobne tatuaże, ale nie pamiętam gdzie.

Jestem zbyt przerażona, żeby sobie teraz przypomnieć.

– Pakhan – rzuca krótko Dmitrij, brzmi na zaskoczzonego i dalekiego od zachwyty. A potem przełyka ślinę.

Przełyka ślinę.

Ksiądz wydaje odgłos, jakby właśnie zabrudził sobie zapewne też poślacaną bieliznę.

Lecz to jak najbardziej właściwa reakcja na niespodziewane zjawienie się na uroczystości ojca chrzestnego rosyjskiej mafii, wraz z wszystkimi najważniejszymi podkomendnymi.

ROZDZIAŁ 17

Eva

Pakhan i jego kapitanowie wkraczają do pokoju z nieśpieszną swobodą, przynosząc ze sobą aromat deszczu, mokrych futer, cygar i wody kolońskiej, a także niezdefiniowany mrok, drażniący nos feromon wydzielany przez mężczyzn, którzy na co dzień zajmują się przemocą.

Skamieniałam w miejscu, zaniemówiłam ze zdziwienia i ogłupiałam ze strachu. Żyłam z Dmitrijem w Rosji tyle lat, ale pakhan nigdy go nie odwiedzał. A teraz jest tutaj? W Polsce?

Na naszym ślubie?

Dmitrija przytłoczyło to chyba równie mocno. Przyglądza włosy dłonią, to jego nieświadomy odruch, zawsze tak robi, gdy jest czymś poruszony.

Pakhan przystaje kilka kroków od nas i mierzy Dmitrija nieprzeniknionym spojrzeniem, w kącikach ust gościa tańczy drobny uśmieszek. Myślę, że był niegdyś przystojny, ale życie – oraz cała ta śmierć, którą musiał widzieć na własne oczy – wyostrzyło i utwardziło rysy jego twarzy. Zahartowało je, wygląda teraz jak wielowiekowa skała.

Nie ujęło mu to jednak ani odrobiny nadzwyczajnej siły.

Wyciąga ozdobioną sygnietami dłoń, Dmitrij kłania się i ją całuje, a gdy się podnosi, pakhan zerka na mnie bystro.

– Byłeś zajęty. – W jego głosie pobrzmiewa niebezpieczna nuta.

– Zaprosiłbym cię, naturalnie, ale zeszedliśmy się dopiero niedawno – odpowiada Dmitrij, siląc się na spokój. – Planuję duże wesele, żeby świętować razem ze wszystkimi, za jakiś miesiąc...

– Nie mówiłem o ślubie.

Lodowate słowa pakhana uciszają Dmitrija. W pokoju narasta napięcie. Pakhan pozwala swoim słowom unosić się w powietrzu, po czym dodaje nieco łagodniej:

– Dmitrij, przedstaw mnie pannie młodej.

– Oczywiście – mamrocze ewidentnie zbity z pantafelki mężczyzna. – Pakhanie, to Evalina. Evalino, oto...

– Wiem, kim jesteś.

Pakhan unosi brwi, zaskoczony, że się wtrąciłam. Jego spojrzenie nabiera ostrości.

– Czyżby? – pyta i zwraca się bokiem do swoich ludzi. – Reputacja mnie wyprzedza.

Wszyscy rechoczą, brzmi to, jakby całe gniazdo grzechotników zaczęło na raz potrząsać ogonami.

Czuję, że Dmitrij patrzy na mnie ze złością, milcząco grozi, że mam się przymknąć, bo posmakuję jego gniewu, ale ja zwietrzyłam zapach łowów i mknę galopem ku zdobyczy.

Bo tym razem to nie ja jestem zwierzyną.

Patrzę więc bezpośrednio na pakhana i mówię:

– Tak. To ciebie Dmitrij nazywa tłustym durniem.

Wszyscy mężczyźni zamierają. Pakhan spogląda mi w oczy, jego drobny uśmieszek zniknął. Patrząc na niego, mam wrażenie, że patrzę w otchłań.

Za moimi plecami ksiądz cicho zakwilił.

Dmitrij zaciska dłoń na mojej ręce.

– Wybacz nam, pakhanie – syczy. – To oczywiście nieprawda. Evalina źle się czuje. Jak widzisz, doznała urazu głowy.

Pakhan, ignorując go, zwraca się do Stefana, który stoi dokładnie w tym samym miejscu, które zajął, gdy przyszedliśmy. Nieco na uboczu, ale blisko wydarzeń. Jego zielone oczy płoną.

– To o niej mówiłeś? – pyta szczerze zmieszany pakhan.

Stefan kiwa głową.

– Jest prostą dziewczyną?

To zasadne pytanie. Tylko nierozgarnięta prostytutka – ewentualnie samobójczyni – ośmieliłaby się cisnąć takimi słowami w twarz ojca chrzestnego.

Albo kobieta, która nie ma już nic do stracenia.

Stefan kieruje na mnie spojrzenie i odpowiada cicho:

– Nie. Ma serce lwicy.

Dmitrij patrzy ostro to na mnie, to na niego i natychmiast się domyśla, że Stefana łączą nieznanemu relacje nie tylko ze mną, ale i z pakhanem.

Stefan jest kimś znacznie więcej niż tylko ochroniarzem. Jest szpiegiem ojca chrzestnego.

Furia Dmitrija jest wyczuwalna, ryczy w nim żądza krwawego mordy, łaknie skalpów i zemsty, ale może tylko stać, cichy, bezsilny i patrzeć, jak wszystko obraca się w ruinę.

Pakhan ponownie mi się przygląda, ściąga krzaczaste brwi nad zmrużonymi oczyma.

– Serce lwicy – powtarza z namysłem, jakby spodobało mu się to określenie. Wyciąga rękę i muska mój policzek zrogowaciałymi nypkami.

Nachodzi mnie trwoźna myśl, że oto awansowałam z wybranki księcia mafii na wybrankę króla, lecz wtedy pakhan pyta łagodnie:

– Powiedz, piękna, co ci się stało w twarz?

– Dmitrij pobił mnie pistoletem.

Mój kat natychmiast przechodzi do hardej obrony.

– Mogę robić z moimi kobietami, co zechcę – rzuca do swojego przełożonego.

Pakhan delikatnie unosi moją twarz, obraca ją to w lewo, to w prawo, przygląda mi się uważnie, jak jubiler oglądający przez lupę klejnot lub dzieło sztuki, nad którego kupnem się zastanawia.

– Owszem – stwierdza – ale oszpecenie takiej twarzy, jest jak zamachnięcie się młotem na Dawida Michała Anioła. A ta złamana ręką? – pyta mnie.

– Zepchnął mnie ze schodów.

– Hmmrrrr. Jak można tak kretyńsko traktować taki skarb.

Szczypie mnie w brodę, jak dziadek wnuczkę, a potem posyła Dmitrijowi tak intensywne spojrzenie, że gdyby wymierzył je we mnie, padłabym trupem na miejscu.

– Jakich jeszcze kretynizmów się dopuściłeś, Dmitrij?

To pułapka i sadysta stojący obok mnie doskonale o tym wie. Jego twarz bieleje, a usta rozwierają się i zamykają jak u duszącej się ryby.

– Ja... Ja...

– Co „ja”? – Pakhan ze spokojem wypełnia pauzę między jego kolejnymi jęknięciami. – Byłem nielojalny? Defraudowałem pieniądze? Przyciągnąłem uwagę policji, niezdarnie rozrucając wszędzie dookoła trupy?

– Nie...

– Nie? – powtarza pakhan głośnie. – Zakładam też, że nie wydałeś pieniędzy, które przede mną ukryłeś na zakup nieruchomości w tym zapomnianym przez Boga kraju poprzez fikcyjną korporację i wcale nie chciałeś tu tych pieniędzy ukryć?

Dmitrij się poci. Zaczyna gorączkowo oddychać. Jego krtań pracuje, jakby groziło mu połknięcie własnego języka.

Pakhan zbliża się kolejny krok.

– I na koniec, co jednak najważniejsze, wnioskuję, że wcale nie próbowałeś sprzedać broni, przez którą wszyscy nagle zwróciliby uwagę na Rosję? Bo przecież każdy, kto dokonałby takiej transakcji, wiedziałby, że gdyby gdzieś na świecie doszło do ataku jądrowego, to biegli szybko by ustalili nie tylko, skąd owa broń została wystrzelona, ale też gdzie zbudowana. Wiedzialby też na pewno, kogo rosyjskie władze od razu wzięłyby pod lupę, biorąc pod uwagę moją... jakby to ująć... dominację na międzynarodowym rynku nielegalnej broni. A gdyby objęły mnie śledztwem, to trafiłyby na bardzo ciekawe koneksje łączące mnie z wojskiem, a to z nawiązką wystarczyłoby im, żeby mnie powiesić.

Pakhan wyciąga ręce i poprawia Dmitrijowi klapy marynarki, jedną wygładza, z drugiej wyrzywa wystającą nić. Następnie kontynuuje łagodnym, pełnym namysłu tonem.

– Tak się zastanawiam... Skoro nie masz z tym nic wspólnego, to dlaczego w wyłożonym łożem kontenerze, który miał zostać wyładowany ze statku w jednym z portów nad Zatoką Omańską, znaleźliśmy głowicę UR-100? I dlaczego zarówno kontener, jak i statek... dzięki gruntownemu przekonywaniu wielu osób, nie będę zanudzał cię szczegółami... udało się powiązać bezpośrednio... z tobą?

Dmitrij stoi sztywno, szybko oddychając, i czeka na cios topora, bo już wie, że go nie uniknie.

– Zachciało ci się uzurpacji – stwierdza pakhan łagodnie.

– Ja... nigdy w życiu bym... – wykrztusza z trudem Dmitrij, ale pakhan natychmiast mu przerywa.

– Zabierzcie go!

Polecenie zostaje wypełnione w mgnieniu oka, przypomina to karmienie wygłodniałych rekinów w basenie.

W jednej chwili Dmitrij stoi obok mnie, w następnej obskakuje go chmara drapieżników, którzy wywlekają go, krzyczącego i wierzgającego kończynami, do pokoju obok. Na chwile jego krzyki przybierają na sile, ale szybko zagłuszają je wystrzały z broni.

Trzy wystrzały, by być precyzyjnym.

Ksiądz przy każdym podskakuje i kwili ze strachu.

Po chwili kapitanowie pakhana wracają leniwie do salonu, jakby przed chwilą zakończyli piknik. Są zwaliści i posepni, ustawiając się w szeregu za swoim szefem.

Potem wszyscy patrzą na mnie.

Podobnie pakhan, który bierze się pod boki i mówi:

– A co my zrobimy z tobą?

Przytłoczony tym wszystkim ksiądz w końcu pozwala sobie na omdlenie. Zwała się na podłogę i leży nieruchomo, może nawet umarł.

Wieść, że pakhan jest w posiadaniu zaginionej atomówki, przypuszczalnie oszałamia mnie jeszcze bardziej niż nagle wyprawionego z tego świata Dmitrija. Wnioskując po jego opinii, że w razie sprzedaży tej broni wszystkie oczy zwróciłyby się na niego, można założyć, że atomówka nadal będzie „zaginiona”.

Szczęście w nieszczęściu. Zaraz pewnie odstrzelą mi głowę, ale przynajmniej Wenezuela nie dostanie wymarzonej broni, a miliony mieszkańców Florydy będą mogły nadal spokojnie żyć w swojej duszącej wilgoci i pracować nad opalenizną.

Mój własny głos dochodzi do mnie jakby z bardzo daleka.

– Pozwolisz mi odejść i żyć własnym życiem.

Kapitanowie uznają to za żart. Rechoczą, zerkając na siebie z uciechą i kręcą głowami. Ale pakhan patrzy na mnie bez słowa.

– A dlaczego miałbym to zrobić, piękna? Masz po co żyć?

Jest jak kot, bawiący się z ofiarą, albo naprawdę waży mój los, zastanawia się, co zrobić.

Za dużo wiem. Za dużo widziałam, przed chwilą byłam świadkiem egzekucji. Z jego punktu widzenia najpewniej mam za dużo dowodów i kiedyś może mnie najść ochota, by podzielić się nimi z policją.

Więc jeżeli zamierzam coś powiedzieć, to muszę być na tyle przekonująca, by przechylić szalę na moją korzyść.

To dziwaczne, ale w mojej głowie pojawia się scena z filmu. Pochodzi z Narzeczonej dla księcia, filmu, który często cytowaliśmy z Nazem. Baśni o chłopaku, który kochał dziewczynę tak mocno, że dzięki dwóm słowom ubłagał o litość chcącego zabić go pirata. Dzięki dwóm prostym słowom, które zawróciły bieg koła fortuny. Dwóm prostym słowom prawdy.

Oczy zachodzą mi łzami:

– Prawdziwa miłość.

Pakhan robi krzywą minę.

– Bez dwóch zdań to prosta dziewczyna – zwraca się kwaśno do Stefana.

– Nie. – Stefan stawia krok naprzód i staje obok mnie. Spogląda na pakhana z szacunkiem, lecz

bez cienia strachu. – Jest w ciąży. Ale nie z Dmitrijem – mówi.

Mężczyźni wydają z siebie szmer zaskoczenia.

– Dmitrij zabił ojca tego dziecka – wyjaśnia dalej Stefan. – W Wiedniu, w tej głośniejszej strzelaninie.

Potem ją porwał i tu przywiózł.

Na pobrużdżonej twarzy pakhana pojawia się cień zrozumienia. Oczywiście wiedział, co zaszło w Wiedniu, ale dopiero teraz usłyszał dlaczego.

Zapada cisza, najdłuższa w moim życiu. Widzę, jak za oczami ojca chrzestnego obracają się tryby rozumu, widzę, że jego ludzie zaczynają się niecierpliwić. Chcą jak najszybciej pozbyć się ciężarnej i zdążyć na podwieczorek.

– Poręczę za nią – przerywa w końcu ciszę Stefan.

Na te słowa wszyscy mrugają z niedowierzaniem. Wszyscy z wyjątkiem pakhana, który zaczął patrzeć z nieco mniejszą pogardą dla mojego intelektu, choć wciąż z miną daleką od podziwu.

– Ja również – odzywa się cichutki głos gdzieś z tyłu.

Wszyscy się odwracają. W korytarzu stoi Astrid, siwowłosa kucharka, a obok niej niema pokojówka, której imienia nikt mi nie wyjawiał. Trzymają się siebie nawzajem z widocznym przerażeniem, bo wiedzą, kim są ci mężczyźni i co przed chwilą zrobili, lecz stoją wyprostowane i z dumnie uniesionymi, choć drżącymi podbródkami.

Ich odwaga mnie zdumiewa.

Pokojówka zaczyna poruszać szybko dłońmi, zwracając się w języku migowym do Astrid, która od razu tłumaczy:

– Nadia też. Ta kobieta – tu wskazuje na mnie – nie była partnerką Dmitrija, lecz jego ofiarą, a dla nas była dobra.

– Służące nie mogą za nikogo ręczyć – orzeka jeden z kapitanów, przewracając oczami.

– A ja nie jestem niczyją ofiarą – wtrącam nieco zbyt głośno.

Teraz wszyscy odwracają się do mnie, lecz ja patrzę tylko na pakhana, podejmując ostatnią, rozpaczliwą szansę ocalenia życia mojego i dziecka.

Sama będę sobie rycerzem w lśniącej zbroi.

– A przynajmniej nie będę, jeśli mnie puścisz. Jeżeli przyjdzie mi zapłacić krwią za grzechy Dmitrija, rzeczywiście spadnę do roli ofiary. On właśnie taką przyszłość dla mnie przewidział, tego chciał. Próbował odebrać mi wszystko. Głos. Wolność. Szacunek do samej siebie. Chciał, bym się przed nim płaszczyła, bym go czciła, ale ja nie zamierzałam tego robić. Lecz jeśli... jeśli zdecydujesz...

Na moment przerywam, bo muszę zaczerpnąć tchu.

– Jeżeli postanowisz, że muszę, że musimy zginąć razem z nim, Dmitrij wygra. – Mój głos twardnieje z nienawiści. – A ten żaloszny bydlak nie zasługuje na żadne zwycięstwo.

W ułamku sekundy poprzedzającym pojawienie się uśmiechu na ustach pakhana, całe światy zdążyły się narodzić, zginąć i znów powstać z popiołów.

– Szkoda, że nie jesteś mężczyzną. – Rechocze. – Przydałby mi się ktoś taki.

Trudno o większy komplement z ust szefa mafii. Nagle poważnieje i prostuje plecy, urastając do swych normalnych, imponujących rozmiarów.

– Podaj mi pełne nazwisko.

– Evalina Nikołajewna Pietrowna.

Nie waham się ani na moment, bo boję się, że teraz każde zajknięcie może zostać odebrane jako brak szacunku. Od lat nie posługiwałam się prawdziwym nazwiskiem... tak długo musiałam korzystać z nazwiska Dmitrija... ale czuję się z nim całkowicie naturalnie. Czuję wręcz słodką ulgę, jakbym pozbyła się ciasnego gorsetu, jak wąż, który zrzucił starą skórę.

– Skąd pochodzi twoja rodzina?

– Z Kiriszy. – Ponownie odpowiadam jak na apelu, choć nie mam pojęcia, do czego zmierza.

Pakhan kiwa głową i przeczesuje brodę dłońią.

– Byłem tam. Straszne zadupie.

– Tak. Moja rodzina żyła w biedzie.

Zbыва tę „ciekawostkę” niecierpliwym machnięciem ręki.

– Co tam, moja też. Bieda odsiewa silnych ludzi od słabeuszy. Jeżeli przetrwasz biedę, będziesz niezniszczalny. Twoi rodzice żyją?

– Nie, zmarli.

– Czyli ojciec nazywał się Nikołaj Pietrow. A matka?

Robi się coraz dziwniej, ale wiem, że stawia te pytania z jakiegoś powodu.

– Zofia – odpieram.

Przez chwilę trwa w zamyślonym milczeniu, gładząc się po brodzie. W końcu kiwa głową, jakby podjął decyzję.

– W porządku Evalino Nikołajewno, piękna mała lwico. Idź i żyj swoim życiem. Ale znam twoją twarz i dowiedziałem się o tobie tego i owego. Teraz mogę dowiedzieć się o tobie wszystkiego – oznajmia z powagą.

Zawieszają głos, żeby dobrze przyswoiła sobie jego ostrzeżenie. Stoję i czekam, nie śmiem oddychać.

– Wyjedź z Polski. Nie wracaj do Rosji. Nie kontaktuj się z nikim, kogo poznałaś przed tą chwilą. Twoja przeszłość odeszła. – Jego spojrzenie staje się coraz przenikliwsze. – I lepiej, bym nie usłyszał ani szeptu na twój temat. Znikniesz albo zapomnę, że byłem dziś w dobrym humorze. Zrozumiano?

To groźba i to mało subtelna. Skoro w dobrym humorze rozkazał zabić swojego człowieka, to wolę nie wiedzieć, co robi, gdy jest zły.

– Tak – szepczę, z trudem utrzymując równowagę. – Dziękuję, pakhanie.

Ponownie szczypie mnie w brodę. Myślę, że lubi kontrast tego dziadczynego gestu w stosunku do tego... kim naprawdę jest.

– Wszystko w tym domu należy do mnie, ale możesz zatrzymać te świecidełka – mówi, spoglądając na mój naszyjnik. – Jestem pewien, że pozwolą ci się urządzać, gdzie zechcesz. Stefan, zajmij się ciałem.

– Z przyjemnością, proszę pana.

Pakhan obraca się i wychodzi, jego ludzie podążają za nim.

Opuszczam posiadłość w tych samych dżinsach i T-shircie, w których tu przybyłam.

Buty mam nowe, zabrałam je z garderoby w apartamencie panny młodej. To para miękkich niczym maselko mokasynów dla kierowcy. Dmitrij zapewne kupił je ironicznie, bo za żadne skarby nie wpuściłby mnie za kółko. Wszystko inne pozostawiam nietknięte, jak kazał pakhan.

Wątpię, by sporządził inwentaryzację tego domostwa, ale nigdy nie wiadomo, nie zamierzam ryzykować. Od dziś muszę myśleć nie tylko o własnym bezpieczeństwie.

Po Astrid, Nadii i reszcie personelu nie było ani śladu, gdy Stefan uporał się z ciałem Dmitrija, cokolwiek z nim zrobił, i przyszedł zaproponować mi podwózkę do miasta.

– Do miasta? – powtarzam zdezorientowana.

Zerka na błyszczące wokół mojej szyi brylanty.

– Musisz je spieniężyć. Znam odpowiednie miejsce.

Kiedy wychodząc, mijamy jadalnię, zaginiony personel gromadzi się wokół długiego marmurowego stołu i pośpiesznie konsumuje chyba zamówione gdzieś z zewnątrz jedzenie. Na kredensie stoi piętrowy tort lodowy udekorowany lukrowymi kwiatami, jest nietknięty.

Zjedzenie tortu ślubnego, gdy pan młody został zastrzelony w samym środku ceremonii, zapewne przynosi pecha.

Wszyscy zatrzymują się na chwilę i na mnie patrzą. Nagle ktoś mówi cicho.

– Geh mit gott.

Idź z Bogiem.

To Astrid. Stoi przy końcu stołu obok Nadii, która przyłożyła rękę do serca i kiwa głową, chcąc przekazać mi to samo.

Nie chcę płakać, ale nic nie poradzę. Łzy już płyną, wzbierają w oczach i spływają po policzkach.

– Ty też, przyjaciółko. Ty też – odpowiadam po niemiecku.

Stefan ciągnie mnie za ramię i wychodzimy w burzę.

Do miasta jedziemy w ciszy. Nie ma o czym rozmawiać. Paser Stefana dał mi dobrą cenę za brylanty. Nie będę musiała martwić się o pieniądze jeszcze długo po zakończeniu wszystkich niezbędnych mi terapii.

Potem wracamy do samochodu, deszcz bębni o dach i załóżki kolejnego napadu hysterii przyciemniają widok na krawężniach mojego pola widzenia. Staje się ciemny jak wieczorne niebo.

– Dokąd? – pyta Stefan, wtykając klucz do stacyjki.

– Ja... nie wiem. Nie mam dokąd pójść.

Chcę wiedzieć, co stało się z Nazem po tym, jak policja odnalazła go w Wiedniu, co zrobią z jego ciałem, gdzie go pogrzebią. Mam ochotę zadzwonić do Tabby i Connora i się wyplakać, podziękować im za wszystko, co dla nas zrobili, opowiedzieć, co się stało i dlaczego. I do Killiana. Próbował nam pomóc, choć Naz wyrwał sobie przez niego włosy z głowy.

Rozpaczliwie, naprawdę rozpaczliwie pragnę się należycie pożegnać, ale wiem, że pakhan mógłby się o tym dowiedzieć.

Zniknij, powiedział. Nie kontaktuj się z nikim znajomym.

Ma uszy i oczy wszędzie. Rosja w ogóle nie wchodzi w grę, ale jeśli wrócę do Wiednia i zacznę wypytywać o Naza, to ktoś na pewno usłyszy. W Wiedniu byli świadkowie. Pełno sąsiadów zebrało się, szeptało między sobą i patrzyło, jak wrzucali mnie do furgonetki.

Policja będzie szukała „tej kobiety”. Będzie szukała mnie.

Tak więc Wiedeń też nie wchodzi w grę... podobnie jak... pożegnania, co przyznaję z ogromnym smutkiem.

Istnieje spora szansa, że pakhan zadba, że każdy, z kim się skontaktuję, także zniknie. W rosyjskiej mafii słabe ogniwa nie są tolerowane. Z zasady są zaspawywane, bardzo solidnie.

Stefan za mnie poręczył, więc położyłby głowę pod topór.

Wyciąga rękę i dotyka mojej nogi. Podskakuję wyrwana z zadumy, patrzę na niego pytająco.

– Jedź gdzieś, gdzie będziesz szczęśliwa – mówi łagodnie, z życzliwością w oczach. – Wybierz jakieś ciepłe miejsce. Jakies ładne. Wychowaj dziecko i nie odwracaj się za siebie. Niczego nie żałuj. Przeszłość stanie się twoim więzieniem, jeśli jej pozwolisz.

Ujmuję jego chropowatą dłoń i biorę głęboki wdech, próbuję sformułować jakąś odpowiedź pomimo targających mną emocji. Wstrząs i uniesienie, niedowierzanie i żal, cierpienie i gniew, a do tego przenikający do szpiku kości, rozrywający pierś smutek. Jestem workiem sprzeczności, wszystkie emocje skręcają się w ciasnocie mojego umysłu.

– Chcę ci podziękować – zaczynam niepewnie, bo nie wiem, czy odnajdę właściwe słowa, by wyrazić coś tak ważnego. – To, co dla mnie zrobiłeś... że za mnie poręczyłeś... myślę... myślę, że gdybyś tego nie zrobił, nie siedziałabym tu teraz. Myślę, że zawdzięczam ci życie.

Dwa życia. Nadal jestem zbyt roztrzęsiona, by wyrzec to na głos.

– Próbowałaś chronić Wowę – odpowiada, ściskając mnie za rękę. – Nie znam nikogo, kto zdobyłby się na coś takiego. Nawet ja bym nie miał odwagi. – Patrzy na nasze złączone ręce z miną wykrzywioną wstydem.

Słyszając, jak ten wielki, niebezpieczny mężczyzna wypowiada czule zdrobnione imię Włada, jak biczuje się za to, że go nie ocalił, a może też za to, że nie wyznał mu uczuć, gdy miał jeszcze możliwość, znowu chce mi się płakać. Wycieram ze złością załzawione oczy. Ciekawe, ile będzie musiało minąć lat, nim na dobre wyschną.

– Cieszę się, że udało ci się skontaktować z Killianem i zdobyć dla pakhana informacje na temat atomówki.

– Nie skontaktowałem się z nim. Próbowałem sześciokrotnie, ale za każdym razem odbierała poczta głosowa. Zostawiałem wiadomości, ale nie oddzwonił.

Oszołomienie, to adekwatne określenie emocji, która właśnie złapała mnie za gardło.

– Więc jak pakhan się dowiedział?

– Nie mam pojęcia. Nie powiedziałem mu też o tej fasadowej korporacji, ale ktoś najwyraźniej przedstawił mu niezbita dowody. – Wzrusza ramionami. – Pakhan potrafi zdobywać informacje.

Dlaczego Killian nie odzwonił do Stefana? To bez sensu. Zależało mu na tej atomówce tak samo jak innym. Może to sprawka Tabby? Potrafi dowiedzieć się wszystkiego o wszystkich, ale skąd mogła wiedzieć, by odezwać się do pakhana? Skąd mogłaby wiedzieć, że Dmitrij zdobył broń jądrową bez jego zgody?

Nie rozumiem, co się dzieje, jakie okoliczności do tego wszystkiego doprowadziły, ale wyjaśnienie Stefana musi wystarczyć. Pakhan ma swoje sposoby. Z jakiegoś powodu stał się najpotężniejszym człowiekiem w Rosji.

W słowach Stefana uderza mnie jeszcze jedno i już wiem, dokąd chcę jechać.

Gdzieś, gdzie jest ciepło i pięknie, gdzie będę mogła zostawić przeszłość za sobą.

Znam tylko jedno takie miejsce. Kiedyś, na piękną, choć krótką chwilę, zapomniałam tam o przeszłości.

To jedyne miejsce na świecie, gdzie byłam prawdziwie szczęśliwa.

Spoglądam przez przednią szybę na rozszalałą burzę i przyrzekam sobie, że pewnego dnia dowiem się, gdzie spoczął Naz. Gdy nasze dziecko urośnie na tyle, by usłyszeć tę historię, opowiem mu o ojcu... o jej lub jego uroczym, mądrym, cholernie zabawnym ojcu... i zabiorę je na grób ojca.

Lecz tymczasem muszę zniknąć.

I już wiem, gdzie zniknę.

– Znasz może kogoś, kto załatwi mi szybko fałszywy dowód i paszport?

W odpowiedzi odpala silnik i uśmiecha się szeroko.

ROZDZIAŁ 18

Naz

Lot śmigłowcem w gwałtownej burzy, to wcale nie jest tak fatalny pomysł, jak na pierwszy rzut oka może się wydawać.

Aluminiowy kadłub, podobnie jak w przypadku samolotów, został zaprojektowany tak, by rozprzewadzać wyładowania elektryczne po całej powierzchni, a nie przepuszczać je do środka. Gdy piorun trafi prosto w ptaszka, rozlega się piekielny huk i pojawia oślepiający rozbłysk, może pojawi się jakaś dziurka w łopacie tylnego wirnika, bo elektryczność musi jakoś wyjść, należy spodziewać się awarii radia i elektroniki, ale maszyna powinna zdołać wylądować.

Więc nie, problem latania w burzy wcale nie polega na ryzyku trafienia piorunem.

Problemem jest pierdolony wiatr.

– Do diabła! – burczy przez interkom pilot, gdy trafiamy na kolejny prąd zstępujący. Maszyna wierzga w bok, metalowa klatka wokół nas drży, a ptaszek w kilka sekund traci ze sto metrów wysokości.

Mój żołądek nurkuje razem z nim. Pierdzielnasty raz walę ramionami w uprząż. Po kilkunastu sekundach wytężonej walki pilotowi udaje się wrócić na poprzedni pułap i ustabilizować maszynę. Moje serce wali panicznie o żebra znacznie dłużej.

Dla samolotu taka utrata pułapu to kaszka z mleczkiem. Natomiast w przypadku helikoptera, który zazwyczaj lata znacznie niżej, sprawa wygląda zgoła inaczej.

Czubki drzew śmigają tuż pod nami. Jeszcze jeden taki podmuch i możemy walnąć o glebę, zanim pilot zdąży zareagować.

Chcąc odwrócić uwagę od całkiem realnej szansy na rychłą śmierć, sporządzam listę wszystkich rzeczy, jakie będę musiał zrobić po odnalezieniu Ewy.

1. *Zabić Dmitrija.*
2. *Pocałować Ewę i wyznać jej miłość.*
3. *Zabić wszystkich pozostałych.*

Dalsze wyliczenia przerywa mi komunikat pilota:

– Cztery kilosy do SL.

Za strefę lądowania posłuży nam kolejne pole niedaleko naszego ostatecznego celu. Przerabiamy to od samego rana. Najpierw poleciliśmy z Wiednia do Krakowa, gdzie musieliśmy zatankować. Nad całą Polską utrzymują się trudne warunki atmosferyczne, a chmury są tak grube, że nie możemy liczyć na zdjęcia satelitarne.

Żywioty pokazują nam wielkiego faka. Kilukrotnie musieliśmy odkładać start, do tego Tabby i Connor nie mogą obserwować naszych celów z góry dla poszukiwania przydatnych informacji i rozpoznania terenu, w który wkraczamy.

Kilka dodatkowych rzeczy zjechało się na dole, bo porywiste wiatry zniszczyły kilka sieci elektrycznych, rozpieprzając zasilanie.

Więc lecimy w wichurze i do tego po ciemku.

Nie żeby miało mnie to powstrzymać. Gdybym musiał, czołgałbym się całą drogę do celu.

Wyznaczone do lądowania pole wygląda z góry jak jezioro o czarnej powierzchni mąconej wichrem. Lądujemy ostro i niezgrabnie, dziko szarpie, do tego wirniki podrywają z ziemi fontanny wody.

– Nie podniosę maszyny w tej chujozie. Znowu jesteśmy uziemieni, dopóki burza choć trochę nie odpuści – krzyczy do interkomu pilot, zanim zdążyłem zerwać z głowy słuchawki.

Mam ochotę go zwyzywać, ale facet i tak wyświadcza mi ogromną przysługę.

Doc mnie z nim skontaktował, to jakiś jego stary kumpel, który robi za jego transport po całym świecie w pilnych przypadkach. Mówi wzorowym angielskim bez akcentu, ale wypowiada się nieco zbyt formalnie i używa staromodnych określeń, więc to na pewno nie jest jego pierwszy język. Jakby uczył

się angielskiego z czarno-białych filmów w telewizji.

Nie wiem, jak się nazywa. Doc mówi o nim per „pilot”. Facet sam też się nie przedstawił, wnioskuje więc, że w kręgach Killiana i Doca wszyscy posługują się nazwami zawodów zamiast imion i nazwisk.

Doc. Pilot. Wkurzający Szpieg.

– Przyjąłem. – Odpinam uprząż i zsuwam ją z ramion, łapię plecak i karabin, zakładam noktowizor i wyskakuję w głębokie po kostki błoto.

Ignorując, że zasysa mi buty, uruchamiam noktowizor i, zarzucam plecak na ramiona. Ściskając karabin w rękę, ruszam na wschód, ku linii upiornych w zielonkawej poświacie drzew. Dzięki przestudiowaniu mapy terenu wiem, że za drzewami jest wzgórze, a za wzgórzem mój cel. Niemniej muszę przeleźć ponad kilometr w ciężkim sprzęcie i w ulewie, więc trochę to zajmie.

Kontuzje na pewno mi nie pomagają. W tym momencie jadę już wyłącznie na oparach i czystej desperacji. Jeżeli Evy tu nie ma...

Skup się na misji, żołnierzu!

– Tak, wiem, panie sierżancie McCall... – mamroczę pod nosem i ruszam truchtem, spychając obawy na bok.

W takich chwilach jestem wdzięczny, że duch tego starego piernika, który zamienił moje życie w wojsku w piekło na ziemi, ciągle snuje się w mojej głowie.

Gogle noktowizyjne są dobrej jakości, więc gdy rozpalone, zakrzywione pazury kolejnej błyskawicy przecinają mroczne niebo, nie oślepią mnie. Noktowizor, cały sprzęt, nawet karabin to również zasługa Doca. Cóż, teoretycznie to wszystko zapewne należy do Killiana, ale jestem zbyt wkurzony, by odczuwać wdzięczność względem niego.

Doc próbował kontaktować się z Killianem, ale nie odezwał się przed moim wylotem. Nie wiem, gdzie jest ani co robi, ale ewidentnie chce pozostać nieuchwytnym.

Przechodzę przez linię drzew, brnąc w grząskim błocie i gęstym poszyciu. Skarpa jest pokryta śliskim żwirem, na którym prawie nie da się utrzymać równowagi. Kilka razy przewracam się na kolana. Burczy mi w żołądku, w płucach szaleje pożar. Zszyta rana w łydce krzyczy z bólu, a z tej w brzuchu chyba coś cieknie. Przez tę dzisiejszą marszrutę pewnie porozrywam sobie szwy.

Za gęsto rosnącymi sosnami wyrasta imponujące wzgórze, wznosi się na tyle wysoko, że przysłania sporą część burzowego nieba. Dzięki mapom znałem jego wysokość i nachylenie, ale spoglądając na nie z ziemi, po całym dniu przedzierania się przez nieskończone trzęsawiska polskich odludzi, w zimnie i o pustym brzuchu, mam ochotę kogoś zastrzelić.

Ale nie strzelam, tylko prę naprzód.

Na szczycie zwalnim i kucam. Nadal posuwam się naprzód, ale ostrożniej, monitorując ciemność przede mną w poszukiwaniu ciepłoty ciał. Teren się zmienił, pojawiły się krzaki i pojedyncze drzewa, w których trudniej się zakamuflować, na szczęście noc jest czarna jak smoła.

Nie wiem, czy Dmitrij zdążył zamontować w nieruchomości, do której zmierzam, środki bezpieczeństwa, jakimi dysponuje w swoim domu w Petersburgu, ale nawet jeśli nie, to teren na pewno patrolują ochroniarze.

To znaczy, *jeżeli* tu w ogóle jest. *Jeżeli* to miejsce w ogóle do niego należy. Wszystkie pozostałe lokacje, które dziś sprawdziłem, okazały się puste. Jedne umeblowane, inne nie, niektóre wyglądały na całkiem opuszczone, w żadnej nie było żywego ducha.

Niedaleko przede mną pojawia się blask, który podpowiada, że w tym przypadku będzie inaczej.

Ostatnie metry pokonuję na brzuchu, znajduję nieźle zamaskowane miejsce pod konarami sękatego modrzewiu i patrzę przez noktowizor na niewielką, ciągnącą się w dole dolinkę.

Gdy zauważam posiadłość, dostaję strzał adrenaliny.

Świeci się jak choinka bożonarodzeniowa, rozlewa się na wielu arach, jest ogromna i oślepiająco biała. Z trzeciego poziomu wystają liczne balkony, z tyłu widać eleganckie ogrody, przed domostwem dostrzegam okrągły podjazd, wszystko otoczone parkową roślinnością. Na myśl przychodzi słowo *pałac*. Musi być zasilany niezależnymi generatorami, bo wszędzie naokoło wysiadł prąd.

Leżę nieruchomo, wypatruję i nasłuchuję, krew szumi w żyłach, naprężona skóra opina ciasno

moje zalewane litrami deszczu ciało.

Już idę, kochana. Wytrzymaj jeszcze trochę. Bestyjka już po ciebie idzie.

Przez dziesięć minut nie widzę ani jednego strażnika na patrolu ani żadnego ruchu na terenie posiadłości. W niektórych oknach są zasłonięte zasłony, lecz w zaskakująco wielu zapomniano o tym i wścibskie oko może zajrzeć nocą do środka.

Brak strażników i odsłonięte okna nie dają mi spokoju. Dmitrij ma paranoję na punkcie bezpieczeństwa, nie pozwoliłby sobie na coś takiego. Jeżeli to miejsce naprawdę należy do niego, to powinno roić się tu od uzbrojonych goryli, a wszystkie drzwi i okna powinny być pozamykane na siedem spustów.

Z rozmyślań wyrывa mnie przebijający ciemność od południa snop światła. Daleko z tyłu, na krętej wiejskiej drodze, pojawia się samochód, zmierający ostrożnie w deszczu w stronę posiadłości.

Wstaję gwałtownie i rzucam sprintem, przebijając nogami z całych sił.

Docieram do drogi, gdy samochód wspina się na niewielkie wzniesienie, zatrzymuję się, unoszę gogle noktowizyjne, wymierzam karabinem. Umieszczam celownik na kierowcy, rozstawiam szeroko nogi. Auto hamuje ostro, plując żwirem spod kół.

W samochodzie jest jeden mężczyzna. Biały, po trzydziestce, brodaty. Trzyma ręce na widoku, zaciśnięte na kierownicy, nie rusza się, nie próbuje sięgać po broń. Na jego twarzy nie widać zaskoczenia ani strachu, jedynie lekkie zmieszanie.

Patrzy na mnie ze zmarszczonym czołem i zmrużonymi oczyma, jakby próbował sobie przypomnieć, czy skądś mnie kojarzy.

A może to po prostu rozdrażnienie. Jeżeli pracuje dla Dmitrija, zapewne przywykł, że ludzie mierzą do niego z broni.

Ostrożnie zbliżam się do auta, wszystkie moje nerwy są bacznie naprężone, palec na spuście zaczyna lekko mrowić. Omiatam wszystko rozbiegany wzrokiem, spodziewając się ruchu kierowcy albo kogoś na tylnym siedzeniu, zakładam, że w każdej chwili może rzucić się po broń.

Ale nic się nie dzieje. Po chwili bez żadnych przeszkód docieram do okna po stronie kierowcy. Gdy ja skradałem się do pojazdu, kierowca po prostu siedział i na mnie patrzył.

Wiem, że to nie jest jakiś miejscowy koleś, który wyjechał na przejażdżkę krajoznawczą w środku szalejącej burzy i przypadkiem trafił na jedyną drogę dojazdową do kolosalnej posiadłości. Przywiały go tu jakieś interesy. Natomiast jego niepokojący spokój w obliczu uzbrojonego po zęby napastnika w pełnym stroju taktycznym działa mi na nerwy.

– Wsiadaj! – krzyczę.

Kiwa głową, potwierdzając, że zrozumiał polecenie, powoli odkleja dłonie od kierownicy, pokazuje mi je, bym miał pewność, że jest nieuzbrojony. Wskazuje na klamkę drzwi z pytającym wzrokiem, czeka na zgodę.

Kiwam głową, odsuwam się na kilka kroków. Gdy wysiada, mierzę w sam środek jego torsu.

Jego ciemne włosy i obcisła elegancka koszula natychmiast przesiakają wodą. Stoi przy otwartych drzwiach auta z rękoma w górze, z jego ust unosi się para nikażąca w lodowatym deszczu, i patrzy na mnie w całkowitym milczeniu.

Na jego twarzy pojawia się zrozumienie.

– To ty – mówi po angielsku.

Już mam go zastrzelić, bo wkurwia mnie tym swoim spokojem, ale w ostatniej chwili... *jasna cholera*... dociera do mnie, że znam go z materiałów od Tabby.

Namierzaliśmy go dzięki komórce Włada. To ten był wojskowy, który teraz pracuje w ochronie najróżniejszych złoczyńców.

– Stefan. Gdzie Dmitrij? – pytam, warcząc jak zwierzę.

Kiedy wymawiam jego imię, mruga zdezorientowany, pierwszy raz okazując coś zbliżonego do zaskoczenia.

– Skąd mnie znasz?

– Skąd ty znasz mnie? – warczę.

– Z nekrologu.

Czytał artykuł w gazecie. Serce mi dudni, fika salto, galopuje. Stawiam trzy szybkie kroki naprzód i wbijam lufę w jego mostek.

– Gdzie Dmitrij?!

– Nie żyje.

Jestem tak zszokowany tą odpowiedzią, że prawie naciskam spust i rozwalam mu tors. Jednak w ostatniej chwili odskakuję i patrzę na niego ostro.

– Pieprzysz.

– Jeśli chcesz, pokażę ci ciało – wskazuje na posiadłość. – Wsadziłem go do plastikowej beczki z wodorotlenkiem sodu. Jego kości właśnie zamieniają się w płynną maź.

Nie przekonał mnie.

– Akurat miałeś pod ręką beczkę i kilka puszek wodorotlenku sodu, co?

– Zdziwiłbyś się, jak często różni ludzie życzą sobie, bym pozbywał się zwłok – odpowiada, wzruszając ramionami.

Tym razem to ja mrużę podejrzliwie oczy.

– Nie wyglądasz na przybitego koniecznością rozpuszczenia swojego szefa.

– Był gównem wartym śmieciem, spotkał go zasłużony los. Szczerze mówiąc, zasłużył na coś gorszego. Jak na mój gust, zginął zbyt szybko.

W jego tonie i oczach czuć hardość, emocje, których nie sposób udawać. Myślę, że mówi prawdę. Nie wiem, co o tym sądzić. Wiem tylko tyle, że mam milion pytań i nie chcę zadawać ich w ulewie.

– Otwieraj – rzucam, wskazując podbródkiem na bagażnik.

– Otwiera się guzikiem przy kluczykach.

Oznacza to, że musi wsiąść z powrotem do samochodu, zgasić silnik i wyjąć kluczyki ze stacyjki... a przy okazji wyciągnąć też ukrytą broń... albo, że ja muszę to zrobić i przy okazji obrócić się do niego plecami.

Odsuwam się o krok i mierzę lufą w jego gębę.

– Jeden fałszywy ruch i wylądujesz w beczce obok Dmitrija.

Kiwa głową, po czym znów pokazuje mi dłonie, ostrożnie wsuwa się do samochodu i wyłącza silnik. Otwiera bagażnik, wysiada i prostuje się z uniesionymi do góry rękoma, tymczasem ja przesuвам się powoli w tył, zerkając to na niego, to na bagażnik.

Jest pusty.

Zamykam go, jeszcze raz sprawdzam pośpiesznie samochód, by upewnić się, że nikt nie chowa się z tyłu ani na podłodze, po czym rozkazuję, by się odwrócił i położył ręce na dachu.

Wykonuje polecenie bez słowa sprzeciwu i odrobiny oporu.

Przeszukuję go, spodziewając się, że w każdej chwili może wydobyć nóż i dźgnąć mnie w oko, ale i te obawy się nie ziszczają. Gdy przesuвам rękoma po jego ciele, stoi nieruchomo, rozluźniony. Znajduję rewolwer przyklejony taśmą wokół kostki i drugi za paskiem na plecach. Wyrzucam oba, zachodząc w głowę, dlaczego, do cholery, nie próbuje się bronić.

Mogę zrozumieć, że nienawidził człowieka, którego miał szpiegować, ale nie rozumiem, dlaczego obwieszony bronią twardziel o wojskowej przeszłości jest uległy jak owieczka w czasie, gdy inny obwieszony bronią twardziel o wojskowej przeszłości przeszukuje go i rozbraja na odludnej polnej drodze, grożąc, że go zabije.

Do tego stoi z zamkniętymi oczyma i luźną szczęką, gdy ja dość brutalnie go obszukuję... jakby sprawiało mu to przyjemność.

– Wsiadaj.

Wypełnia rozkaz, siada w fotelu kierowcy i swobodnie kładzie dłonie na kierownicy. Nie spuszcza go z oka, rzucam plecak i karabin na tylne siedzenie, wyciągam z kieszeni kamizelki taktycznej broń krótką, zajmuję miejsce pasażera i wymierzam w niego pistolet.

– Żadnych gwałtownych ruchów, bo rozwalę ci mózg. Zamknij drzwi.

Zamyka je z trzaskiem, po czym znowu kładzie dłonie na kierownicy i czeka cierpliwie na dalsze wytyczne.

Chuj oszalał albo ma jaja ze stali.

- Ilu strażników jest w tym domu?
- Gdy wyjeżdżałem, było dwunastu, ale raczej już odjechali, razem z resztą personelu.
- Odjechali? Dlaczego?

Obraca ociekającą wodą głowę i spogląda na mnie w ciemności. Deszcz wali w dach samochodu jak grad.

– Gdy kapitan zostaje stracony za nielojalność, jego pracownicy nie ryzykują posądzenia o współudział. Nikt nie będzie kręcił się w okolicy, czekając, czy pakhan przydzieli mu inną robotę.

- Pakhan?
- Szef wszystkich szefów. Człowiek, któremu nie chcesz podpaść.
- Więc czemu ty wracasz?
- Bo ja pracowałem dla niego. Miałem oko na Dmitrija, meldowałem, co robi.

Chryste. Następny szpieg. Mam tych dupków po dziurki w nosie.

- Czyli to ten cały pakhan zabił Dmitrija?
- Tak. No, w zasadzie to inni kapitanowie na rozkaz pakhana.

Czyli to nie dzieło Ewy. Z jakiegoś dziwnego powodu ulżyło mi. Wiem, że pragnęła go zabić, ale wiem też, że odebranie życia człowiekowi ciążyłoby jej na sumieniu, nieważne, że to życie było wcieleniem zła.

- Czy Dmitrij miał tu ze sobą kobietę?
- Nie odpowiada, więc ponagliam go, mówiąc:

– Brunetkę. Z wielkimi brązowymi oczyma. Kurewsko piękną.

Wygląda, jakby rozważał, czy odpowiedzieć, więc postanawiam pomóc mu w podjęciu decyzji i przykładam lufę między jego oczy. Rzeczywiście, odświeżyło mu to pamięć.

- Masz na myśli Evalinę.

Nie sposób opisać emocji, które mną miotają, gdy wymawia jej imię. Pistolet zaczyna drzeć w mojej dłoni.

- Gdzie ona jest?
- W tej chwili? Nie wiem.
- Pakhan ją zabrał?

Boże, proszę cię, niech zaprzeczy. Wstrzymuję oddech.

- Nie.

Słodki Jezu. O, Matko Boska. Oddychaj, Naz. Po prostu oddychaj. Przez ułamek sekundy pływam w cudnej uldze, lecz szybko zamienia się w buchającą parą miksturę emocji, bo dociera do mnie, że ten cały pakhan mógł zrobić coś gorszego.

- Czy on...
- Nie, pozwolił jej odejść – odpowiada Stefan i też brzmi, jakby mu ulżyło.

Potrzebuję chwili, by uspokoić rozedrgany oddech.

- Odejść? Dokąd? Gdzie ona jest? – pytam.
- Mówiłem ci, że nie wiem.

Chyba nie kłamie, ale muszę się upewnić, że nie ma jej w posiadłości, że nie leży tam gdzieś ranna albo jeszcze gorzej. Póki żyje, mogę ją odszukać w każdym zakątku świata, lecz najpierw muszę się upewnić, że nie ma jej tu.

- No dobrze, szpiclu. Jedź do tego domu. Powoli.

Uruchamia silnik i rusza. Toczmy się zwirową drogą, pełniemy w głuchej ciszy, przerywanej od czasu do czasu hukami grzmotów. Gdy docieramy na główny podjazd, skręcamy i objeżdżamy dom, z boku mieści się ciąg garaży.

- Teraz otworzę pilotem ostatni garaż. Pilot jest na osłonce przeciwsłonecznej. Nie zastrzel mnie.

Zerka na mnie, by upewnić się, że może to zrobić, po czym wyciąga rękę i naciska guzik na małym czarnym pilocie. Drzwi w ostatnim garażu się unoszą, ukazując rozległą, schludną i jasno oświetloną przestrzeń. Gdy się zatrzymujemy, zauważam po lewej stronie szereg egzotycznych samochodów, a także wbudowane w ścianę, sięgające po sam sufit szafki.

Obok czai się rząd wysokich beczek z niebieskiego plastiku. Wielkością przypominają kubły na

śmieszy, tyle że są bardziej przemysłowe i *znacznie* bardziej niepokojące.

Stajemy.

– Mam zgasić silnik? – pyta Stefan.

– Gaś. Potem ja wysiądę, a ty będziesz tu grzecznie siedział.

Wyłącza silnik, po czym kładzie dłonie z powrotem na kierownicy i wbija wzrok przed siebie.

Wyczuwam, że czeka, aż coś zrobię, tylko nie wiem, co. Zastrzelę go? Ogłuszę? Zadam więcej pytań?

Nie wykluczam żadnej z tych opcji i mógłbym go o tym powiadomić, ale zamiast tego wyskakuję z auta, obiecuję je i przystawiam lufę do szyby po jego stronie.

– Wsiadamy.

Wychodzi, trzaska za sobą drzwiami, woda cieknie z niego na epoksydową podłogę. Przygląda mi się bacznie, od stóp do głów, odnotowując ostrym spojrzeniem każdy szczegół mojego wyglądu.

A następnie, chcąc chyba totalnie nasrać mi we łbie, stwierdza z *idealnie kamienną twarzą*:

– Jesteś bardzo fotogeniczny, ale na żywo wyglądasz jeszcze lepiej.

Wykonuję jedno z tych komediowych, ogłupiających spojrzeń, mrugam i kręcę głową.

– Eee...

– Myślę, że to dzięki tym egzotycznym kościom policzkowym. No i te uda... musisz dużo ćwiczyć. Życzysz sobie, bym pokazał ci Dmitrija?

Wskazuje spokojnie na rząd beczek, choć właśnie raczył wrzucić mi granat odłamkowy w portki. *Moje uda?!*

Biorę się w garść, bo przecież jestem dorosłym facetem, profesjonalistą i mam zadanie do wykonania. Jeżeli wpadłem temu gostkowi w oko to, no cóż... muszę z tym żyć.

– Tak.

Obraca się, podchodzi swobodnie do jednej z szafek, otwiera ją, wyciąga maskę chemiczną, gumowy fartuch i grube gumowe rękawice, po czym zakłada to wszystko na siebie. Mnie też wręcza maskę.

– To na opary – wyjaśnia, jakby oprowadzał mnie po jakiejś fabryce.

Gdy wyciąga z szafki metalowy łom, natychmiast wchodzi w tryb czerwonego alarmu, ale on mnie ignoruje, podchodzi do jednej z beczek i podważa wieko. Odsuwa się, bym mógł podejść, ale nawet z odległości pół metra rozpoznaję, co jest w środku.

Choć skóra na twarzy i ciele już się rozpuściła, odsłaniając mięśnie i kości, poznaję, że to Dmitrij. Nagle uderza mnie smród. Odór nabrzmiałych larw, żerujących na resztkach w rzeźni.

Pospieszanie przykładam maskę do twarzy i macham pistoletem na Stefana, żeby zamykał.

Robi to szybko i sprawnie, następnie zdejmuje z siebie strój ochronny i schludnie chowa go do szafki.

– Zakładam, że będziesz chciał przeszukać dom, żeby się upewnić, że jej tu nie ma.

Wszystko idzie zbyt gładko jak na mój gust. Odrzucam maskę na bok i rozkazuję:

– Odwróć się.

Kiedy to robi, łapię go za kołnierz i wbijam mu lufę w łędźwie.

– Pójdiesz przodem. Każdy, kogo napotkamy, zarobi kulkę. Zrobisz coś głupiego, zarobisz kulkę. Umowa stoi?

– Stoi – odpowiada pośpiesznie. – No chyba że Astrid i Nadia ciągle tu są. Nie chcesz ich zabijać. Są bardzo miłe.

Nawet nie pytam, kim, do chuja pana, są Astrid i Nadia. Po prostu pcham go naprzód, kręcąc z niedowierzaniem głową.

Posiadłość jest ogromna, więc obejście wszystkich pomieszczeń trochę nam zajmuje. Nikogo nie spotykamy. Nie widzę ani nie słyszę niczego, co wskazywałoby na ludzką obecność. Gdy docieramy do wielkiego, białego apartamentu, zatrzymuję Stefana na progu i gapię się zaskoczony na panujący w środku bajzel.

Jakby ktoś wpuścił do środka stado wściekłych rosomaków.

Kluczemy między rozbitymi wazonami, przewróconymi stolikami i krzesłami, zniszczonymi dziełami sztuki, w końcu docieramy do łazienki. W przylegającej do niej garderobie leżą na kupie ciężkie

od klejnotów suknie. Wyczuwam w powietrzu cień aromatu jaśminowych perfum. Rozpoznaję je od razu, zaczyna swędzieć mnie skóra na całym ciele.

– To był pokój Evy.

– Tak – odpowiada Stefan, a po chwili dodaje: – Dmitrij tu nie sypiał.

Chyba próbuje poprawić mi humor, ale nie sądzę, by cokolwiek na ziemi i w niebie zdołało mnie pocieszyć. Na samą myśl, co Dmitrij mógł zrobić Evie, w moim gardle rośnie kwaśna gula. Na myśl, jak wiele godzin był z nią sam, by zaspokajać swoje chore, złe żądze.

– On też był ranny.

Jego głos wyrywa mnie z zamyślenia.

– Co takiego? – rzucam ostro.

– Dmitrij. Dotarł tu z raną postrzałową brzucha. Zakładam, że była twoim dziełem? Wynikiem tej strzelaniny w Wiedniu? W każdym razie, nie chciał jechać z nią do szpitala. Eva powiedziała, że miał paranoję na tym punkcie i że uważał się za boga. W obu kwestiach miała rację, ale zamierzam do tego, że... – Przez chwilę szuka odpowiednich słów. – W ranę szybko wdała się infekcja. Bardzo go bolało.

Stara mi się jak najdelikatniej wyjaśnić, że Dmitrij nie był w stanie wykonywać czynności seksualnych.

Łapię go za ramię i zmuszam, by się do mnie odwrócił, po czym wbijam łufę w podstawę jego gardła. Jesteśmy podobnego wzrostu, więc patrzymy sobie prosto w oczy.

– I co jeszcze? – cedzę ostro, a gdy unosi pytająco brwi, dodaję znacznie głośniej: – Wygląda na to, że doskonale wiesz, co tu się działo. Co jeszcze?

Przygląda mi się niepewnie i po chwili odpowiada:

– Dowodziłem niezliczoną liczbą mężczyzn. W boju, w biznesie, w życiu. Ale nie znałem nikogo, kto mógłby się jej równać. Chcesz wiedzieć, co tu się działo? Twoja kobieta dała mi lekcję wytrwałości pod ogromną presją. Dała mi lekcję prawej postawy, nawet jeśli ryzykowała najwyższą cenę. Dała mi lekcję prawdziwej siły charakteru.

– Jezu Chryste... – wyduszam. – Co on jej zrobił, do cholery?

– Nie rozumiesz, do czego zmierzam.

Tracę opanowanie i zaczynam się drzeć.

– Ja pierdołę, więc do czego, kurwa, zmierzasz?!

– Przestań się martwić o to, co już się wydarzyło, i skup się na tym, co istotne.

Ta zwięzła rada tak mnie rozjusza, że popycham go na ścianę i zmuszam do zapoznania się z siłą mojej lewej dłoni, którą zaciskam mu na gardle.

– Przestań ze mną pogrywać – warczę, obnażając zęby. – Jeżeli chcesz mi coś powiedzieć, gadaj! Natychmiast, bo Bóg mi świadkiem, że zaraz pożegnasz się z tym światem.

W odpowiedzi zerka wymownie w prawo.

Podążam za jego wzrokiem. Patrzy na blat w łazience, długi ciąg białego marmuru z podwójną umywalką.

– Co? Na co patrzysz?!

Wskazuje na małe różowe pudełko przy umywalce, bliżej nas. Jest z jednej strony rozerwane. Spod przyklejonej na kleju klapki wystaje kawałek złożonego białego papieru.

– Co to, kurwa, jest?!

– Och. Nie potrafisz czytać po polsku?

Zaciskam dłoń mocniej.

– To test ciężowy – wydusza przez ściśnięte gardło.

Czas się zatrzymuje. Moje serce też. Ziemia przestaje się obracać.

Puszczam go, zataczam się w tył, patrzę to na niego, to na różowe pudełeczko, opuszczam broń, cały się trzęsę.

Stefan kaszle, bierze kilka ochrypłych oddechów, odchrząkuje.

– Był pozytywny, jeśli się zastanawiasz.

Powiedział to sarkastycznie. Zastrzeliłbym go, ale jestem zbyt oszołomiony, by skoordynować niezbędne do tego ruchy. *W ciąży. Eva jest w ciąży... o, Boże.*

Wszystko spada na mnie na raz. Emocje, wspomnienia, gorące i zimne przebłyski, nagła, niemal obezwładniająca żądza zalania się łzami. Stefan widzi moją bezradność i ciężko wzdycha.

– No dobra, twardzielu. Pomogę ci, ale tylko dlatego, że wiem, że ona by tego chciała.

Kręci mi się w głowie, mrugam powiekami.

– Zapytaj, skądjechałem, gdy zatrzymałeś mnie na drodze.

Oblizuję wargi. Mam tak wyschnięte usta, że nie wiem, czy zdołam się odezwać.

– Skąd wracałeś? – bąkam z najwyższym trudem.

– Załatwiałem nowy dowód i paszport przyjaciółce, Thelmie N. Dudley – odpowiada z uśmiechem. – Nie wiem, dokąd się udała, ale wiem, pod jakim nazwiskiem.

Thelma i Dudley. Nasze fałszywe imiona z Cozumel.

Chyba zaraz zemdleję... ale zamiast tego łapię Stefana w miażdżący uścisk i chrypię:

– Dziękuję. Ja pierdolę. O, Boże. Tak bardzo ci dziękuję.

– Nie ma za co – odpowiada, poklepując mnie po plecach. – A teraz puść mnie, proszę, chyba że lubisz czuć na swoim muskularnym udzie erekcję innego mężczyzny.

Odsuwam się od niego ze łzami w oczach i szerokim uśmiechem na ustach.

– Bracie, w tym przypadku może i bym to przeżył. – Gdy unosi brew, z łobuzerskim błyskiem w zielonych oczach, dodaję pośpiesznie: – Może!

Wybiegam przez drzwi, odprowadza mnie cichnący odgłos jego rechotu.

ROZDZIAŁ 19

Eva

Meksyk.

Piękna kraina strzelistych palm i słonecznego nieba, tropikalnych bryz i przyjacielskich uśmiechów, starożytnych świątyń, czystych plaż i tętniących życiem, dusznych lasów tropikalnych. Raj dla każdego, kto tu mieszka i przyjeżdża.

A zwłaszcza dla tych, którzy muszą zniknąć i nie dać się odnaleźć.

Wybrałam Los Cabos dla piękna jego nadmorskich skał, ale także ze względu na panujący tu turystyczny tłok. Przez miasto każdego tygodnia przewijają się tysiące nowych twarzy, a kolejne fale przybywających i wyjeżdżających podróżnych zapewniają cudowną anonimowość. W mniejszym miasteczku mogłabym wzbudzać podejrzenia. Przybysze rzucają się w oczy. Nowe twarze są witane z ciekawością i ostrożnością. Lecz w miejscach, przez które ludzie przelewają się jak przez stacje metra w godzinach szczytu, nikt niczego nie zauważa. Nikt się nie wybija.

Nikogo nie obchodzi, kim jesteś, skąd się wzięłaś i jaką część serca zostawiłaś za sobą.

W pierwszym tygodniu po przyjeździe udało mi się osiągnąć tylko tyle, że wynajęłam mieszkanie. Było umeblowane zużytymi, ale czystymi meblami i ma piękny widok na morze. W antycznej lodówce brakuje natomiast zamrażalnika. Klimatyzacja polega na otwieraniu dwóch zardzewiałych okien w przeciwnych ścianach salonu. Ale mnie niczego w nim nie brakuje, a co najważniejsze, jest moje.

Nasze. Moje i Dzieciątka Bestyjki, która robi co w jego lub jej mocy, bym każdego dnia wyrzygiwała jelita do czysta.

Kolejna fala mdłości uderza, gdy stoję przed imponującą kolekcją czerwonych chili na miejscowym targu. Przyciskam dłoń do brzucha, wypuszczam powietrze z płuc, zamykam oczy, żeby jakoś zatrzymać wirowanie najbliższych straganów.

Aha, oprócz mieszkania załatwiłam jeszcze jedną ważną sprawę: byłam u lekarza. Lekarka potwierdziła ocenę plastikowego patyczka i zapisała mi witaminy prenatalne. Za kilka tygodni do niej wrócę, by zdjąć mi gips.

Gdy zastanawiała się, jak złamałam rękę, zapytałam, czy to ważne. Wtedy zawiesiła głos, spojrzała na szwy na moim policzku, a potem zapytała cicho, czy chcę powiadomić policję.

– Proszę się nie martwić, temat jest już zakończony.

Myślę, że mój uśmieszek nieco ją zaniepokoił. Dość szybko ulotniła się z sali badań.

– *¿Estas bien, señorita?*¹

Starsza kobieta, do której należy stragan, ma skórę barwy siodła i szeroką szparę między zębami. W tej chwili jej standardowy szeroki uśmiech ustąpił zatroskaniu. Zdążyłam się do niej przyzwyczaić, bo przychodzę tu niemal codziennie od przyjazdu. Zawsze dokłada mi do zakupów jakiś darmowy drobiazg, poklepuje mnie po dłoni i cmoka językiem.

Podobnie jak lekarka, zerka podejrzliwie na gips i szwy. Obawiam się, że towarzyszy mi aura strachu, jak często kopanemu przez pana psu.

– *Estoy bien, gracias.*

Mam się dobrze, dziękuję. Kłamstwo, ale białe. Przecież nie mogę wyjawić tej uroczej kobiecie strasznej prawdy, że jestem w ciąży z nieżyjącym ukochanym, zamordowanym przez mafijnego księcia, który przez siedem lat trzymał mnie w niewoli, a potem sam zginął z ręki swojego szefa, w samym środku naszego pośpiesznego ślubu.

Jej stare serce mogłoby tego nie znieść. Moje jest o kilka dekad młodsze, a i tak ledwie daje radę.

Zerka na dłoń, którą odruchowo przyłożyłam do brzucha. Jej szeroki uśmiech powraca. Mówi coś po hiszpańsku, rechocze pod nosem, a potem unosi palec, odwraca się na pięcie i maszeruje w głąb

straganu. Grzebie za czymś w drewnianych skrzynkach. W końcu to coś znajduje, wraca i wyciąga do mnie rękę.

Kładzie na mojej dłoni sękaty kawałek imbiru. Pokazuje na migi, że powinnam pokroić go w plasterki i zjeść, pomoże na mdłości.

– Och, jaka pani słodka. *Muchas gracias, señora.*²

Uśmiecha się do mnie promiennie, ja odwzajemnam się tym samym.

I właśnie w tym momencie, uśmiechając się do obcego człowieka, czuję to pierwszy raz.

Najpierw delikatne mrowienie. Jak minimalne porażenie prądem, przemykające po mojej skórze, stawiające na baczność wszystkie włoski na moim karku. Mrowienie szybko rozkwita w dreszcze i ciarki, uruchamiające w głębi mojego mózgu dzwony alarmowe, docierające do prastarych zakamarków mózdzku, które istniały na długo, zanim jako gatunek nauczyliśmy się logicznie rozumować i mówić. Rozbudzające ten wbudowany system alarmowy, który pomógł nam przetrwać, gdy byliśmy zaledwie stadem brutalnych zwierząt o wyczulonych zmysłach i zadzieraliśmy nosy, żeby wywęszyć czające się w mroku niebezpieczeństwo.

To instynkt. Czujność. Nagła, niepodważalna *pewność*.

W tej chwili żyjące pod moją skórą zwierzę wyje na całe gardło, że gdzieś niedaleko ktoś mnie obserwuje.

Gapi się przenikliwie.

Tętno przyspiesza, podobnie oddech, ale nie zdradzam się żadną zewnętrzną reakcją. Po prostu płacę za warzywa, obracam się i z wymuszonym spokojem monitoruję tłum na targu.

Nie zauważam niczego ani nikogo niezwykłego. Zalany słońcem plac otoczony straganami, na którym roi się do kupujących i trajkotających ludzi. Niektórzy jedzą, inni palą papierosy lub popijają kawę w cieniu wielobarwnych parasoli. Z maleńkiego radyjka leci muzyka mariachi. Roześmiane dzieci gonią się po kocich łbach. Powietrze wypełnia aromat pieczonego mięsa zamarynowanego w wyrazistych przyprawach i słonej wody.

Wszystko wygląda normalnie, lecz prehistoryczny dzwon alarmowy nadal bije w mojej głowie i brzuchu, ostrzegając mnie przed drapieżnikiem.

Przeklinam się w myślach za brak pistoletu, ale nie oznacza to, że jestem całkiem bezbronna. Wszędzie noszę ze sobą sztylecik, zardzewiałe ostrze, które znalazłam w głębi szuflady w moim nowym mieszkaniu. Oczyszcziłam go, naoliwiłam, a potem naostrzyłam, teraz przechodzi przez kartkę papieru jak przez masło.

Wiem, że Dmitrij nie żyje, ale moja paranoja nie zginęła razem z nim. Ale jeśli pakhan zmienił zdanie i posłał za mną swojego człowieka, to ten nie wróci już do Rosji.

Już nigdzie stąd nie wyjedzie.

Matczyny instynkt, by bronić dziecka, jest silniejszy od ludzkiego instynktu samozachowawczego, dzięki któremu wyczuwamy niebezpieczeństwo. Każdy, kto ośmieli się mi zagrozić, uwolni potęgę tysiąca niedźwiedzic. Pokroję go jak indyka na Święto Dziękczynienia.

Nieśpiesznie oddalam się od straganu, z nadstawionymi uszami i czujnym wzrokiem. Uśmiecham się, jak głupekowata turystka, która spadła ze skutera wodnego o jeden raz za dużo. Tępawa, nieporadna i tak pokiereszowana, że dla nikogo nie stanowi zagrożenia. Mam nadzieję, że obserwujący mnie człowiek tak właśnie pomyśli. Widzi gips i szwy. Widzi małą torbę z warzywami.

Ale mam też nóż ukryty w fałdach sukienki.

Chodź, spróbuj, jeśli masz jaja.

Skręcam w boczną uliczkę i zostawiam targ za sobą. Przyspieszam kroku, obieram trasę, którą zazwyczaj wracam do mieszkania, do zaniedbanej dzielnicy mieszkalnej odciętej od tych wszystkich drogich hoteli nasypem kolejowym i wysokim betonowym murem zwieńczonym drutem kolczastym. Cały mur jest zamalowany graffiti.

Przy końcu kwartału stoi mały biały kościółek z niewypalanej cegły, jeszcze skromniejszy niż otaczające go domy. Stoi przy kwadratowym placu porośniętym wysuszoną trawą i powoli przeistacza się w ruinę, ma dwie bliźniacze wieże i zapadnięty dach. Wiem, że drzwi od strony bocznej kapliczki są otwarte całą dobę, bo przychodziłam się tu modlić o bardzo dziwnych godzinach.

Miejmy nadzieję, że księżda nie ma w środku. Uważa mnie za miłą dziewczynę. Nie chcę, by musiał patrzeć, jak używam pazurów.

Później będę się martwiła, jak pozbyć się zwłok. Nachodzi mnie myśl, że w tej kwestii przydałaby się pomoc Stefana i z mojego gardła niemalże wyrywa się parsknięcie histerycznego śmiechu.

Przechodzę przez skrzypiące drzwi, zanurzam się w wilgotnym półmroku kościoła. W środku panuje duchota, powietrze nawet nie drgnie. Po obu stronach prostego, drewnianego ołtarza nakrytego białym obrusem świecą się świece w metalowych lichtarzach. Na ścianie wisi krucyfiks, z którego Jezus posyła mi pełne rozczarowania spojrzenie.

– Nie osądzaj mnie – mamrocze. – Robię, co w mojej mocy.

Kościół składa się z jednej dużej sali, są w nim dwa rozdzielone przejściami rzędy drewnianych ławek. Ukryć można się jedynie w stojącym z tyłu konfesjonale, który świetnie się nada, biorąc pod uwagę, że jeśli chcesz kogoś dźgnąć nożem, musisz się do niego mocno zbliżyć.

Zapisując w pamięci, że gdy tylko wykaraskam się z tego bajzlu, będę musiała poszukać dobrego terapeuty, podbiegam do konfesjonau, przyczajam się w środku i cichutko zamykam za sobą drzwiczki. A potem czekam, wstrzymując oddech.

Przez dłuższy czas nic się nie dzieje. Sukienka pod pachami wilgotnieje od potu. Nade mną lata leniwie mucha, która co chwilę uderza w sufit. Słyszę przejeżdżające na zewnątrz auta, sporadyczne szczeknięcia psa.

I nagle... skrzypienie drewnianej podłogi.

Mój puls wystrzeliwuje pod niebiosa. Ręce zaczynają drżeć. Wysuwam ostrze z kieszeni sukienki i przeszywa mnie lodowata groza, bo zauważam, że moja dłoń jest śliska od potu. Co jeśli upuszczę nóż, zanim zdążę go użyć?

Lecz chwilę później owa obawa przepoczwarza się w niedowierzanie, bo ktoś otwiera drzwiczki z drugiej strony konfesjonau i rozsiada się w środku.

Widzę, że to mężczyzna, choć przez drewnianą przegrodę, mającą zapewniać prywatność spowiedzi, rysy jego twarzy są niewyraźne. Jest postawny, barczysty i chyba całkowicie rozluźniony, zarzucił jedną nogę na drugą, złożył dłonie na kolanach.

– No już, *bhrèagha* – rozlega się irlandzki zaśpiew, który rozpoznałabym w każdym miejscu na świecie – wyznaj swoje grzechy. Ale tylko pikantne. Nie chce mi się wysłuchiwać bzdur o wymawianiu imienia pana Boga nadaremno.

Wyskakuję z konfesjonau i gwałtownie otwieram drugie drzwiczki.

I oto jest, siedzi jak zawsze zadowolony z siebie, uśmiecha się, jakby moje zaskoczenie, że mnie tu odnalazł, było kompletnie niepoważne.

– Killian! – krzyczę.

– Ano, mała. A kogo się spodziewałaś, dziadka mroza?

Jest ubrany identycznie jak wtedy na jachcie, gdy ujrzałam go pierwszy raz. Ma na sobie sprane jeansy, wysokie czarne buty i rozciągnięty na klacie biały T-shirt. Tatuaze wiją się na jego muskularnych ramionach i wyglądają spod kołnierzyka. Kilkundniowy zarost kładzie się cieniem na jego szczęce. Jedyna różnica polega na tym, że mordercze spojrzenie zastąpił uśmiech.

– No, nie stój tak i nie gap się z rozdziawioną gębą. Albo dźgaj tym schowanym nożykiem, albo mnie przytul. W każdym razie zastanawiaj się szybko, bo muszę zdążyć na samolot.

Wypuszczam nóż z ręki, ale nie jestem w stanie się ruszyć. Jakbym zapuściła korzenie.

To Killian. Tutaj. W Meksyku.

– Jak? – wypalam.

Zrozumiawszy, że chodzi mi o to, jak mnie znalazł i skąd się tu wziął, rechocze pod nosem, kręcąc głową.

– Wszyscy ciągle mnie o to pytają. Jestem szpiegiem, oto jak. Ewidentnie skrajnie inteligentnym szpiegiem, lecz jestem zbyt skromny, by to podkreślać. – Rozprostowuje długie nogi, wstaje, wychodząc z konfesjonau i życzliwie spogląda na mnie z góry. – Wyglądasz jak wrak.

– Powinieneś zobaczyć tego drugiego.

Odrzuca głowę do tyłu i wybucha gromkim śmiechem, który odbija się echem w pustym kościele,

aż wystraszone gołębie zrywają się do lotu z krokwi pod stropem.

– Ano, słyszałem. Zapewne będziesz zadowolona, jeśli ci przekażę, że zapracowałam sobie na niezłą reputację w pewnych kręgach. Można wręcz chyba bezpiecznie stwierdzić, że już nie tylko ja jestem legendą.

– Pewnych kręgach? Znasz ludzi z rosyjskiej mafii?

W jego orzechowych oczach zachodzi pewna zmiana. Błysk nieznacznie ciemnieje. Jakby chmura na moment przesłoniła słońce.

– *Ja wszech znaju* – mówi.

Znam wszystkich.

Jego rosyjski jest doskonały.

Jestem zszokowana, coś nakazuje mi spojrzeć w dół na jego dłonie. Na tatuaże na jego palcach. Czaszki. Litery. Kwiaty.

Pakhan miał takie same.

Ponownie czuję mrowienie na skórze, powraca zwierzęce poczucie zrozumienia.

– Znasz pakhana – szepczę.

– Och, przestańże tak patrzeć, chyba wiesz, że nie przyjechałem cię zlikwidować.

Brzmi na zirytowanego, jakbym uwłaczała mu tym pomysłem. Tak naprawdę nawet nie przeszło mi to przez myśl. Próbowалаm rozwiązać zagadkę jego tożsamości, ale teraz ponownie mną wstrząsnął, bo zdanie, które właśnie wypowiedział po angielsku, nie miało cienia irlandzkiego akcentu.

Stoję więc i gapię się na niego, a on się uśmiecha.

– Nie masz pojęcia, jak uwielbiam cię zaskakiwać – mówi, ponownie bez akcentu.

Po chwili moje usta przypominają sobie, jak formułować słowa.

– Ty... wcale nie jesteś Irlandczykiem?

– Nie jestem. Ale Irlandczycy to świetni ludzie. Przyjacielscy, czarujący, zabawni. Jak na mój gust nieco zbyt często zaczynają z nagłą śpiewać, no ale nikt nie jest doskonały.

– Ale... ale... – dukam, mrugając zdecydowanie zbyt często.

Killian drapie się po podbródku i wbija wzrok w sufit, udając, że nad czymś myśli.

– No więc chciałem się z tobą zobaczyć, bo myślałem o tym pocałunku, który mi obiecałaś.

Choć jestem wstrząśnięta... wstrząsnął mną wiele razy w ciągu tych kilku minut... mimowolnie się uśmiecham. *Tę wersję* Killiana znam.

– Nigdy nie obiecałam ci pocałunku, baranie.

– Ależ obiecałaś – odpowiada, udając urażonego. – Nie próbuj się wykręcać tylko dlatego, że byłaś wtedy półprzytomna i otumaniona prochami. Umowa to umowa.

Zaczynam się śmiać, z początku cicho, a potem żywiej, bo uderza mnie, jakim szaleństwem jest moje życie. Chowam twarz w dłoniach i śmieję się, dopóki Killian mnie nie obejmuje i delikatnie przytula.

Przysuwa usta do mojego ucha i mruczy:

– Wszystko dobrze? Tak naprawdę przyjechałem sprawdzić tylko to. I lepiej mi tu nie kłam.

– Bo co, ukarzesz mnie? – opowiadam w jego tors, z policzkiem rozplaszczonym na jego mostku tak, że słyszę łomot jego serca.

– Mówiłaś, że wybaczyłaś mi to, co zrobiłem na jachcie – przypomina kwaśno.

– Wybaczyłam, ale to nie znaczy, że nie mogę ci tym dosrać od czasu do czasu.

– Fuj, co za język – wzdycha. – Naz miał na ciebie zły wpływ.

Zamieram, a potem przymyka oczy, bo rozrywa mnie eksplozja bólu.

Naz.

O, Boże, jak to boli.

– Hej – mówi Killian łagodnie.

Podnoszę na niego wzrok, jest lekko rozmazany, bo w moich oczach wzbierają łzy.

– Wszystko będzie dobrze, obiecuję.

– Nie będzie. – Kręcę głową, pociągając nosem. – Nie wiesz, co się stało? On... Naz... postrzelili go, i on...

Nie jestem w stanie mówić dalej. Opuszczam głowę i ponownie zaciskam powieki, nie chcę wybuchnąć płaczem.

– Ach, *brèagha* – mówi cierpko, a jego irlandzki akcent wrócił na swoje miejsce – jak na tak zaciekle maleństwo straszna z ciebie beksa.

Wyrzynam się z jego ramion i walę go pięściami w tors.

– Przestań! – krzyczę. – Zdecyduj się na jeden akcent! Oszaleję przez to gównu.

Znowu wybucha śmiechem, aż łapie się za brzuch i zgina w pół.

– I co cię tak bawi?

Ponownie przestaje odgrywać Irlandczyka i odpowiada czystym angielskim:

– Nic, nic, to po prostu cała ty. I pewnie urodzisz małego wikinga, dzieciak będzie gonił dookoła, miotał przekleństwami i rozwaliał meble w domu.

Gdy wbijam w niego wzrok, odruchowo łapiąc się za brzuch, nagle poważnieje.

– Tak, słyszałem, że jesteś w ciąży. I szczerze ci gratuluję. – W jego oczach pojawia się chytry błysk, usta układają się w cwaniacki uśmieszek. – Ale to, że zaciążyłaś, i tak nie daje ci prawa do wymigiwania się od obiecanego pocałunku.

– Nie mogę cię pocałować, bo właśnie się zastanawiam, czy jednak nie podnieść tego nożyka i trochę cię nie podziurawić.

Odkopuje sztylecik wielkim buciorem. Nożyk leci daleko, pod ławkę, po drodze stukając o drewnianą podłogę.

– Zdecydowałem za ciebie – stwierdza z irlandzkim zaśpiewem. – A teraz dawaj buziaka.

Zirytowana jego zachowaniem, tupię nogą i krzyczę:

– Killian! Mów, co się dzieje, do cholery! Gadaj, czemu nie oddzwoniłeś do Stefana, skąd pakhan wiedział o atomówce, co robiłeś, odkąd ostatnio się widzieliśmy i skąd wiesz o ciąży! I najważniejsze, kim, do cholery, jesteś?! – Stoi bez słowa, przygryzając dolną wargę, jakby próbował hamować śmiech, krzyczę więc: – No co?!

– Ty dosłownie tupnęłaś na mnie nogą.

– No i?

– Nigdy nie widziałem, by ktoś tak robił w prawdziwym życiu. Całkiem urocze.

– O, Boże – mówię głośno, piorunując go wzrokiem. – Naz miał rację. Naprawdę jesteś najbardziej wkurzającym człowiekiem na Ziemi.

Macha lekceważąco ręką.

– Nie bądź śmieszna. Jestem niesamowity – odpowiada, po czym zbliża się o kilka kroków, tak, że stoimy niemalże piersią w piers. – A teraz mój pocałunek. – Gdy nie reaguję, stuka palcem w szorstki policzek. – No daj spokój, malutki, o tutaj. Potem powiem ci, kim jestem.

– Powiesz? – Unoszę sceptycznie brew.

Kiwa głową i przysuwa się bliżej.

– Powiem. Daję słowo. – Obraca twarz, czeka na pocałunek.

Wzdycham ciężko. Buziak w policzek wydaje się niską ceną za informacje, więc w końcu się decyduje.

Ale oczywiście Killian to Killian i rzecz nie idzie zgodnie z moim planem.

Gdy tylko wspinam się na palce i moje wargi zbliżają się na kilka centymetrów do jego skóry, łapie moją twarz w swoje wielkie, szorstkie łapy i przywiera do mnie ustami. Całuje delikatnie, wręcz czule, trzymając moją twarz niczym kochanek. Ale nie próbuje wepchnąć mi języka do ust i szybko się odkleja. Uśmiecha się do mnie z góry, a ja wzdycham z irytacją, kręcąc głową.

– Kłamałeś.

– Jestem szpiegiem. To spora część moich obowiązków zawodowych.

– Czyli nie powiesz mi, kim jesteś?

Przygląda mi się przez chwilę, gładzi mój policzek kciukiem.

– Przyjacielem, Evalino, przyjacielem – mówi bardzo cicho.

Zabiera ręce i odchodzi.

– Hej! – krzyczę, gdy oddala się przejściem między ławkami. – Dokąd się niby wybierasz?! Mam

pytania! Musimy porozmawiać!

– Nie martw się, będziemy się widywali od czasu do czasu. – Dotyka skrzydła drewnianych drzwi, ale w tym momencie się zatrzymuje, tylko lekko je popychając. Nad jego głową pojawia się aureola słonecznego światła. – I będę miał na ciebie oko, więc lepiej nie psoć – rzuca przez ramię.

Drzwi zamykają się za nim z trzaskiem, ale ułamek sekundy później otwierają się ponownie i Killian wtyka do kościoła głowę.

– Aha, a gdy już się spotkacie, nie mów mu, że znalazłem cię pierwszy, bo doprowadzi go to do szału... – zawiesza głos, po czym dodaje z szerokim uśmiechem: –... chociaż w sumie, powiedz mu, zdecydowanie mu powiedz.

– Komu?! – pytam skołowana, ale on tylko puszcza mi oczko.

Drzwi ponownie się zamykają, Killian znika.

ROZDZIAŁ 20

Eva

Wybiegam na ulicę, ale po Killianie ani śladu. Sukinsyn odstawia mi jakieś sztuczki ze znikaniem, rozpląnął się w oparach dymu, zanim zdążyłam go przycisnąć i dowiedzieć się, o kim mówił.

Gdy wracam do mieszkania, nachodzi mnie oczywiste rozwiązanie: *Connor*.

– No jasne – mruczę pod nosem, idąc zatopiona w myślach. – Tabby potrafi znaleźć każdego, wszędzie. W jakiś sposób wykopała moje fałszywe nazwisko. Ale jak to możliwe? Znają je tylko Stefan i ten gość od lewych papierów, a przecież żaden z nich by się nie wygadał. Może zauważyła moją twarz w kamerach bezpieczeństwa na lotnisku? A może Killian zamierza dać im cynk?

Tak czy siak, Tabby i Connor nie powinni się ze mną kontaktować, to dla nich niebezpieczne. Nawet przez telefon, choćby na dwa słowa. Nie mam prawa rozmawiać z kimkolwiek znajomym z poprzedniego życia. Gdyby pakhan dowiedział się, że to zrobiłam...

Sformułowanie „potoczą się głowy” okazałoby się jak najbardziej dosłowne.

Do domu docieram zatopiona w rozmyślaniach. Rozkojarzona wchodzę do mieszkania, otwierając szeroko drzwi, żeby wpuścić morską bryzę. Dzień jest piękny, pogodny i słoneczny, niebo cudnie lazuruje, postanawiam więc iść popływać w oceanie, żeby oczyścić umysł i pomyśleć.

Gdy odwracam się od okna, na środku mojego salonu siedzi szczeniak jamnika.

Jest brązowy jak orzech włoski, ma kłapciate uszy, wesołe czarne oczka, urocze krótkie nóżki i maleńki różowy jęczyzek, zwisający z radośnie otwartego pyszczka. Do obroży jest przypięty srebrny identyfikator w kształcie serca.

Psiak skowytą, macha ogonkiem, a potem zaczyna podskakiwać i dyszeć, chce się bawić.

– Wszedłeś tu za mną, maluszku? – Podchodzę do niego i topnieje mi serce. Zawsze miałam słabość do jamników i ten słodki szczeniak z całą pewnością nie jest wyjątkiem. Kiedy biorę go na ręce, szczeka, wije się i zaczyna z zapalem lizać mnie po twarzy. – No już dobrze, dobrze – mówię przez śmiech i drapię go po brzuszku. – Ja też cię kocham, ale zobaczmy, czyj ty jesteś, żebym mogła cię odnieść rodzicom.

Rzuca się tak mocno, że trudno w ogóle złapać identyfikator, ale udaje mi się po kilku próbach.

– Señor Kiełbasa II – czytam na głos ze śmiechem. – Ach, jak uroczo!

Gdy dociera do mnie, że spotkałam już jamnika o tym imieniu, uśmiecham zamiera mi na twarzy.

Na Cozumel, gdy spacerowaliśmy z Nazem po wyjściu z kina. Tamtego wieczoru opowiedziałam mu o Dmitriju, a on obiecał, że zawsze będzie dbał o moje bezpieczeństwo. Zauważyliśmy jamnika na przechadzce z panią, zatrzymaliśmy się, żeby zamienić z nią kilka słów. Gdy zapytaliśmy, jak się wabi, odparła: „Señor Kiełbasa”.

Potem powiedziała Nazowi, że powinien kupić żonie psa.

Serce zaczyna walić mi w piersi, a ręce drżeć. Przechodzą mnie dreszcze, z początku lekkie, ale szybko rozkręcają się w niekontrolowane drgawki.

Nie mów mi, że znalazłem cię pierwszy. Killian tak powiedział. Potem puścił mi oczko i zniknął.

Zwierzęca intuicja zaczyna krzyczeć, że wcale nie miał na myśli Connora.

Przytulając Pana Kiełbasę do piersi, odklejam stopy od podłogi i powoli, bardzo powoli przechodzę do sypialni, serce zaraz wyskoczy mi z piersi.

Ale w sypialni jest pusto.

W łazience też.

Nic nie wskazuje, by ktoś był w moim mieszkaniu, ale nie wierzę w takie zbiegi okoliczności.

Natomiast wierzę... wierzę każdym kawałkiem mojego złamanego serca... w cuda.

I gdy wyglądam przez okno nad kuchennym zlewem, i widzę pięknego, ciemnowłosego mężczyznę, który stoi na piasku za moim ciaśnutkiem, ogrodzonym podwórkiem z rękoma wciśniętymi głęboko w kieszenie paskudnych, beżowych krótkich bojówek, i patrzy na mnie tęsknie, potężna fala emocji, która mnie porywa, jest niczym euforia towarzysząca religijnemu objawieniu.

ROZDZIAŁ 21

Naz

Eva patrzy na mnie przez okno, jest blada, ma oszalały wzrok. Ścisza szczeniaka tak mocno, że zaraz go zmiażdży.

Gdy pies kwili, Eva otrząsa się, jakby nagle otrzeźwiała, lecz nadal nie odrywa ode mnie spojrzenia. Ja również nie potrafię przerwać kontaktu wzrokowego. Nasze spojrzenia są jak zespawane, płonące, pełne obnażonych emocji, do tego stopnia, że czuję się, jakbym stał nago, z obdartą skórą i każdym nerwem wystawionym na działanie wiatru.

Po chwili jej twarz się wykrzywia, Eva zaczyna wyc. Wstrząsający jej ramiona, podrzucający całym ciałem, duszący płacz wyrzywa mnie z bezruchu, rzucam się do niej biegiem.

Gdy wpadam do jej mieszkania i nasze spojrzenia ponownie się spotykają, jej nogi nie wytrzymują. Pada na kolana, na środku kuchni.

Przemykam przez salon, kucam obok, biorę ją w ramiona, przyciskam twarz do jej włosów, a szczeniak wije się między nami, liże nas oboje i szczeka rozradowany.

Eva podnosi głowę i patrzy na mnie. Ma mokrą, czerwoną twarz, nigdy nie widziałem niczego piękniejszego.

– Bestyjka... – mówi rozedrganym, zduszonym emocjami szeptem, jej oczy lśnią miłością i niedowierzaniem. Ponownie odbiera jej mowę, wraca do płaczu, składa głowę na mojej piersi.

– Jestem tu, kochana – mruczę, głaszcząc ją po plecach, ale bardzo ostrożnie, bo przecież te szwy i gips... *cholerny gips*... choć moje ramiona pragną ścisnąć ją z całych sił.

Pies w końcu się wyrzywa i zaczyna skakać wokół nas, młóci nas łapami i szczeka jak opętany.

I wtedy nasze usta się odnajdują. Pasują, jakby były sobie przeznaczone, tak cholernie idealnie, jakby od zawsze miały być razem. Eva odwzajemnia pocałunek z pasją i desperacją równie silną, jak moja, przywiera do mnie, zaciska w pięści moją koszulę, wtula się we mnie, a z dna jej gardła wydobywają się gorączkowe odgłosy.

Gdy pocałunek się kończy, oboje z trudem łapiemy powietrze. Płaczymy. Jesteśmy roztrzęsieni do szpiku kości.

– Żyjesz – szepcze, dotykając mojej mokrej twarzy. – Jakim cudem żyjesz?

– Nigdy bym nie pozwolił, żeby coś między nami stanęło, nawet śmierć – odpowiadam żarliwie. Te słowa wywołują kolejną porcję łkań.

– Ale... ale, gazeta... nekrolog...

– Ściema. Dla Dmitrija, żeby się nie bał, że za wami ruszę. Nie sądziłem, że zobaczysz ten artykuł. Przykro mi, że go czytałaś, że myślałaś, że...

– On nie żyje!

– Wiem...

– A Killian...

– To on mi pomógł.

– A atomówka...

– Znajdziemy ją...

– Pakhan już znalazł! – łka.

Zamieramy bez tchu, wyrzuciwszy z siebie te zdawkowe zdania. Patrzymy sobie w oczy, nasze nosy dzielą milimetry.

Moje serce łomocze tak wściekle, że to aż niebezpieczne, mam wrażenie, że już nic go nie zatrzyma i w końcu eksploduje, zamieniając się w papkę w klatce piersiowej. Udręka, tęsknota i niewyobrazalna czułość targają mną od wewnątrz. Dopada mnie wściekłość na widok jej ran. A pod tym wszystkim pojawia się gorzki posmak pogardy dla samego siebie i wstydu, bo nie spełniłem jedynej

obietnicy, jaką jej złożyłem. Że będę ją chronił.

Szwy na jej twarzy, gips na jej ręce to rażący dowód, jak kosztowne okazało się moje fiasko. Bóg jeden wie, jakie jeszcze horrory musiała znieść, koszmary, które musiały pozostawić blizny. Blizny *najgorszego* rodzaju. Takie, których nie widać, ale też nie da się zaleczyć.

Blizny, które ropieją, pożerają cię od środka, aż zamieniasz się w pustą, kruchą skorupę.

Przyciągam ją do siebie drżącymi rękoma.

– Tak wiele muszę ci powiedzieć. – Biorę głęboki wdech, żeby trochę się uspokoić. – Za tak wiele chcę cię przeprosić. Tyle wyjaśnić...

– Nie. Żadnych przeprosin. Żadnych wyrzutów. Oboje żyjemy, to drogocenny dar. Nie zamierzam go zmarnować. Nie zamierzam marnować choćby chwili na oglądanie się na ciągnące się za nami pobojuwisko, bo zbyt ważne rzeczy czekają przed nami.

Patrzy na mnie wyczekująco, jej oczy płoną gorączkową miłością. Przez chwilę jestem tak zdławiony emocjami, że nie mogę mówić.

I wtedy bierze moją dłoń i przykłada ją sobie do brzucha. Tym razem to nie z jej piersi wrywa się wstrząsający całym ciałem szloch.

To ja płaczę.

ROZDZIAŁ 22

Eva

Miesiąc później

– Przestań mnie łaskotać.

– Przecież cię nie łaskoczę.

– Naz, na serio, przecież wiesz, że nie znoszę łaskotania!

Mruga do mnie niewinnie, tłumiąc śmiech.

– Wiem, dlatego nigdy bym się na to nie poważył.

Próbuję posłać mu groźne spojrzenie, ale to niewykonalne. Jego przystojna twarz spoczywa na poduszce kilka centymetrów od mojej, a oczy mężczyzny są pełne miłości. Leżymy w łóżku, w słoneczny weekendowy poranek, ze splecionymi kończynami, nasze ciała wciąż są rozespiane.

Cóż, ja *byłam* rozespiana, dopóki te zdradliwe paluszki nie zaczęły majstrować przy moich zębach.

Gdy robią to ponownie, podskakuję i piszczę, przez co Pan Kiełbasa II zaczyna niespokojnie szczekać w swojej psiej klatce, która stoi w nogach łóżka.

– Nie żartuję! Doigrasz się pan! Zaraz ci pokażę!

Naz nie daje mi się wyrwać, zamiast tego zamyka mnie w swych stalowych objęciach. Rechocząc, wchodzi na mnie, przygważdżając mnie do materaca swoim ciepłym, rozkosznym, męskim ciężarem.

Ale udaję wściekłą, więc nie mogę mu pokazać, jak bardzo to uwielbiam.

– Super, najpierw łaskotanie, teraz przyduszanie. Złaz ze mnie, małpo, nie mogę oddychać.

– Czyżbyś nie lubiła, gdy jestem na górze?

Odpowiadam z idealnie kamienną twarzą, próbowałam dołożyć srogie spojrzenie, ale nie wypaliło.

– Faj. Nie znoszę. Wszystko, tylko nie to. Wolałabym właśnie robić pranie. Myć gary. Poddawać się zabiegowi usunięcia podejrzanego pieprzyka.

Naz całuje mnie w czubek nosa i uśmiecha się promiennie.

– Patrzcie tylko, jak łże w żywe oczy. Wiesz, że jesteś urocza, gdy próbujesz kłamać?

Mrużę oczy, bo czuję, że jakaś dłoń zaczyna zakradać się do mojej talii. Dupek zaraz przypuści niespodziewany atak łaskotkowy.

Ale już ja potrafię odwrócić jego uwagę, od łakotek i od wszystkiego innego.

Zarzucam mu rękę na szyję i przywieram piersiami do jego nagiej klaty, głęboko go całując.

I w tym momencie Naz całuje się roztapia, jak zawsze, gdy nasze usta się spotykają. Cała jego muskularna postać mięknie, rozluźnia się, emanuje ciepłem. Z głębi jego gardła wydobywa się cichy odgłos, westchnięcie przyjemności, podniecenia i głębokiej, pierwotnej żądz.

– To nie fair, Thelmo... – mówi ochryple, odsuwając się, by spojrzeć na mnie z góry. Jego spojrzenie jest przepełnione pożądaniem, powieki lekko przymknięte.

Uśmiecham się z mdlącą słodyczą.

– Wybacz, Dudleyu, ale z tego, co sobie przypominam, to ty powiedziałeś, że w miłości i na wojnie wszystko jest dozwolone.

– To strasznie oklepane – odpowiada natychmiast, z udawaną urazą – superbohater nigdy nie opowiadałby takich bzdur.

Muskam palcami nóg jego stopy, przeciągam się i rozkoszuję dotykiem jego idealnie wtulonego w moje ciało. Jego wielkiego, twardego, męskiego ciała.

Czy wspominałam coś o twardości?

– Hej... – szepczę.

Dotyka czubkiem nosa ten czuły punkt tuż pod płatkiem ucha i zaciąga się moim zapachem.

– Tak?

– Myślę, że coś się między nas wbiło?

Prycha urywanym śmiechem.

– Myślisz? – mruczy.

– Tak. – Zасыpuje moje gardło drobnymi, miękkimi jak puszek pocałunkami. – Myślę, że powinniśmy przedyskutować, jak zaradzimy temu problemowi.

Podnosi głowę i patrzy na mnie, ściągając brwi.

– Problemowi?!

Rozkoszując się dotykiem jego erekcji na brzuchu, wbijam w niego biodra, ale zachowuję poważną, zatroskaną minę.

– No tak, Dudley. To spory, całkiem spory problem i, jeśli mogę się tak wyrazić, wygląda na... pilny. Powinniśmy omówić środki zaradcze.

Uśmiecha się leniwie, seksownie, aż przechodzi mnie dreszcz rozkoszy.

– Masz rację. Powinniśmy przedyskutować rozwiązanie naszego... problemu. Jak dorośli.

Przenosi ciężar ciała tak, że jego twardy członek łąduje między moimi udami, po czym pochyla się i bierze mój sutek do ust. Ssie, dopóki nie wydobywa ze mnie jęknięcia ekstazy, na które czekał. Następnie przenosi wargi na drugi sutek i jemu również nie skąpi zainteresowania.

– Tak. Ekhem. Uważam, że... oooch... – dyszę i przerywam, by przez chwilę napawać się lekkim naciskiem jego zębów na mój czuły guziczek. – Jak mówiłam, uważam, że... ze względu na to, że jesteś koszmarnie ciężki... że to ja powinnam znaleźć się na górze i jakoś... dotrzeć do skutecznego rozwiązania.

– Rozumiem. To ze wszech miar logiczny sposób. Hmm. Daj mi pomyśleć.

Jego język omiata mój naprężony sutek. Ręce zjeżdżają w dół, między nogi i zaczynają... pocierać... bardzo delikatnie.

Gdy wydaję stłumiony dźwięk rozkoszy i rozkładam szerzej nogi, Naz wsuwa kciuk pomiędzy moje wargi i zaczyna zataczać nieśpieszne kręgi na łechtaczce. Zasłużył tym sobie na niskie jęknięcie, dzięki któremu znowu rechocze pod nosem.

– Thelmo, mam inne rozwiązanie naszego problemu – szepcze mi na ucho. – Chcesz wiedzieć, jakie?

Jego kciuk wiruje i wiruje, nabiera poślizgu, porusza się coraz szybciej. Zaczynam dyszeć. Nie czeka na moją odpowiedź.

Postanawia pokazać, co ma na myśli.

Zsuwa się szybko w dół, klęka pomiędzy moimi nogami, pochyla się, zarzuca sobie moje nogi na barki i przykłada swoje niebywale utalentowane usta... gorące, mokre i bardzo zdolne... dokładnie tam, gdzie trzeba.

Wyginam się w łuk i jęczę. Przemykam powieki. Rozkosz i szczęście eksplodują w moim ciele niczym fajerwerki.

– Kocham to, że kochasz to robić... – szepczę bez tchu, wysuwając biodra w jego stronę. – O, Boże, jak ja to kocham...

Moją wypowiedź przerywa kolejne jęknięcie, tym razem głośniejsze, bo Naz wsuwa we mnie swój gruby palec. Przez cały ten czas jego sprytny, bardzo sprytny język zamienia mnie w galaretę.

Dochodzę, szarpiąc go za włosy, rzucając się dziko i krzycząc jego imię. Jeszcze zanim orgazm przemija, on już wraca wyżej, ustawia się między moimi biodrami i wchodzi we mnie, jedną ręką łapiąc mnie za tyłek, a drugą ujmując moją głowę.

Całuje mnie głęboko, namiętnie, pozwala mi posmakować samej siebie i raz za razem wbija się głęboko, nasze serca galopują w tym samym tempie, rytm naszych ciał jest idealnie dopasowany.

Gdy zaczyna się chwiać na rozedrganych rękach, a z jego gardła wyrrywają się ochryple jęknięcia, wiem, że jest blisko, ale próbuje się hamować. Przez moment leżymy bez ruchu i tylko się całujemy. Oddajemy się długim, nieśpiesznym pocałunkom, intymnym i niewiarygodnie seksownym, zwłaszcza

że wciąż we mnie tkwi.

Ukrywa twarz w mojej szyi. Przesuwam dłońmi po jego plecach, rozkoszuję się jego naprężającymi się pod moim dotykiem mięśniami.

– Kocham cię. – Jego głos jest ochryply, przenikliwy, zduszony emocjami. – Eva, tak cholernie cię kocham.

Łzy napływają mi do oczu.

– Wiem, Bestyko – odpowiadam szeptem. – Ja ciebie też.

Naprawdę go kocham. Tak bardzo, że czasami aż boli, jak oddycham. Kocham tego mężczyznę i będę go kochała do śmierci.

– Kochana, czemu płaczesz?

Jego czuły głos jest niczym strzała przeszywająca serce. Całuje moje mokre policzki, obejmuje mnie mocniej.

Dopiero po kilku głębszych oddechach jestem w stanie odpowiedzieć.

– Trudno mi uwierzyć, że naprawdę to dostaliśmy.

– Co?

– Nasze „i żyli długo i szczęśliwie”. Czasami mam wrażenie, że powinnam się uszczyplić i sprawdzić, czy to nie sen.

– To nie sen, kochana – mruczy, wpatrując się we mnie, w jego oczach również mienią się łzy. – I będzie coraz lepiej.

– Obiecujesz?

Zmusza się do cwaniackiego uśmiešku.

– Słowo superbohatera.

– No to dobrze... – przerywam i uśmiecham się do niego. – Ale nasz problem nadal czeka na rozwiązanie.

Naz cmoka.

– Jak sierżant! Nie mogę uwierzyć, że związałem swoje losy z taką władczą jędzą! – Krzywi się, starając się ukryć rozbawienie.

– Związałeś losy? Ile ty masz lat, dziewięćdziesiąt?

Wbija się we mnie gwałtownie, wdiera się głębiej, jego oczy płoną.

– Czy ja ci wyglądam na dziewięćdziesięciolatka?! – warczy.

Śmieję się z rozkoszą i szczęściem.

– Nie. Kajam się za tę obrazę dla twego galaktycznego ego, superbohaterze. Czasami zapominam, jak bardzo jest kruche.

Naz napręży mięśnie i wypina mocno klatę.

– Kruche?! Ha! Małeńka, nie ma we mnie ani jednej kruchej rzeczy. Jestem jak z teflonu! Z nierdzewnej stali!

Powstrzymuję się od przewracania oczami, bo tylko bym go tym rozochociła. Zamiast tego przyciągam jego głowę niżej i ponownie go całuję, wkładając w to całe serce i całą duszę, dając mu to, czego potrzebuje.

A on rewanzuje mi się podwójnie.

Mija wiele godzin, zanim w końcu zwlekamy się z łóżka. Mamy dziś ważną wizytę lekarską i nie chcę się spóźnić.

Do gabinetu idzie się dwadzieścia minut spokojnym spacerkiem. Na miejscu rejestruję się pod przybranym nazwiskiem, siadamy w zatłoczonej poczekalni na paskudnych krzesłach w identyczną kratę i szczerzymy się do siebie durnowato.

– Powiedz mi, Thelmo... – zagaja Naz, zarzucając jedną opaloną nogę na drugą. Siedzi naprzeciwko mnie, zagarnia swoją majestatyczną osobą całą przestrzeń, jego emanująca siłą męskość sprawia, że odkąd tylko weszliśmy, młoda recepcjonistka trzepocze dziko rzęsami. Nawet te paskudne krótkie bojówki nie odbierają mu uroku.

Ciągle grożę, że spalę mu te wszystkie portki, ale wie, że tego nie zrobię. Zaczynam się do nich przyzwyczajać.

– Tak, Dudleyu?

– Jakie są twoje prognozy? Chłopiec czy dziewczynka?

Rumienię się z radości. On uśmiecha się szeroko, jak wielki, pękający z dumy tata-miś.

– Chłopiec, tak myślę.

– Tak? A to dlaczego? – pyta.

– Bo mdli mnie od tygodni. Pewnie już nosi krótkie bojówki.

– Ha. Powinnaś zostać komiczką.

– Och, czyżbym zapomniała wspomnieć? Dostałam fuchę na wycieczkowcu, właśnie jako komiczka. – Puszczam mu oczko.

Kilka krzeseł dalej siedzi starsza kobieta, czyta gazetę, ale teraz zmierzyła mnie wzrokiem nad krawędzią okularów i zmarszczyła czoło. Chyba nie pochwała mojej kariery.

– Czyżby? – Ton Naza robi się surowy, a uśmiech znika. Też zauważył, że mamy publiczność. – I kiedy zamierzałaś mnie o tym poinformować?

Wzruszam ramionami, najbardziej beztrusko, jak potrafię, czuję, że spojrzenie kobiety nabiera jeszcze większej ostrości.

– Teraz cię informuję. Chyba powinieneś też wiedzieć, że jutro wypływam. Wyruszamy do Europy, o dziewiątej zero-zero.

– Do Europy?! – Naz udaje obruszenie. – Wywozisz moje dziecko z kraju?!

Zarzucam włosy za ramię i tłumię ziewnięcie.

– Do Norwegii. Zawsze chciałam zobaczyć fiordy. I weź się uspokój, nawet jeszcze nie urodziłam tego głupiego dzieciaka. Mogę płynąć, gdzie mi się podoba, nie muszę cię pytać o zgodę.

Widzę kątem oka, że kobieta pokraśniała. Wściekle przerzuciła stronę gazety, co chwilę to zarzuca jedną pulchną nogę na drugą, to ją ściąga.

Mierzymy się z Nazem zabójczymi spojrzeniami, próbujemy się nie śmiać.

– Bynajmniej, wcale nie możesz płynąć, gdzie ci się podoba. Jestem ojcem, mam swoje prawa!

Wydaję z siebie spektakularne jęknięcie w stylu rozpieszczonej nastolatki, kiwam się na krześle i wdycham.

– Człowieku, nie jesteś moim szefem. I wiesz co? Nie pozwolę, żeby to dziecko stanęło na drodze moich marzeń – oznajmiam podniosłym tonem. – Poważnie rozważam, czy nie oddać go do adopcji. Na co komu takie obowiązki? Dzieci to kula u nogi. Ej, jest w pobliżu jakiś bar? Napiłabym się martini...

Kobieta zasysa ostro powietrze i wściekle szeleści gazetą. Na szczęście w tym momencie recepcjonistka woła nas do gabinetu, bo za chwilę chyba dostałabym brukowcem po głębie.

Gdy drzwi poczekalni się za nami zamykają, Naz szczyplenie mnie w tyłek i szepcze mi na ucho:

– Myślisz, że zadzwoni po opiekę społeczną?

– Bez dwóch zdań. Musimy się stąd szybko zmywać.

Zostajemy wprowadzeni do gabinetu, miejsca, które ewidentnie zostało zaprojektowane dla małych ludzików o małych stópkach. Naz ledwie się mieści. Ciągle o coś zahacza, więc w końcu zajmuje miejsce pod ścianą, a gdy lekarka wchodzi, przykleja się do fasady całymi plecami, bo inaczej oberwałby drzwiami w nos.

– Thelma. Miło cię znowu widzieć.

To ta sama lekarka, która zapisała mi witaminy prenatalne i zdjęła gips. Ma na imię Flora i nalega, by pacjenci mówili jej na „ty”, zwłaszcza ci, u których podejrzewa przemoc domową.

Kiedy Naz przyszedł ze mną na zdjęcie gipsu, potraktowała go tak lodowatym spojrzeniem, że prawie zamienił się w sopel.

Teraz uśmiecha się do niej zyczliwie, ale w rewanżu otrzymuje tylko jadowite zmrużenie powiek.

– Pani doktor.

– Proszę pana.

W tym przypadku o przechodzeniu na „ty” nie ma mowy. Szkoda mi go, ale jestem zbyt podekscytowana, żeby się tym przejmować.

– Gdzie mam się udać?

Flora wskazuje na wygodny niebieski fotel przykryty cienkim papierem, obok stoi niewielki stolik, a na nim komputer, klawiatura, monitor i pełno innych urządzeń medycznych, w tym najważniejsze – głowica, która wyłapie sonogram mojej macicy i przekaże go na ekran. To mała plastikowa różdżka, niewiele większa od myszki.

– Połóż się, proszę, i unieś koszulkę. Nałożę ci na skórę trochę żelu, który pomoże w wizualizacji. Może być trochę zimny.

Wskakuję na fotel i wypełniam polecenia, unoszę koszulkę, zsuwam spódnicę na biodra, żeby miała wygodny dostęp do brzucha. Nadal jest płaski, lekarka mówi, że zaczniesz pęcznieć w drugim trymestrze.

Nie mogę się doczekać. Póki co wyglądam jak wariatka, bo wszędzie, gdzie łożę, chwytam się za nieistniejący brzuch, jakbym miała problemy trawienne.

– No to jedziemy.

Flora zakłada niebieskie rękawiczki i wyciska mi na brzuch wielki kleks żelu prosto z tubki.

Kłamała. Nie jest „trochę” zimny, ma temperaturę lodowca. Krzyczę cicho i przechodzi mnie dreszcz.

– Przepraszam.

Z tonu Flory nie wynika, by naprawdę było jej przykro, ale wybaczam jej, bo ciepło się uśmiecha. Następnie przykładła głowicę do tej mazi i rozsmarowuje ją, zapaskudzając mi cały brzuch.

Na monitorze pojawia się nieostry, czarno-biały obraz. Nic na nim nie widzę. Przypomina krajobraz obcej planety. Dostrzegam jedynie ciemne jaskinie, w których fruwały jakieś białe duchy. Mrużę oczy, próbuję wychwycić cokolwiek.

– Na co patrzymy?

– Na główkę.

Naz zadał to pytanie cicho, z ogromnym szacunkiem. Zerkam na niego, nadal jest przyklejony do ściany, ale oczy ma jak spodki. Zbladł, trzęsą mu się ręce. Patrzę ponownie na ekran.

– Gdzie? Które wybrzuszenie to główka?

Lekarka pokazuje, ale dalej nie widzę. Wszystko wygląda jak dryfujące w jakiejś bańce kawałki pierogów.

Wtedy lekarka wciska klawisz i pokój wypełnia dziwny odgłos. Szybki i nerwowy, jakby spod wody, jakby ktoś stuknął w poszycie okrętu podwodnego.

– To moje jelita?

– To bicie serca dziecka.

Prawie spadam z fotela. Przecież ten hałas jest taki głośny, że pewnie słyszą go z ulicy.

– Bicie serca?!

Gdy spoglądam na Naza, po jego twarzy płyną łzy. Wyciągam rękę, zbliża się na miękkich nogach, potarćając metalową tackę na kółkach, leżące na niej przyrządy wylatują z hukiem na podłogę.

– Bicie serca... – wzdycha. Patrzymy na siebie wytrzeszczonymi oczami i słuchamy tego cudownego odgłosu niczym niebieskich trąb, zwiastujących zstąpienie anielskich zastępów.

– O... – rzuca lekarka zaskoczona, przez co niemal schodzę na zawał. Zrywam się do pozycji siedzącej i wrzeszczę:

– O? Jakie „o”?! Co to znaczy?!

Patrzy na mnie, a potem na Naza. Bynajmniej nie śpieszy się z wyjaśnieniami, do ciężkiej cholery.

– Moi drodzy, słyszę więcej niż jedno tętno.

Naza zatacza się na mnie i prawie miażdży mi dłoń.

– Dziecko ma dwa serca?!

Flora jest profesjonalistką, muszę jej to oddać. Zachowuje cierpliwość i opanowanie w obliczu dwojga rozwrzeszczanych pomyleńców i spogląda na nas z jedynie cichutkim westchnięciem niedowierzania.

– Nie, proszę pana. Mamy tu dwa płody. Będziecie mieli bliźniaki.

Ktoś wyssał z gabinetu całe powietrze.

– Bliźniaki... – szepcze Naz po całej wieczności.

Obracam głowę i patrzę mu w oczy. W jego oszołomione, pełne miłości i błogości spojrzenie, w którym widzę moją szczęśliwą przyszłość.

Do mieszkania wracamy w nabożnym, zszokowanym milczeniu. Na miejscu, na schodkach, czeka na nas bukiet kwiatów. Jest jaskrawy, wielobarwny, dostrzegam w nim słoneczniki, stokrotki i wianeczniki.

Naz odrywa od bukietu dołączony liścik, czyta i... zaczyna się cicho śmiać.

– Co to, kochanie? Co tam napisano?

Przekazuje mi liścik bez słowa, szczerząc zęby i kręcąc głową, po czym otwiera drzwi i wnosi bukiet do środka. Pan Kiełbasa II wita go uradowanym szczekaniem.

Patrzę na liścik i czytam.

Naz i Evo, moi drodzy,

gratuluje bliźniąt. Z osobistego doświadczenia wiem, że bliźnięta to prawdziwy dar od Boga. Nie będę zaskoczony, jeżeli nazwiecie chłopca po mnie.

Killian

– Chłopca?! – krzyczę, choć nawet nie wiem do kogo. – Jedno z bliźniąt to chłopiec? Skąd on to wie, do cholery?!

Słyszę gdzieś obok śmiech, odwracam się gwałtownie, ale nikogo nie widzę.

Potem śmieję się już tylko ja.

EPILOG

Naz

Rok później

Nie jestem religijny.

Nie zrozumcie mnie źle – mocno wierzę, że gdzieś tam jest coś większego ode mnie. Większego od wszystkich. Jakaś nieskończona inteligencja, która kieruje światem i pierdyliard lat temu zainicjowała tę całą hucpę. Energia, którą możemy wyczuć, jeśli dostatecznie się skupimy, jeżeli uchylimy wieko serc na tyle, by ją wpuścić. Ale nigdy nie będę łaził do kościoła, śpiewał psalmów i klęczał w ławce. Nie przyłapięcie mnie na cytowaniu Biblii ani wykonywaniu znaku krzyża na piersi.

Nie potrzebuję tego. Zawarłem porozumienie z siłą, którą niektórzy nazywają Bogiem. Jest proste i rzeczowe, jak lubię.

Ja wierzę w niego. On wierzy we mnie.

Wszystko między nami gra, między mną, a tą powszechną energią. A w takich chwilach... gdy patrzę przez okna studia tańca Evy, jak uczy dzieci baletu... ta energia tak we mnie szaleje i płonie, że czuję się jak ten cholerny krzew gorejący Mojżesza.

Eva zerka w bok i zauważa, że się przyglądam. Jej twarz rozświetla uśmiech, jak zawsze, gdy mnie widzi.

Piękny ten uśmiech. Biorąc pod uwagę wszystko, co przeszliśmy, żeby znaleźć się w miejscu, w którym dziś jesteśmy, ten gest radości jest cudem.

Unoszę rękę, odwzajemniam się szerokim uśmiechem i pokazuję głową, że wejdę do środka od tyłu.

Posyła mi buziaka, po czym ponownie skupia się na dzieciach. Po jej lewej, przy obłożonej lustrami ścianie, stoi podwójny szary wózek, a w nim drzemią dwa owinięte w żółte kocyki bobasy.

Eva mówi, że żółty to kolor neutralny płciowo. Nie chce kupować połowy rzeczy różowych, a połowy niebieskich, uważa też za niedorzeczne, że ludzie chcą ubierać dzieci w zgodzie ze staroświeckimi zapatrywaniami na męskość i kobiecość. Z tego, co rozumiem, gdy pewnego dnia nasz syn oświadczy, że chce chodzić w sukience, a córka zażyczy sobie skórzanych oficerek i garnituru w prążki, bez mrugnięcia okiem powiemy: „nie ma sprawy”.

Bo chyba o to chodzi w miłości, prawda? Że jest bezwarunkowa?

Przynajmniej według nas. Oboje doskonale wiemy, że gdy zaczniesz obwarowywać miłość ograniczeniami, to nie będzie już miłość.

Prawdziwa miłość jest pozbawiona haczyków.

Nie mogę się doczekać, kiedy obejmę Evę, obiegam więc ceglany budynek i truchtam uliczką na tyłach. W Los Cabos wstał dziś ciepły, słoneczny poranek, nad nami ciągnie się bezchmurne, błękitne niebo, choć jest nieco wilgotniej niż zazwyczaj. Gdy tylko wbiegam na parking, staję jak wryty.

A potem wybucham śmiechem.

– Proszę, proszę, toż to pewien upierdliwy szpieg!

Uśmiechnięty Killian opiera się leniwie o budynek, z jedną obutą w wysokie buty stopą wspartą o mur, z wytatuowanymi rękoma skrzyżowanymi na piersi, odchyloną głową i przymkniętymi oczyma.

– Niesamowity szpieg – poprawia mnie z przesadnym irlandzkim akcentem. Obraca głowę i patrzy na mnie. – Ile razy mam ci to powtarzać, stary?

Podchodzę do niego, rechocząc pod nosem. Odpycha się od ściany, prostuje i podaje mi rękę, susząc kły.

Oczywiście uścisk dłoni zamienia się w konkurs, który mocniejszy. Jestem pewien, że obaj mamy już połamane małe palce, ale i tak szczerzymy się do siebie jak dwaj kretyni, którymi jesteśmy, bo żaden

z nas nie chce puścić pierwszy.

– Pewnie tyle samo razy, ile ja ci mówiłem, żebyś dał spokój z tymi fałszywymi akcentami – odpowiadam. – Czy ten etap naszej relacji nie jest już za nami?

– Weszło mi to w krew – stwierdza, miażdżąc mój nadgarstek.

W rewanżu też dokładam siły i z satysfakcją zauważam, że drgnęła mu lewa powieka.

– Dzięki, że miałeś na nich oko pod moją nieobecność.

– Żaden problem. Jak poszło? – pyta, porzucając akcent.

Zaczynam tracić czucie w ręce, ale prędzej przyjmę kulkę, niż puszczyć pierwszy.

– Porywacze byli niezdarni. Znaleźliśmy dziewczynę po kilku dniach. Bułka z masłem.

W oku Killiana pojawia się nowy, podejrzany błysk.

– Nie mogło być inaczej. Metrix jest najlepszy w odnajdywaniu ludzi.

Przestaję potrząsać ręką – ale oczywiście nie puszczam – i patrzę na niego groźnie.

– Jeżeli próbujesz mi wmówić, że przyłożyłeś rękę do tego, że tak szybko ją znaleźliśmy, prawdopodobnie walnę cię w krtań.

Odrzuca głowę do tyłu i wybucha śmiechem, a potem puszcza moją dłoń i po przyjacielsku klepie mnie w plecy.

– Och, ten temperament! Już zapomniałem, jak bardzo lubię wysłuchiwać twoich gróźb. – Wzdycha teatralnie, jakby poczuł się urażony. – Choć zawsze chętnie pilnuję twojej rodziny, gdy musisz wyjechać z kraju za robotą.

– Dlatego powiedziałem „prawdopodobnie” – burczę, naprężając nadgarstek. – I obaj doskonale wiemy, dlaczego robisz to tak chętnie, dupo wołowa. Nie odgrywaj mi tu świętego.

– Gdybyś naprawdę się tym martwił, to nie prosiłbyś mnie na okrągło o przysługę – odpowiada, wzruszając ramionami.

Brakuje mu nawet tej odrobiny przyzwoitości, by zawstydzić się, że wciąż czuje miętę do mojej kobiety. Ale ma rację, nie martwię się tym. Eva traktuje go jak starszego brata, a ja, pomimo jego narcyzmu i braku skrupułów, czuję, że nigdy nie przekroczy granicy.

Ten palant naprawdę jest dżentelmenem. Nie przyznałbym tego na głos, nawet gdyby łamali mnie kołem, ale ufam mu.

Pomimo faktu, że facet w zasadzie nie istnieje.

Według Tabby nigdzie nie zostawia za sobą śladów. Żadnych odcisków, żadnego DNA, żadnej zweryfikowanej daty urodzin, żadnego nazwiska. Nie figuruje nawet w bazach danych CIA i NSA, co skłoniło Tabby do wysnucia wniosku, że się tam włamał i sam pousuwał informacje na swój temat.

Jedynym konkretem, nad którym mogła pracować, są jego tatuaże. Odkryła, że podobne ma kilkanaście prominentnych postaci na przywódczych stanowiskach, od zorganizowanej przestępczości, przez politykę, po biznes. Nie licząc dziar na knykciach, nie ma między nimi żadnych dostrzegalnych związków, ale wszyscy mają władzę, kontakty i, jak raczyła ująć to Tabby, cechują się „niejednoznaczną moralnością”.

Powiedziała, że wszyscy są łotrami niosącymi dobro. Albo porządnymi facetami czyniącymi zło? Tak czy siak, wychodzi na to, że Killian należy do jakiejś anonimowej, tajnej siatki, która skupia się na wystawianiu rachunków i pilnowaniu *prawdziwych* łotrów, którzy robią *naprawdę* złe rzeczy.

Innymi słowy, jest antybohaterem.

Jak na mój gust to nieco zbyt fajne określenie, zwłaszcza, że gnojek wygląda jak ucieleśnienie marzeń wszystkich nastolatków.

Fuj.

Na widok mojej miny ponownie wybucha śmiechem.

– Boże, ta mina. Gdybyś tylko mógł nią zabijać.

– To zginąłbyś tysiąc razy – przyznaję bez wahania. – Wchodzisz do środka się przywitać czy co?

Spogląda w stronę słońca i mruży oczy.

– Nie. Możesz przekazać Evie pozdrowienia.

– Będzie wkurzona.

– Jakoś to przeżyje.

– Jak wolisz... – zawieszam głos. – No i dziękuję. – Gdy zerka na mnie z ukosa i wykrzywia usta do ironicznego uśmiešku, dodaję poważnie: – Mówię serio. Dziękuję, Killian. Dobry z ciebie przyjaciel. Przekrzywia głowę i przygląda mi się badawczo, ściąga brwi z namysłem.

– Przyjaciel – powtarza, jakby słyszał to słowo pierwszy raz.

Przewracam oczami.

– Noż, do chuja pana, bracie. Możesz mieć przyjaciół, nawet jako przezajebisty-twardziel-superszpieg.

Jego brwi wystrzeliwiają na szczyt czoła.

– Masz mnie za przezajebistego-twardziela-superszpiega? I na przestrzeni dwóch zdań nazwałeś mnie „przyjacielem” oraz „bratem”? Czy teraz czeka mnie wyznanie miłości? Bo wiesz, jesteś bardzo miły, ale ja nie gustuję w takich relacjach...

– Nazwij mnie miłym jeszcze raz, a podbiję ci oko.

Uśmiecha się, wprost ociekając satysfakcją.

– Tak lepiej. Przy groźbach czuję się bardziej komfortowo.

– Lepiej poczuj się komfortowo z przyjaźnią, człowieku, bo czy ci się to podoba, czy nie, masz przyjaciela.

Mina mu rzednie. Przez chwilę patrzymy na siebie, po czym wydusza:

– Heh...

Chyba jest zdumiony. Bardzo dobrze.

– No, pogódź się z tym. I wiesz, że ten szajs działa w obie strony. Potrzebujesz mnie, dzwonicz i jestem. Zrozumiano? – pytam.

Gdybym go nie znał, pomyślałbym, że oczy zaszyły mu mgiełką. Szybko obraca głowę, ponownie patrzy na słońce, mrużąc powieki i wraca do swojej standardowej, wkurzającej tożsamości.

– Nie potrzebuję niczyjej pomocy – oświadcza, lekceważąco machając ręką.

– Okej, fajnie się gadało – mówię, rechocząc. – To na razie. – Klepię go w plecy i odwracam się, by odejść. Otwieram drzwi do studia baletu i już chcę wejść, gdy Killian mówi:

– To Niemcy.

Obracam się, patrzę na niego zdziwiony.

– Jacy Niemcy? O czym ty mówisz?

– O tym, jak Dmitrij was wtedy znalazł – odpowiada, wsadziwszy kciuki za szlufki spodni.

Ścina mi krew w żyłach. Metrix dalej z nimi pracuje. Connor dzwoni do tej ekipy, gdy tylko potrzebuje ludzi w Europie. Powoli zamykam drzwi i patrzę na niego z niedowierzaniem.

– Ale... to nasi ludzie. Connor pracuje z nimi od lat. Nie są najostrzejszym orężem w naszym arsenale, ale wielokrotnie się sprawdzili.

Killian kręci głową.

– Nasir, mówiłem ci już dawno temu, nigdy nie wiesz, po której stronie kto tak naprawdę jest. Günter i jego ekipa pracują dla tego, kto najlepiej zapłaci. Nie mają żadnej przynależności narodowej, żadnej etyki, a lojalni są wyłącznie wobec twardej waluty. Trochę mi to zajęło, bo są ekstremalnie ostrożni, ale zdobyłem żelazne dowody.

Przypominam sobie tego napszonego Szkopa, który tamtej nocy, gdy Dmitrij porwał Evę z wiedeńskiego mieszkania, opowiadał, że skoczyli coś zjeść, bo ma problemy z cukrem. Przypominam sobie, jak tłumaczył, że Günter ma znajomości na wysokim szczeblu, przypominam sobie, jak Günter pewnie i spokojnie wyszedł na spotkanie z policją...

Grali na oba fronty. *Na wszystkie fronty.*

– Skurwysyny. Chuje.

– Tak, zapewne masz rację – stwierdza Killian, krzywiąc się. – Miałem się nimi zająć, ale uznałem, że sam zechcesz czynić honory.

Przypominam sobie, do czego doprowadziła ich zdrada, i krew się we mnie gotuje.

– I dobrze uznałeś, do cholery. Prześlij mi te dowody, najszybciej, jak możesz.

– Zrobi się. A teraz wybacz, muszę wracać do ratowania świata. Przekaż pozdrowienia *bhréagha*.

– A właśnie, dupku, przypomniałem sobie. Sprawdziłem, co to znaczy.

– W końcu zrozumiałeś, że to oznacza „piękna”.

Posyła mi mdłe spojrzenie, które kwituję cwaniackim uśmieszkiem, na moment zapominając o wściekłości na Niemców.

– Może w szkockim gaelickim, ale nie w irlandzkim. Musisz nieco lepiej weryfikować swoje cudzoziemskie pieszczotliwe przezwiska.

– Naprawdę? – Wygląda na szczerze zaniepokojonego.

– No przecież pierdole bym pierdół nie wciskał – rzucam zadowolony z siebie.

Przez chwilę patrzy na mnie bez słowa, po czym pyta kwaśno:

– Jak długo czekałeś, żeby cisnąć mi tym w twarz?

Mój cwaniacki uśmieszek zamienia się w szeroki wyszczerz. Tak rzadko punktuję w sporach z Killianem, że zamierzam delektować się każdą chwilą.

– Nie martw się, bracie. Nikomu nie zdradzę, że wcale nie jesteś ideałem.

– I to niby ja jestem irytujący – wzdycha, kręcąc głową.

Po tych słowach odwraca się i odchodzi, rzucając mi przez ramię dziarski salut. Patrzę za nim, dopóki nie znika za rogiem budynku, gdzie zapewne rozpląnął się w powietrzu.

Albo podziwiał własne odbicie w szybie.

Wchodzę do studia z szerokim uśmiechem na ustach. Z korytarza dolatują mnie dźwięki fortepianu, aż przechodzę do truchtu. Nie było mnie tylko kilka dni, ale wystarczy jedna noc rozłąki z rodziną i robię się niespokojny.

Och, kogo ja oszukuję? Już po godzinie czuję ucisk w piersi.

Gdy słyszę głos Ewy, serce zaczyna łomotać mi w piersi.

–... i plié. Blanca, obróć stopę. *Júntalos. Si, bien.* Skłon i wyprost... *ponte derecha.* Dobrze!

Jej hiszpański jest lepszy z każdym dniem. Przy pomocy przyjaciółki poznanej na kursie jazdy samochodem, na który zapisała się przed porodem, prowadzi zajęcia, mieszając hiszpański z angielskim. Uczennice – głównie dziewczynki między czwartym a ósmym rokiem życia – ją ubóstwiają, a ona je. Kocha dzieci. Zapowiedziała już, że chce więcej własnych, choć bliźniaki mają zaledwie kilka miesięcy.

Oczywiście nie szczędzę wysiłków, by spełnić jej prośbę.

I jestem *skrajnie* oddany temu zadaniu.

Na chwilę przystaję w prowadzącym do przestronnego, rozświetlonego słońcem studia, bo chcę sprawić sobie przyjemność i przez moment popodziwiać moją kobietę. Stoi twarzą do uczennic, plecami do mnie, skupiając całą uwagę na ustawionych przy barierce dziewczynkach w różowo-białych trykotach.

Jest bosa, ma na sobie luźną sukienkę z białego szyfonu, który przy każdym ruchu fruwa wokół jej szczupłych nóg, a pocałowane słońcem włosy opadają kaskadami na ramiona. Wygląda jak anioł.

Jest aniołem. *Moim* aniołem. Zaciekłym i uroczym, silnym i dzielnym. Jest piękną duszą o tak dobrym sercu, że nawet sam diabeł by go nie nadszarpnął.

A próbował, wierzcie mi.

– ¡*Hola, Señor* Naz!

Jedno z dzieci mnie zauważyło i zaczęło machać ręką jak opętane. Reszta idzie w jego ślady. Tuzin małych dziewczynek zaczyna skakać, machać i wyrzaskiwać chórem powitania.

Eva się obraca, jej sukienka wiruje wokół ud. Przyskakuje do mnie z lśniącem wzrokiem, uśmiechem i pada w moje wyciągnięte ramiona.

– Wróciłeś wcześniej!

Obejmuję ją mocno, wtulam twarz w jej szyję i zaciągam się aromatem jej skóry. Aromatem domu.

– Przyjechałem prosto z lotniska – tłumaczę, nieco ochryple, z pewnym drżeniem.

Eva śmieje się nisko i gardłowo. Całuje mnie w skroń i szepcze mi na ucho:

– Stęskniłeś się, prawda?

Odsuwam się nieznacznie i uśmiecham się, widząc przed sobą jej piękną twarz.

– Thelma, no już, już, wiesz, że ledwie cię znoszę, nie dajmy się ponieść, okej? Przyjechałem

prosto tutaj, bo... – Rozglądam się w poszukiwaniu choć śladowo logicznego wyjaśnienia. – Postanowiłem, że muszę spróbować tego całego baletu.

– Tak? – Unosi brew, w jej oczach tańczą iskry rozbawienia. – W tak zaawansowanym wieku, Dudleyu? Nie zaszkodzi ci na te zeszywniałe stawy?

Całuję ją mocno, zaciśniętymi wargami, i mamroczę:

– Żeby ci zaraz nie pokazał czegoś zeszywniałego, kobieto – mamroczę pod nosem.

– Wiedziałam! – rzuca i wybucha śmiechem.

Pianistka, starsza pani z narkolepsją, która często nagle zasypia w samym środku lekcji, wymownie odchrząkuje. Gdy patrzymy na nią z Evą, mierzy nas wzrokiem znad okularów i zaciska z całych sił wargi.

Przywykła, że nie kryjemy się z uczuciami, ale to nie znaczy, że to pochwała.

– W porządku, Eva. Dokończ zajęcia.

Inez, ta przyjaciółka ze szkoły jazdy, podchodzi do nas z uśmiechem. Jest drobną brunetką o słodkiej twarzy i równie słodkim usposobieniu.

– Na pewno? – pyta Eva.

– Ta, jasne. – Inez posyła mi konspiracyjne oczko i, zerkając w stronę fortepianu, mówi cicho: – Idźcie do domu, zanim pani Garcia się zeźli.

Odwraca się do dziewczynek i wydaje jakieś polecenia po hiszpańsku, pokazując pani Garcii, żeby grała.

Nie czekam, aż ktokolwiek zmieni zdanie. Chwytam wózek, łapię Evę za rękę i spieprzam stamtąd w cholerę, bo nie mogę się doczekać, kiedy wrócę z moją kobietą do domu i wyłuskam ją z tej sukienki.

Gdy wchodzimy, Pan Kiełbasa II wyleguje się w ulubionym punkcie dywanu przy oknie w salonie. Słyszając, że otwierają się drzwi, przewraca się na plecy, rozciąga, szczerka sennie i kilka razy macha na powitanie ogonem, ale potem szeroko ziewa i z powrotem zamyka oczy.

– Tatusz już w domu! No chodź się przywitać! – woła do niego Eva.

Odpowiada kolejnym ziewnięciem.

– To krzyżówka jamnika z leniwcem – stwierdzam, zamykając stopą drzwi i balansując trzymanym w każdej ręce dzieckiem. Eva weszła pierwsza, z wózkiem, opasła torbą pieluch i gigantyczną torebką przerzuconą przez ramię. Potrafi dźwigać tyle bagażu, że mogłaby zostać szerpą.

– Głodny? – woła przez ramię, rzucając torbę i torebkę na drewnianą ławkę w korytarzu. – Mogę coś przyrządzić.

Gdy składa wózek, zakradam się od tyłu i całuję ją w potylicę.

– Owszem, tatuś jest głodny – warczę w jej włosy. – Ale jedzeniem się nie nasyci, do cholery.

Obraca się, śmieje cicho, ale od razu daje mi też reprimendę:

– Kochanie, język!

– Bliźniaki jeszcze mnie nie rozumieją. – Uśmiecham się szeroko do zawiniątka w zagięciu mojej ręki. Sofia, na szczęście dla niej, odziedziczyła po mamie różane usta, szeroko rozstawione oczy i skórę gładką jak kwiatowe pąki. – Prawda, kochanie, prawda?

Gdy maleństwo coś grucha i wymachuje piąstkami, zwracam się do zawiniątka w drugiej ręce.

– A ty co powiesz, Nico? Rozumiesz zbzikowany język tatusia?

Nico twardo śpi, więc odpowiada, jedynie wypuszczając strużkę śliny z ust na bródkę.

– Nadal nie wierzę, że pozwoliłam ci nazwać dziecko po jakiejś gwiazdce rocka, której nawet osobiście nie znam! – unosi się Eva z udawanym oburzeniem.

– Przepraszam, ale tak się składa, że ta gwiazda to mój najlepszy kumpel. I wiesz, że próbujemy zorganizować wizytę, więc przestań zrzędzić.

– Ale żebyś nie przychodził z pretensjami, jak twój syn zaczyna dorastać i od razu zorganizuje sobie stadko groupies.

To oklepany temat, oboje udajemy, że jest kością niezgody, lecz tak naprawdę nas bawi. Tacy

już jesteśmy.

– To, że nosi imię po sławnym muzyku, nie znaczy, że pójdzie w jego ślady. A gdybyś akurat zapomniała, taki był układ. Ty wybierasz jedno imię, ja drugie.

– Owszem, i nazwałam Sofię po matce. To popularne imię w naszej rodzinie. Mogłeś też tak zrobić!

Patrzę na nią jak na głupią.

– Racja. Powiniennem nazwać syna po ojcu... – Robię teatralną pauzę. – Zouhair.

Oboje patrzymy na malucha, w końcu Eva mówi niepewnie:

– No... może w dojrzałym wieku... by mu pasowało...

– Masz pojęcie, ile trzeba dojrzewać do takiego imienia?

– Ze sto lat?

– Dokładnie. A Nico pasuje od razu. Koniec dyskusji. Teraz połóżmy je spać, kobieto. – Obniżam głos. – Bo mamusia i tatuś też muszą się zdrzemnąć.

– Zdrzemnąć? – pyta Eva niewinnie, odbierając ode mnie Sofię i tuląc ją do piersi. Idę za nią korytarzem do pokoju bliźniaków, patrząc, jak buja biodrami.

Gdy nasza rodzina się rozrosła, przenieśliśmy się do bungalowu niedaleko poprzedniego mieszkania. Mam przeczucie, że za rok znowu czeka nas przeprowadzka.

Jeżeli wszystko ułoży się po mojemu, w końcu będziemy potrzebowali lokum wielkości hotelu.

– Wiesz... – kontynuuje Eva tym samym, niewinnym tonem –... bardzo dobrze wczoraj spałam. Wcale nie jestem zmęczona. W gruncie rzeczy planowałam po południu popracować w ogrodzie. Może podgonię też papierkową robotę.

Mała wiedźma. Szczypię ją w tyłek, na co piszczy i wybucha śmiechem.

– Okej, szefie, może rzeczywiście przyda się krótka drzemka.

Przechodzi przez drzwi, rzucając mi zawstydzone spojrzenie.

Parskam śmiechem, bo oboje wiemy, że „krótka” znaczy mniej więcej: „jak długo pozwolą nam spać dzieci”, a z tym może być różnie.

Dzięki rodzicielstwu staliśmy się mistrzami efektywnego wykorzystywania czasu, ale nasz apetyt na siebie bynajmniej nie zelżał.

Zmieniamy szybko pieluchy i układamy dzieci w łóžeczkach. Potem stajemy obok siebie i w niemym zachwycie podziwiamy te małe bużki, które sami stworzyliśmy. Te idealne paluszki, rączki i stópki.

Wiem, że jestem najszcześliwszym facetem w historii. W całej układance brakuje tylko jednego kawałeczka, ostatniego elementu, który dopełniłby moje szczęście... i choć wszystko zaplanowałam i nie mogę się doczekać, to ta chwila wydaje się święta, mogłaby trwać wiecznie.

– Mam coś dla ciebie – mówię cicho.

– Wiem, kowboju – rechoce Eva cierpko. – Ale utrzymaj go w spodniach jeszcze kilka chwil.

– Nie mówię o nim.

Obraca się do mnie z pytającym spojrzeniem. Gdy zauważa, jak na nią patrzę, na jej twarzy pojawia się niepokój.

– Boże. Mów, szybko, zanim pomyślę o najgorszym.

– Wsadź mi rękę do kieszeni.

Eva przewraca oczami.

– Kochanie, chyba właśnie powiedziałam, żebyś na razie trzymał go w spodniach. Jesteśmy w sypialni dzieci, na miłość boską!

– Kobieto – odpowiadam stanowczo, obracając ją ku sobie i ujmując jej twarz w dłonie – choć raz zrób, co mówię. Wsadź. Mi. Rękę. Do. Kieszeni.

Wygląda uparcie, ale w tym momencie zdarza się cud i ustępuje.

– Niech będzie. Jako że ta para spodni ma zaledwie dwie, a nie dwadzieścia dwie kieszenie, jak to zazwyczaj u ciebie, sięgnę do jednej z nich. Ale jeżeli wyciął pan sobie w niej dziurę, żeby...

Wzdycham ciężko, Eva się uśmiecha... lecz gdy wsadza dłoń do mojej prawej kieszeni, uśmiech zamiera jej na ustach. Przez chwilę maca uważnie, wybałusza oczy.

Łagodnie ujmuję jej twarz w dłonie i mówię:

– Wiem, że nie chciałaś niczego wielkiego, ale nie mogłem się powstrzymać.

Powoli, drżącymi rękoma, wyciąga z mojej kieszeni aksamitne pudełeczko i gapi się na nie.

Nie chciała iść do ołtarza z brzuchem, a ślub cywilny nie wchodził w grę, bo ogłosiła, że jej matka przewróciłaby się w grobie na wieść, że jej jedyne dziecko nie wzięło kościelnego ślubu, ustaliliśmy więc, że porozmawiamy o tym po narodzinach bliźniaków.

Urodziły się. Nie mogłem dłużej czekać.

Muskam wargami jej usta i szepczę:

– Eva. Miłości moja. Nasze dusze są już związane. Moje życie jest związane z twoim, serce również, na wieczność. Zwiążmy się też w świetle prawa. Wyjdź za mnie.

Po jej policzkach spływają łzy. Pociąga nosem i odpowiada cicho:

– Sądzę, że przed udzieleniem jednoznacznej odpowiedzi powinnam rzucić okiem na pierścionek, bo jeśli co do biżuterii masz podobny gust, jak co do odzieży...

Miażdżę jej wargi, daję jej pocałunek, którego nie zapomnimy do końca życia...

Głównie dlatego, że w samym środku zaczyna łkać i krzyczeć: „*Tak, tak!*”...

Czym wrywa ze snu dzieci, które zaczynają beczeć...

A potem wszyscy sobie płaczemy, ale ja i Eva śmiejemy się przez łzy.

O AUTORCE

J.T. Geissinger to autorka bestsellerów *Niebezpieczne piękno*, *Niebezpieczne pragnienia* oraz innych naładowanych emocjami romansów i książek z gatunku literatury kobiecej. Jej książki, począwszy od zabawnych, charakternych komedii romantycznych, po mroczniejsze romanse pełne napięcia, sprzedały się w milionach egzemplarzy i zostały przełożone na kilka języków.

Jest laureatką Prism Award za najlepszy debiut książkowy i Golden Quill Award za najlepszą powieść urban fantasy, a także dwukrotną finalistką nagrody RITA, przyznawanej przez Romance Writers of America. Była też finalistką nagród Booksellers' Best, National Readers' Choice i Daphne du Maurier Award.

Mieszka w Los Angeles z mężem i głuchym kotkiem znaną, Ginger.

Więcej informacji na: www.jtgeissinger.com

¹ *¿Estas bien, señorita?* – (z hiszp.) Wszystko w porządku, panienko? (przyp. red.).

² *Muchas gracias, señora.* – (z hiszp.) Bardzo pani dziękuję (przyp. red.).